Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.
3548 D
VI — 4 — 20

1669

WŁOSY SAMSONA

MATYLDA SERAO

WŁOSY SAMSONA

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁA

ALEKSANDRA SKAZA

Tow. Przyjaciół Nauk w Przemyślu.
3348 D
11-4-20
BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA W KRAKOWIE
SEKCYA IV.

KRAKÓW
G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1916

3158623

A-18696

1000173423

literat. 13d

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

K. 1160/56/3449

Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie
pod zarządem Józefa Filipowskiego.

BIBLIOTEKA
UNIWER. JAGIELLOŃSKIEGO W KRAKOWIE
SEKCYA IV.

I.

Paweł Joanna chodził tam i napowrót po pokoju ubierając się niechętnie, jeszcze bardzo senny. Na rozrzuconem jego łóżku pełno było gazet, a rozłożone niedbale, zsuwały się i legły na nędznym dywaniku; były to gazety z poprzedniego wieczora, na których usnął i tarzał się we śnie; ranne jeszcze zamknięte, o różnobarwnych przepaskach, leżały na nocnym stoliku, obok stała filiżanka kawy, koło której brzęczały muchy zwabione resztkami słodkich fusów. W powietrzu unosiła się lekka woń druku. Paweł ubierał się cichutko, żeby syna nie zbudzić.

Na wązkiem łóżeczku spał mały Ryszard, wsparłszy rączką bladą twarzyczkę; sinawy cień przyciemniał przymknięte jego powieki, świeżemi różowemi ustami oddychał tak lekko, iż zdawało się, że nie oddycha wcale. Miał na twarzy wyraz zmęczenia, a wysmukła i wykwintna postać siedmioletniego dziecka, wydłużała się w linię, tak ogromnego przygnębienia, że ojciec, który co chwila obracał się żeby spojrzeć na syna, zachowywał się coraz ciszej ze strachu, żeby go nie obudzić. — W noc poprzednią po teatrze, zaprowadził go na kolacyę do restauracyi otwartej do rana w przecznicy „Rollo San Carlo“. Wrócili o drugiej

a dziecko podniecone szklaneczką Marsali, usnęło dopiero o czwartej. Teraz wyglądało tak uszczęśliwione snem, że ojciec zdjęty czułością, chodził na palcach i nie chciał już nawet szukać w starej komodzie, krawatki mniej starej jak ta, którą miał na sobie.

W tem, mucha siadła na twarzyczce Ryszarda, i twarzyczka ta o odcieniach bladej perły zadrgała, jakby się dziecię zbudzić miało..

Przeraził się ojciec. Druga mucha zabrzęczała koło ciemnych loków małego Ryszarda, potem siadła mu na czole i Ryszard odezwał się cichutko skargą jękliwą. Wtedy ojciec delikatnie bez szmeru podniósł z ziemi gazetę i nakrył nią twarzyczkę dziecka, by ochronić go od much, i tak pod tym dużym arkuszem drukowanego pisma dziecko spało dalej spokojnie.

Wyszukawszy sobie wpierw jakąś resztkę z cygara, Paweł zabierał się już do wyjścia, gdy na progu pokoju stanęła służąca. Była to silna i krępa wieśniaczka z Cilento, o włosach czarnych i krętych, dzikich oczach i szerokich ustach.

— Dzień dobry panu. Co mam zrobić na śniadanie?

Paweł zawahał się chwilę, potem cicho i prędko odpowiedział:

— Dziś wieczór będziemy jedli obiad w mieście.

— A na śniadanie, cóż mam dać temu robaczkowi? spytała Maryanna wskazując na Ryszarda, który spał rozkosznie pod arkuszem „La Perseveranza“.

Paweł, sięgnął do kieszeni wydobywając z niej parę soldów.

— Wystarczy chyba dziesięć soldów? rzekł z lekkiem drżeniem w głosie.

— Wystarczy i aż nadto. A Pan?

— O mnie mniejsza, zjem poza domem, jestem zaproszony — dodał.

— O której mam Panu przyprowadzić panicza?

— Przyprowadź mi go do biura o drugiej; polecam Ci go bardzo Maryo.

— Niech Pan będzie spokojnym, niech Pan będzie spokojnym, rzekła cicho.

Paweł wychodząc liczył i przeliczał w kieszeni od kamizelki pozostałe 20 centów, za które miał sobie jeszcze kupić dwa cygara „Wirginia". Służąca zabrawszy brudną filiżankę wyszła zamykając cicho drzwi za sobą. Było już wpół do dwunastej, kiedy się mały Ryszard obudził. Wspaniałe słońce wchodziło do pokoju, zalewając światłem czerwone cegły i rozjaśniając całą tę biedną skromność umeblowanego pokoju: Ryszard stanął na łóżku nie dziwiąc się, że jest sam, i nie wołając nikogo. Skoczył na ziemię w koszuli i zaczął szukać pończoszek i bucików. Jedna pończocha miała dziurę na pięcie, wyciągnął ją, włożył buciki a ubierając się, podśpiewywał wolno jak dorosły:

Tu, tu, tu.

Za każdym razem, gdy stąpił na gazetę, odsunął ją nogą ruchem zniecierpliwienia i spacerował po niej, jak po dywanie.

Jak mała istota, rozsądna i dobra, sam umył się uczesał i ubrał w swoje nowe ubranko; krótkie spodeńki, po kolana kurteczkę z dużym koronkowym kołnierzem i czerwoną jedwabną krawatką; było to

ubranko nowe, które jednak przez codzienne noszenie skazane było na rychłe zużycie. Raptem zdjęty jakiemś nerwowem zniecierpliwieniem zaczął wołać na progu.

— Maryo! Maryo!

Nadbiegła służąca z głębi kuchni, gdzie wyciskała sok pomidorowy na makaron dla gospodyni domu, wskutek czego ręce miała czerwone do łokci.

— Daj śniadanie Maryo — rzekło dziecko, podnosząc na nią swoje błękitne i myślące oczy.

— Cóż panicz chce na śniadanie?

— Coś dobrego! coś bardzo dobrego, rzekł on jakby marząc o jakimś przysmaku.

— Niech mój panicz powie, a Maryanna zrobi; chce panicz ładną jajecznicę z dwóch jaj?

— Nie, nie, chcę coś dobrego.

— Może sałatkę z kartofelkami i tuńczykiem?

— Nie, nie, mówił mały ze znudzoną twarzyczką.

— A może makaron z pomidorem?

— Nie, nie, nie, powtarzał Ryszard tupiąc nóżką.

— Paniczu mój, co ci mogę zrobić? niech panicz sam powie.

— Chcę kurczę, całe kurczę, całe dla mnie, Maryo.

— Nie może tak być, paniczu mój.

— Ja chcę kurcze, rzekło dziecko zimno z wyniosłością wielkiego pana przywykłego do rozkazywania.

— O Matko Najświętsza! jakże ja mogę kupić kurczę. Naprawdę nie mogę.

— Maryo, Maryanno złota, rzekł mały najczulszym głosem, jeśli mnie kochasz kup mi kurczę.

— Synku mój, nie trap mnie, bądź dobrym, tatuś zostawił mi tylko dziesięć soldów na śniadanie.

— Tylko dziesięć soldów, spytało dziecię, uspakajając się nagle i namyślając głęboko.

— Tak paniczu.

— No to nie, kup mi za dziesięć soldów kurczęcia.

I Ryszard po chwili, zajadał w kuchni swój kawałek kurczęcia przyrządzonego mu przez Maryannę, która poczciwie wyliczyła z dziesięciu soldów tak, że kupiła mu jeszcze dwie śliwki słodkie i dojrzałe. Gospodyni domu, tęga i zeszpecona brodawkami, krzątała się po kuchni zajęta przygotowaniem obiadu. Dziecko ciche spoglądało na nią swojemi oczyma pełnemi godności i siedząc koło garnka, w którym gotował się sos pomidorowy, obgryzało skrzydełko z miną małego księcia.

Czy pan Paweł nie dał ci nic dla mnie? spytała nagle pani Katarzyna, wyjmując ości i obrywając główki śledziom.

— Nie, proszę pani.

— Aleś mu o tem mówiła?

— Nie, pani, zapomniałam.

Już miała spaść bura na Maryannę; ale ona wskazała na małego Ryszarda, który arystokratycznie płukał w szklance swoje śliwki i pani Katarzyna zamilkła wzruszając pogardliwie ramionami. Już było po pierwszym, a Paweł nie zapłacił jeszcze za mieszkanie; co miesiąc prosił ją, żeby poczekała, to do piętnastego, to do dwudziestego.

Wprawdzie Maryanna kierowana litością, nie wspominała mu o tem często, widząc go bladym i coraz bardziej skłopotanym, nie wspominała też ze względu

na to śliczne stworzenie jakim był Ryszard, który spuszczał oczy i zaciskał usta, ile razy przychodzono dopominać się o pieniądze u jego ojca. Syn wtedy patrzał na ojca wzrokiem pełnym niepokoju i troski. Maryanna odwracała głowę, by nie widzieć tej niemej sceny. A wdzięk i inteligencya Ryszarda były tak wielkie, że rozbrajały nawet panią Katarzynę.

Było to dziecko bez matki, a ona była bezdzietną.

— Chcesz jeść obiad z nami? spytała gdy już ryby dosmarzały się w oliwie.

— Dziękuję pani, odrzekł maleńki, śniadanie zjadłem, a obiad zjem z moim tatusiem w restauracyi.

I wrócił do swego pokoju, gdzie został znów sam, samiuteńki, bawiąc się nierównymi żołnierzami.

Maryanna poskładała gazety znalezione na łóżku i na ziemi i złączyła je z innemi, układając wysokie stosy, na półce, na nocnym stoliku i na czarnym skórzanym fotelu, gdzie nikt nie siadał. Od czasu, gdy ich było za wiele, sprzedawała je w sklepiku, jeśli nie były rozcięte, dawali 5 soldòw za kilo; dochodem tym płaciła praczkę, która krochmaliła wysokie kołnierze Ryszarda i robiła jej jeszcze w dodatku ciepłe rękawiczki z czerwonej włóczki na zimę. O drugiej weszła do pokoju, żeby Ryszarda odprowadzić do biura, do ojca i by się nie spóźnić nie dokończyła swego makaronu.

— Niech panicz czapkę nałoży i chodźmy.

— Mogę i sam pójść, znam drogę.

— Matko Najświętsza, może przecież powóz panicza przejechać.

— Pójdę chodnikiem.

— Żadne takie, obiecałam tatusiowi, że panicza odprowadzę.

Włożył zgrabną czapeczkę na kasztanowate loki i ruszył w przecznicę „dei Pellegrini“ opowiadając Maryannie o cudach widzianych dnia poprzedniego wieczorem: o „Cyrku Nazionale“, o „Giroflé Girofla“, o piratach i czarnym „Murzonek“ i o punchu, który palił się płomieniem. Służąca słuchała wykrzykując od czasu do czasu.

— O Jezu! O Jezu!

Na placu „dei Bianchi“ naprzeciwko drukarni spotkali drukarza Peppino.

— Idziesz do biura Peppino? zagadnął mały Ryszard z miną poważną.

— Tak, paniczu, niosę ojcu korekty.

— To dobrze, rzekł Ryszard zadowolony.

Teraz szli we troje, służąca tocząc się jak bania, dziecko szczupłe i zgrabne i drukarz Peppino, nosił na rudych włosach, białą papierową czapkę, twarz bardzo biała była piegowata i poplamiona atramentem, jak zresztą i niebieska bluza, którą miał na sobie. Szedł trochę w tyle patrząc z głębokim szacunkiem na syna redaktora.

— Umiesz ty czytać Peppino?

— Tak, nie mógłbym inaczej być drukarzem.

— A pisać?

— Trochę.

— Ja nie umiem, ani czytać, ani pisać, ale to niepotrzebne, tatuś mówi, że to niepotrzebne.

— Panicz nie potrzebuje być drukarzem.

— Tak, nie potrzebuję być drukarzem, powtarzał

machinalnie Ryszard. Dowidzenia ci Maryanno, do widzenia.

— Niech cię „Madonna“ prowadzi, rzekła służąca, stojąc jeszcze na progu bramy i patrząc jak dzieciak wdrapywał się szybko po stromych schodach.

Ryszard nie zatrzymując się w przedpokoju, otworzył drzwi i pobiegł do biurka, zarzucając ojcu rączki na szyję.

— Tatusiu, mój mały tatusiu, powtarzało dziecko, przytulając swoją twarzyczkę do twarzy ojca.

Ojciec, w milczeniu, całował go po włosach, po oczach. Do pracy biurowej zmienił wierzchnie ubranie na bluzę alpagową; na twarzy miał wyraz bezmyślny zmęczenia, graniczącego z osłupieniem, a pierwszy i trzeci palec prawej ręki zawalane były całe atramentem.

— Jadłeś co, maleńki mój?

— Tak, tatusiu, Maryanna kupiła mi kurcze.

— Smakowało ci?

— Tak, tatusiu, a ty?

— Ja jadłem śniadanie w kawiarni.

— Z swojemi przyjaciółmi tatusiu?

— Tak, maleńki, — nudziłeś się w domu?

— Trochę, tatusiu, ale to nic.

Peppino stał naprzeciwko biurka Pawła Joanny, trzymając ciągle korekty w ręku, patrzał w górę, wodząc wzrokiem za muchami.

Redaktor odebrawszy korekty schylił znów głowę, zagłębiając się w pracy. Peppino odszedł w milczeniu a Ryszard położywszy czapkę na półce pełnej zaku-

rzonych książek, cichutko kręcił się po pokoju, jakby szukał w nim czegoś nowego.

Ale był to zawsze ten sam pokój — zawsze te same dwa biurka stojące naprzeciwko siebie, masywne, ciężkie, pełne szuflad rozmaitych, te same dwa pomniki i półki naładowane książkami, papierami, były na nich i gazety stare, i przepaski, wszystko porozrzucane bez składu i ładu.

Na murze mapa Włoch, stary rozkład jazdy, stary afisz z wystawy z żeglugi Neapolitańskiej, jakiś czarny karton, którym „Czas“ oznajmiał swoim czytelnikom wydanie powieści „Montepina“, „La marchese Castella“. A na tem wszystkim gęsty kurz, który wygryzał barwę papieru, przyciemniał kolor drzewa, nagromadzał się w słomianych krzesłach, układał się w cienie w załamaniach map i kartonów, przyprószając książki i akta parlamentarne, miękką, puszystą powłoką. W powietrzu zmięszana z ustawicznym zapachem atramentu, unosiła się sucha, ostra woń kurzu, tak, że przypuścić było można, że pełno go wszędzie, we wszystkich zapomnianych kątach, pod stołkami i w ciemnych rogach pokoju.

Ryszard chodził z pewnem niedowierzeniem, węsząc noskiem, zręcznie cofając swoją małą osóbkę, by jej nie powalać. Na stole stała szklanka z resztą niedopitej limoniady, przy niej stary numer „Czasu“ cały poplamiony atramentem i zniszczony kurzem. Ryszard chcąc wydobyć stos włoskich illustracyi, poruszył chmurę kurzu i zakaszlał. Paweł podniósł głowę.

— Co piszesz tatusiu?

— Że prefekt jest osłem, maleńki mój.

— A będzie mu to przykre?

— Tak, maleńki.

— Nauczy się nie być osłem, odrzekło wyniośle dziecko z miną małego tyrana.

I zaczął przeglądać w milczeniu ilustracye, wiedział od pierwszej chwili, że w biurze, nie wolno nic mówić, o nic pytać, ani hałasować; siedział tak nieraz całemi godzinami, nieruchomy, zgięty nad jakąś gazetą illustrowaną, nie nudząc się wcale, jak rozsądne i przedwcześnie rozwinięte dziecko. Nie zbliżał się nawet do balkonu, skąd widać było plac St. Ducha i prawie całą ulicę „Toledo“, skąd dochodził hałas dorożek i przechodniów. Od czasu do czasu, gdy jaka nowa osoba wchodziła do pokoju, Ryszard podnosił oczy, ciekawe, ale nieśmiałe. Raz po raz padał ciekawy wzrok dziecka na drzwi prowadzące do pokoju, w którym przesiadywał i królował właściciel i administrator »Czasu“. Ten pokój wydawał się świątynią dla Ryszarda, nigdy też tam nie wchodził; żeby wejść, trzeba było prosić o pozwolenie i ci co wchodzili zostawali długo i pewnie mówili po cichu o rzeczach ważnych, bo nie słychać było żadnego szmeru ani hałasu. Właściciel nie odprowadzał nigdy nikogo. Był to człowiek krępy, pękaty, z głową foki i oczach płowych patrzących fałszywie z po za okularów. Od czasu do czasu, także Joanna znikał po za temi drzwiami świątyni, wtedy Ryszard wpatrywał się w te drzwi z niepokojem. Koło piątej właściciel wychodził, nie zważając na nic, nie kłaniając się nikomu, zamknięty w sobie, patrzył zgasłym wzrokiem z poza okularów. Nigdy słowa nie przemówił do Ry-

szarda, nigdy nie dał poznać, że jego obecność zauważył i Ryszard małe książątko, czuło się onieśmielone i bało się tego krępego, brzuchatego człowieka, o wypłowiałych i za rzadkich wąsach.

Paweł, gdy o nim mówił przy stole, lub w teatrze nazywał go „Il signor Cavaliere“ (rycerz rabuś) wszyscy nazywali go tem przezwiskiem, które Ryszardowi wydawało się czemś wielkiem i tajemniczem.

Czasami w swym tajemniczym pokoju, podnosiły się głosy, wtedy Paweł nadsłuchawszy chwilę wysyłał Ryszarda do przedpokoju. Ten rozkaz był zbawieniem dla niego. Tego dnia właśnie jakoś nie nadchodził i Ryszard zniecierpliwiony przybliżył się do biurka ojca, nic jednak nie mówiąc; ojciec, pisał ciągle i nie spostrzegł go na razie, ale podnosząc oczy, ujrzał kędzierzawą główkę swego syna przy sobie.

— Czy chcesz czego?

— Chciałbym pójść do przedpokoju.

— Idź, tylko nie powalaj się.

— Nie tatusiu, a weźmiesz mnie dziś wieczór do restauracyi?

— Wezmę.

— Do której?

— Nie wiem, zobaczymy kochanie.

— A pozwolisz mi jeść raki tatusiu?

— Jeśli będą, maleńki.

— Ale i coś słodkiego tatusiu.

— Dobrze, dobrze, rzekł ojciec schylając głowę.

Dziecko popatrzało długo na ojca, a wzrok jego był tak przenikliwy, tak badawczy, jak wzrok starca.

— Jeśli nie mamy pieniędzy, to nie szkodzi tatusiu, rzekł Ryszard, potrząsając główką.

Pawłowi zakręciły się łzy w oczach, odrzekł jednak wesoło.

— Będą, będą, nie bój się.

Ryszard, pobiegł uszczęśliwiony. Przedpokój prawie ciemny i kuchnia były jego rajem. W przedpokoju przy biurku, siadywał pan Dominik, staruszek maleńki i garbaty, siwy, pomarszczony; w wyrazistych jego oczach przechowało się jeszcze życie; był on odpowiedzialnym redaktorem a równocześnie prowadził rachunki i spis abonentów gazety.

Pan Dominik, był wielkim przyjacielem Ryszarda, pozwalał mu, bawić się pieczątką maczaną w niebieskim atramencie, darował mu opłatki kolorowe, czerwone, niebieskie, żółte i prowadzili razem, garbusek i dziecię, jakieś gawędy długie, przerywane, to znów wypowiadane głosem cichym i przytłumionym.

— Gdzie jest żona pana? Panie Dominiku?

— Umarła paniczu.

— Ah!

I tu nastąpiła cisza, garbusek pisał dalej w swoich dużych księgach.

— A co pan zrobił, panie Dominiku, jak panu żona umarła?

— Cóż miałem robić? Nic.

— Tatuś płakał jak mamusia umarła w Medyolanie, mówiło dziecię głosem smutnym.

— Mamusia, musiała być ładną.

— Była bardzo ładna, bardzo ładna, ciągnęło dalej dziecię marząc.

Jak tylko jakiś nowy „Pan“, nowy abonent wchodził, Ryszard zaprzestawał rozmowy, garbusek zaś, pisał kwit, swojem wyraźnem i szerokiem pismem, pozdrawiając uśmiechem nowego przybysza.

Tego dnia, pan Dominik, był w złym humorze, zrobił bowiem plamę na czystym arkuszu, zgięty, z głową schyloną, z garbem jakby bardziej wystającym z natężenia, tarł i tarł gumą chcąc wytrzeć tą plamę, przejęty swoją manią czystości, nie zważał na Ryszarda, który chciał mu właśnie opowiedzieć, jak ojciec Giroflé w teatrze Nazionale podobnym był do niego.

— Panie Dominiku, rzekł zniecierpliwiony Ryszard

— A co? mruknął ten, nie podnosząc głowy.

— Panie Dominiku, już pana nie lubię.

— Poczekaj paniczu mój, poczekaj, zaraz pogawędzimy.

Ale Ryszardowi znudziło się czekanie, obrócił się na pięcie i poszedł do ponurego pokoju, gdzie pracował drugi jego przyjaciel Franciszek. Był to młodzieniec, wysoki i silny, który poprzednio był kowalem w arsenale Neapolitańskim, a że był zdolny i pilny zarabiał tam trzy franki dziennie. Ale dnia jednego, gdy kuł młotkiem rozżarzone żelazo, iskra bryznęła mu do oka, wypalając.

Trzymano go pięć miesięcy w szpitalu „dei Pelegrini“ pod dozorem pierwszorzędnych okulistów, oko jednak stracił i nie chciano go już przyjąć w arsenale; wziął więc robotę w biurze redakcyjnym, i za 50 franków miesięcznie pracował od ósmej rano, do dziewiątej wieczór. Zamknięty od rana w ciemnym

pokoju, gdzie już o trzeciej zapalano gaz, siedział Franciszek, na wysokim stołku, z nożycami w ręku, i ciął przepaski wolno, ruchem jednostajnym przy jednostajnym zgrzycie nożyczek. Szerokie arkusze papieru, pod nożycami Franciszka, zamieniały się w wązkie przepaski, obcięte równo i dokładnie, które potem układał porządnie, w rozmaite stosy, gotowe już do tego, by zwilżone gumą przepasać gazety.

Ryszard był wielkim przyjacielem Franciszka, odwiedzał go zawsze w ciemnym pokoju, gdzie nie wchodził nigdy, nikt, gdzie silny kowal o białym oku, spędzał dnie całe, przykuty do krzesła. Czasem całe kwadranse siedział Ryszard w milczeniu, wpatrzony jak tamten ciął przepaski prawdziwie po mistrzowsku, z pewnym wdziękiem, zaokrąglając równo, ruchem tak szybkim, że prawie przelotnym.

Pan Dominik wygląda dziś jak kot, co skrobie pazurami, zauważył Ryszard.

— Czasem wygląda jak małpa, odrzekł Franciszek z głębokim przekonaniem.

— Pozwolisz mi naciąć trochę przepasek Franciszku?

— Może się panicz skaleczyć.

— Nie, nie skaleczę się.

— Panicz krzywo potnie, a mnie skrzyczą.

— Krzyczą na ciebie często Franciszku?

— Nie bardzo jestem zdatny paniczu do tego rzemiosła, rzekł cicho były kowal.

— Wolałeś tamto?

— Pewnie.

— Opowiedz jak ci się stało nieszczęście, pytało dziecię siadając na wysokim stołku i zakładając ręce.

Słyszał już ze sto razy, historyę o iskrze, która wpadła Franciszkowi do oka i wypaliła mu je. Ale Franciszek lubił opowiadać historyę swego nieszczęścia. Zaczął więc po cichu, nastawiając nożyce, które zgrzytały wśród arkuszy papieru, podczas gdy dziecię siedziało zasłuchane, wpatrując się w niego swojemi dużemi niebieskiemi oczyma. W miarę jak mówił, Franciszek zapalał się, podnosił trochę głos, przerywał robotę wymachując świecącemi nożycami. Wzruszenie chwytało go za gardło i bladła jego ciemna twarz, gdy dochodził do chwili, w której z rozżarzonej do białości sztaby żelaznej oderwała się fatalna iskra. W tem miejscu urywał nie mogąc mówić więcej, a Ryszard nie mniej wzruszony nie przerywał ciszy, która zalegała na długą chwilę prawie całkiem ciemny pokój.

— Bardzo cię bolało? pytało dziecię po chwili przerwy.

— Strasznie bolało.

— Piekło?

— Okropnie, okropnie piekło.

— Biedny Franciszku, rzekł półgłosem mały Ryszard.

— Chce panicz ciąć? wykrzyknął Franciszek.

Ryszard brał nożyce i z powagą zaciskając usta zabierał się do krajania przepasek.

— Ile będzie przepasek Franciszku? Milion.

— Jest ich trzy tysiące.

— Więcej jak milion?

— Mniej.

— Ty nie umiesz czytać?

— Nie paniczu.

— I nie wiesz gdzie idą te przepaski?

— Nie wiem.

— A nie chciałbyś wiedzieć?

— Co mnie to obchodzi.

— To prawda, co ciebie to może obchodzić, dodał mały tonem osoby rozsądnej.

Ale nożyce męczyły jego małe rączki, odłożył je więc wkrótce, a głos jakiś zawołał z przyległego pokoju.

— Ryszard!

— Jestem.

W przyległym pokoju stał kronikarz młody, wysoki, przeraźliwie chudy, z szyją cienką długą, z suchotniczemi wypiekami na twarzy. Rodem z Wenecyi, był niezwykle miękki w obejściu i w mowie; zawsze bez grosza, a mimo to zawsze wesół; pisał niebywale prędko, robiąc przytem wiele błędów ortograficznych, które Paweł musiał później poprawiać, nie obrażał się jednak nigdy, gdy mu o to robiono wymówki. Za Ryszardem wprost przepadał. Zawsze w kieszeni miał dla niego bądź to cukierki kupione za parę soldów, bądź też zabawkę kilkogroszową. Gonił do trzeciej codziennie, od policyi do prefektury, od prefektury do szpitali i wracał do redakcyi zziajany z przyspieszonym oddechem i zabierał się natychmiast do pracy — pisząc, stawiał duże niezgrabne litery, po chwili pytał:

— Dzieciaka niema?

— Wyszedł.

— Niedługo pójdę po niego.

I pisał na łeb, na szyję, przezwyciężając naturalne lenistwo i fizyczny brak sił, był bowiem suchotnikiem skazanym na śmierć. Pisał jak opętany, żeby tylko jak najprędzej zobaczyć małego Ryszarda.

— Przyniosłem ci coś dobrego. Zgadnij, co?

— Co? co takiego? — pytał Ryszard, czepiając się długich nóg Dolfina.

— Brzoskwinię, ale musisz przyjść po nią.

I Dolfin nastawiał prawą nogę i kolano, a Ryszard wdrapywał się po nim jak małpka, właził mu na piersi gniotąc je, wyciągał ręce, łapał brzoskwinię i odgryzał kawałek.

— Ugryź i ty.

— Nie chcę, szkodzi mi.

— Wszystko ci szkodzi.

— Wszystko.

— Mnie nie.

Ten dyalog toczył się w kuchni, ciemnej i zimnej, gdzie nie było przyborów kuchennych, gdzie piec był oddawna wygasły, bo leżały na nim ogromne stosy dzienników. W tej kuchni wieczorem, w zagłębieniu przeznaczonem na węgiel, stały jakieś pudła zniszczone, obdarte; a w nich czcionki drukarskie, cuchnące antymonem. W rogu walały się jakieś brudne ścierki. Ślady na ścianie świadczyły, że kiedyś wisiały tam rądle, teraz na ich miejscu były jakieś karykatury, czarne i żółte. Francya z kogucim grzbietem, Bismark z trzem asterczącymi włosami na głowie, Depretis z głową falistą i długą. Aleksander Dolfin w tej kuchni próżnował tro-

chę, figlował z dzieckiem, mówiąc do niego, pieszczotliwie tym miękkim akcentem weneckim, dając w ten sposób ujście tej potrzebie czułości, która przygnębiała tego chorego biednego i tęsknego młodzieńca. Kuchnia miała jedno okno z brudnemi szybami, wychodzące na schody. Raptem ukazała się w niej jakaś głowa fauna, krzycząc:

— Kronikarzu! Samobójstwo!

Dlofin opuścił niechętnie Ryszarda, podążając za reporterem, znającym bliższe szczegóły. Reporter był Neapolitańczykiem niskim, wychudzonym, z twarzą starą nad wiek, w której uderzał na pierwszy rzut oka potworny nos, dotknięty chorobą nieuleczalną, umiłowania swego zawodu dziennikarskiego nad wszystko w świecie. Mówił zawsze stylem telegraficznym, przejęty ważnością zadania, jakby był co najmniej redaktorem New-York Heraldu. W przedpokoju Angello opowiadał wypadek, lecz Dolfin stał przed nim znudzony. Ryszard, który wsunął się za nimi, słuchał uważnie ...Z mostu „della Perseveranza“. Przypuszczają, że umarł, zanim spadł na dół.

— Tyś go widział? — spytało dziecko.

— A jakże! wyglądał strasznie.

— Jaki powód smutnego wypadku? — spytał kronikarz stylem dziennikarskim.

— Troski finansowe — odrzekł w tym samym tonie Angello i wyszedł z pośpiechem.

Dolfin, nie odstępowany przez Ryszarda, wszedł do pokoju redakcyjnego. Paweł nawet głowy nie podniósł, pisał ustawicznie, usta jego poruszały się nerwowo, prawie tak, jakby naśladowały ruch pióra. Dol-

fin zabrał się też do pisania, trzymając ciągle malca przy sobie.

Dziecko myślało chwilę, nagle spytało:

— Powiedz mi, co znaczy troski finansowe?

— Brak pieniędzy — odrzekł Dolfin.

— I dlatego ktoś się zabił?

— Nie jeden.

— Ach! — rzekło dziecię.

— Która to może być godzina? — zapytał Paweł, podnosząc głowę i ukazując twarz zmęczoną i stroskaną.

Dolfin, lekkim, nieznacznym tylko ruchem głowy dał poznać, że nie ma o tem pojęcia.

Obaj nie mieli zegarka, a duży zegar, wiszący na ścianie, ordynarny i tandetny, wskazywał od sześciu miesięcy wpół do dwunastej.

— Zaraz zapytam pana Dominika — rzekł Ryszard.

Teraz rozpoczął się większy ruch w redakcyi. Poseł, którego organem był „Czas", nadesłał swój artykuł wstępny, a Paweł wzbogacał go w kropki, przecinki, wykrzykniki. Dzielił zdania, niektóre przerabiał. Od korespondenta z Turynu nadeszły dwa telegramy, z których jeden miał uchodzić za nadesłany z Paryża. Przyszedł faktor z agentury z urzędowemi korespondencyami i Peppino znów się pojawił, przynosząc nowe korekty. Dwóch czy trzech panów siedziało w pokoju właściciela. Dolfin trzymając ręce w kieszeni, stał uśmiechnięty i patrzył się w sufit. Miał wyraz pogodny, właściwy Wenecyanom, pogrążającym się chętnie w kontemplacyi.

— Pawle, daj mi Ryszarda, zabiorę go z sobą na spacer.

— Nie, nie, zostaw go — rzekł Paweł zamyślony

— Co ci to szkodzi? odprowadzę ci go na godzinę obiadową.

— Zostaw go — potrzebny mi jest.

— Ale ten malec nudzi się, pozwól mu się przejść

— Nudzisz się Ryszardzie?

— Nie tatusiu, ja się nigdy nie nudzę — odrzekł mały mężczyzna.

— Proszę cię na słówko, Aleksandrze — rzekł Paweł.

Chcąc mówić swobodnie, dwaj redaktorowie wyszli na balkon, tu Paweł nagląco spytał kolegę, czy może pożyczyć mu 20 franków. Prosił głosem stłumionym, mówiąc szybko jak osoby naprawdę w potrzebie, mówiąc kręcił w palcach prawie już oberwany guzik swego prochownika.

Dolfin zbladł, bolesny wyraz odmalował się na jego twarzy; miał tylko wszystkiego trzy franki, ale i tem chciał się podzielić, tłómacząc, że połowa wystarczy mu zupełnie.

— To nie, to nie — szeptał Paweł zawstydzony.

— Weź, Pawle, bodaj dla dziecka.

— Wezmę skądinąd, daj pokój i próbował uśmiechnąć się pogodnie.

Wracali zgnębieni i przybici: przykro im było, jednemu, że prosił napróżno, drugiemu, że nie mógł przyjść z pomocą koledze.

Dziecię spojrzało na jednego i na drugiego, jakby

im chciało z twarzy czytać, a wyczytawszy nagle spoważniało.

— Ryszardzie, chcesz bawić się jeszcze ze mną?

— Nie — odrzekł wolno — nie mam już ochoty.

— Co ci jest, maleńki?

— Nic.

— Dowidzenia, idę do Izby posłów — rzekł Dolfin, nie mogąc dłużej patrzeć na strapioną twarz ojca i na smutek dziecka. Po jego wyjściu Paweł siedział zamyślony, po chwili wziąwszy arkusz papieru listowego, zaczął pisać. Parę słów — ale zatrzymywał się nad każdem, jakby nie znajdował wyrazów odpowiednich. Podarł arkusz, wziął nowy. Ryszard siedział ze zwieszonemi rączkami, z głową pochyloną, miał oczy przygasłe, a cała jego postać zdradzała zmęczenie.

— Ryszardzie!

— Co tatusiu?

— Mam ci coś do powiedzenia.

— Dziecko przybliżyło się, ojciec gładził je pieszczotliwie po włosach.

— Kochasz mnie?

— Tak, tatusiu mój.

— I chcesz zrobić mi przyjemność?

— Tak, tatusiu.

— Słuchaj... słuchaj — i zdawało się, że z trudnością przełyka ślinę — musisz iść... tam... do naczelnego redaktora.

— Zanieść mu ten list — dokończył prędko Paweł.

Dziecko wyciągnęło rączkę, lecz główka pochyliła mu się nisko.

— Czy to koniecznie tatusiu, żebym to ja tam szedł? — spytał słabym głosem.

— Koniecznie dziecinko.

— Idę tatusiu.

— Gdy już szedł, ojciec go odwołał.

— Słuchaj Ryszardzie.

— Co takiego?

— Powiedz mu, że tatuś poleca się bardzo jego względom.

— Nic więcej?

— Nic.

— Idę tatusiu.

— Zapukał leciutko, szorstki głos odpowiedział: proszę.

Gdy drzwi zamknęły się za Ryszardem, ogarnęło Pawła uczucie tak wielkiego wstydu, że twarz oblała mu się rumieńcem: próbował pisać, ale nie mógł, ręce mu się trzęsły

— Oto, tatusiu — rzekł cichutko Ryszard, kładąc przed ojcem 20 lirów miedzianych w czterech białych rulonach.

— Brawo Ryszardzie.

— Nachylił się, chcąc syna pocałować, ale dziecię nie mogło już dłużej powstrzymać łez napływających mu do oczu, przylgnęło do ojca, zarzucając ma rączęta na szyję i powtarzając wśród łkań:

— Oj! tatusiu mój! oj! tatusiu mój miły!

— Zlituj się, nie płacz — i zrozpaczony ojciec usiłował uspokoić go pieszczotą, spoglądając ze strachem na drzwi.

— Mogą usłyszeć, zlituj się Ryszardzie.

Dziecko próbowało z całych sił powstrzymać łkanie, ale nie mogło, dusiło go poprostu.

Wtedy ojciec wziął go na ręce, a nie wiedząc, gdzie z nim iść, zaniósł go do kuchni, zamykając drzwi za sobą.

— Co ci jest? — powtarzał.

— Oj! tatusiu, nie posyłaj mnie tam więcej, do pana właściciela, boję się go — nie posyłaj mnie już nigdy do niego.

— Nie, nie, nie bój się. Ale co on ci takiego powiedział?

— Przeczytawszy list, powiedział: „Zwyczajne historye“.

— Dureń! a potem?

— Potem włożył list do jakiejś czarnej książki, otworzył szufladę, co w niej pieniędzy tatusiu! no i dał mi te 20 franków.

Znów się rozpłakał.

— Nie płacz, czego płaczesz?

— Wstyd mi było, tatusiu.

Zamilkli. Wielka cisza zapanowała między nimi. Ojcu twarz się mieniła. Dziecko wyglądało, jak starzec, który dużo widział, dużo przecierpiał.

— Masz racyę, szepnął wreszcie Paweł, nie powinienem był ciebie posyłać, trzeba było iść samemu, jestem podły!

— O nie mów tak tatusiu, nie gniewaj się na mnie, posyłaj mnie zawsze, innym razem nie będę już płakał.

— Miejmy nadzieję, że nie zajdzie już tego potrzeba.

— Miejmy nadzieję — dodał szeptem maleńki.

Byli już pocieszeni i wyszli z kuchni.

— A teraz tatuś poszle kupić ci coś takiego. Co lubisz?

— Chcesz „fermt“?

— Nie, gorzki.

— Może „wermut“.

— Dobrze, ale z wodą sodową.

W drukarni ustał zgrzyt maszyny; całe wydawnictwo na prowincyę ukończone zostało w jakiejś nędznej izdebce, przy słabym płomyku gazowego światła. Paweł i Dolfin pisali jeszcze ostatnie sprawozdania i ostatnie wiadomości kronikarskie do wydania wieczornego, które miało wyjść za godzinę. W pokoju było duszno i obaj redaktorowie zrzuciwszy wierzchnie ubrania, pisali w milczeniu pośpiesznie, zdjęci tym niepokojem, jaki ogarnia w ostatnich godzinach pracy.

Ryszard jak mały cień kręcił się wśród stołów i szerokich półek.

Nad jakiemiś pakami, gdzie praca ustała, gaz był przyciemniony, już tylko trzech drukarzy układało ostatnie kawałki dziennika. Peppino wspinał się, stojąc na stołku, będąc jeszcze za małym, by dosięgnąć do czcionek drukarskich. Majster uważnie pochylony nad szerokim stołem, pokrytym marmurową płytą, poplamioną atramentem i zlaną brudną wodą, wydobywał za pomocą szczypiec litery ze złożonej, czarnej stronnicy.

Ryszard kręcił się, ale wiedział, że nie wolno było

mówić do drukarza, osobliwie w tej ostatniej, gorączkowej chwili; po jakimś czasie wyniósł się do drugiego pokoju: tam siedziały trzy kobiety na wysokich stołkach koło dużego stołu; przed każdą z nich wznosił się stos dzienników, one szybko nie przerywając rozmowy, nie oglądając się, składały wprawnie duże arkusze, w dwie części, potem w cztery, w osiem, szesnaście, a złożone gazety piętrzyły się coraz wyżej przed niemi.

Jedna z nich Marya, ładniutka i wyglądająca trochę z pańska, żona byłego stangreta, pracowała wolniej, niedołężna jeszcze po przebytym tyfusie, po którym obcięto jej kręte włosy.

Druga, Rafaela, paplała, śpiewała, pracując przytem tak, jakby ją kto naglił; nagliła ją myśl o dzieciach, których miała czworo, głodnych o tej porze. Dwa lata już była wdową po studniarzu, który zginął nagle w studni zalanej wodą.

Najcichsza z nich była Concetta, ułomna i blada, twarz miała podłużną i ubierała się skromnie w czarne perkalowe sukienki, wyglądając jak zakonniczka i tak też przezwały ją dwie jej towarzyszki. Ryszard siadywał zawsze koło niej, przypatrując się z zajęciem jak chudemi długiemi palcami składała gazety, milcząca zawsze i jakby głucha na opowiadania miłosnych historyjek, opowiadanych przez jej towarzyszki trochę na to, by ją gorszyć. Marya właśnie tego wieczoru mówiła o jakimś panu, który wyczekiwał na nią zawsze, gdy wychodziła z drukarni i potem za nią łaził, a miał złoty zegarek, cylinder i duży brylant na piątym palcu, zresztą brzydki pan, ale jednak gdyby

jej mąż spostrzegł coś podobnego, groziłaby mu bójka z nim, pewnie na noże, mówiąc o tem przechodził ją dreszcz przerażenia i pożądliwości, to tchórzostwo dziwne, jakie ma na dnie duszy każda neapolitanka. Rafaela przekomarzała się z Concettą, że ma pewnie kochanka, tamta nie odpowiadała nic, tylko coraz szybciej składała gazety.

— Tak, tak, ma kochanka — ciągnęła Rafaela — a kochankiem jest pan Dominik, garbusek; stary garbusek i kulawa zakonniczka, ładne małżeństwo.

Concecie zbierało się na płacz, nos jej czerwieniał i nabrzmiewały wargi od nagromadzonych i wstrzymywanych łez.

— Nie zważaj na nie — upominał Ryszard, niech plotą. Wreszcie wdrapał się na stołek Maryi, chcąc dotknąć jej włosów.

— Gdyby mój Peppino żył jeszcze, byłby teraz takim, jak panicz — rzekła Marya, zasępiona nagle wspomnieniem zmarłego dziecka.

— Dziękuj Bogu, że ci go zabrał! — wrzasnęła Rafaela. — Oj! ile chleba zjadają dzieci.

— Mnie chleb nie smakuje — zauważył Ryszard.

— Panicz bo co innego.

Nareszcie skończyły składanie gazet, spojrzały na swoje zaczerwienione ręce, zaczęły wkładać szaliki. Concetta wiązała chusteczkę pod brodę.

— Czeka na ciebie pan Dominik — rzekła Rafaela żartem.

Trzy kobiety skierowały się ku wyjściu, przechodząc przez drukarnię, śmiały się z dowcipów drukarzy. Marya wyglądała chorowicie i szła chwiejnym kro-

kiem. Rafaela idąc, rzucała każdemu jakieś żywsze słowo. Po chwili zgrzyt maszyny rozpoczął się na nowo. Ryszard usunąwszy się w ciemny kąt pokoju, stał z buzią otwartą, nie spuszczając jej z oka. Ta wielka maszyna czarna, skomplikowana, hałaśliwa, te koła wplatające się w siebie, te rury czarne i świecące, które miarowo poruszały się tam i napowrót, ten duży cylinder, koło którego owijały się arkusze, ześlizgujące się potem z szelestem, te poruszające się krosna, wszystko to dziwiło go niezmiernie, kręcił się też ciągle koło tej maszyny. Gdy stawała na chwilę, wtedy nieśmiało zbliżał się do niej, dotykał koła paluszkiem, ale jak tylko była w ruchu, czuł przed nią strach i szacunek. Równocześnie zazdrościł dwom małym drukarzom, siedzącym spokojnie na samym szczycie maszyny, którzy jak wprawni rzemieślnicy swobodnie i pewnie przesuwali arkusze. Nie trzęśli się oni i nie bali, mimo, że cała maszyna drgała i huczała pod nimi, wyglądali tam na niej zadowoleni, jak zdobywcy, jak dwaj mali królowie. Ryszard zazdrościł im stanowczo.

Jemu ta maszyna wydawała się czemś tajemniczem i widząc jak pochłonąwszy białe arkusze, wyrzucała je zaraz zadrukowane, pełne telegramów, nowin, zdawało mu się, że ona sama układa dziennik. Zapominało wtedy dziecko o codziennej pracy ojca, Dolfina i innych redaktorów; zapominało o żmudnej robocie drukarzy układających wiersz po wierszu. Dla Ryszarda maszyna pisała, poprawiała, tworzyła, miała wszystko i robiła wszystko: ten organ nieznany, ale silny i wszechmocny, stwarzał codziennie dziennik,

wyrzucał go z swych czarnych wnętrzności jednakowym, dokładnym ruchem twórczym. Cała drobiazgowa krzątanina tylu osób, pisarzy, posługaczy, drukarzy, znikała przed tą huczącą, świszczącą i ryczącą maszyną. Zazdrościł dwom małym chłopczykom „od maszyny“ a równocześnie nie ośmieliłby się nigdy wejść tam, gdzie oni siedzieli. Od czasu do czasu, rozmawiając z ojcem, mówił: Maszyna tatusiu.

I wymawiał ten wyraz wolno, odrywając sylaby, jakby to słowo było czemś uświęconem.

Raz w nocy, mając coś do powiedzenia majstrowi, wziął go Paweł po teatrze do drukarni; drukarze nocni pracowali jeszcze, ale maszyna stała zanurzona w cieniu, zwilżone szmaty okręcały jej koła, cała zaś pokryta była czarną płachtą.

— Co robi maszyna? — spytało wtedy dziecię półgłosem.

Ojciec roztargniony odpowiedział: „śpi“.

— Maszyna śpi — powtarzał cichutko Ryszard jakby się bał ją zbudzić. — Maszyna odpoczywa.

Raptem gaz zaświecił jaśniej, odrzucono ścierki i ciemne płótno a maszyna z hukiem, najpierw głuchym, później hałaśliwszym, obudzona, żywa, zaczęła znów wyrzucać z siebie kopie porannego dziennika. Ryszard osłupiał ze zdziwienia, myśląc od czasu do czasu: „Maszyna nie odpoczywa nigdy“. Na progu dużego pokoju stał Paweł bez wierzchniego ubrania, z cygarem zgaszonym w ustach, wypadało mu czekać w drukarni aż do ukończenia wydawnictwa, w razie bowiem, gdyby nadeszły jakie ważne wiadomości z Turynu lub Neapolu, trzeba było włączyć je do nu-

meru i zrobić nowe wydanie. Redaktor wyglądał zniecierpliwiony i niespokojny, był podniecony temi ostatniemi chwilami pracy; rozgorączkowany po długim wysiłku umysłowym, tem rozgorączkowaniem, jakie ogarnia każdego dziennikarza przy ukończeniu swej codziennej ciężkiej roboty: oczy błędne, spieczone wargi i ręce ciepłe twierdziły o napięciu wszystkich nerwów.

— Ryszardziu odsuń się — zawołał z daleka Paweł.

— Dlaczego tatusiu?

— Bo ciepło i może ci zaszkodzić.

— Nie ciepło tatusiu i nic mi nie będzie.

— Nie rozprawiaj, tylko odsuń się.

Ryszard spojrzał uważnie na ojca, a widząc, że ma twarz nerwową złych godzin, już nic nie mówiąc, ustąpił, pokręcił się jeszcze koło ukochanej maszyny, przeszedł wśród pak i usiadł wreszcie na stołku. Obok szklannych drzwi, prowadzących do drukarni. Dochodziło go stamtąd trochę świeżego powietrza. Po chwili zaciekawiony tem, co się dzieje na dworze, przylgnął twarzyczką do szyby. O jakie trzy kroki od drzwi stało z trzydziestu uliczników, były między nimi dzieci 6-letnie i 14-letnie podrostki, 18-letni chłopcy i ludzie dorośli; z tych wszystkich zaledwie parę ubranych było jako tako, wszyscy inni brudni, obdarci, niektórzy boso; jedni mieli na głowie stare kapelusze, inni czapki, inni znów stali z odkrytemi głowami. Tłoczyli się przed drukarnią, rozpychając się, by dotrzeć jak najbliżej; niektórzy przewracali się, dzieci biły się po twarzach, płakały, śmiały się, klęły; ale Capozzi, silny młodzieniec, stał przed drukarnią i nie puszczał ni-

kogo. Capozzi był ich przywódcą, ich panem, ich komenderującym, on ich zamawiał, rozdawał gazety, tyranizował, bano się go więc i szanowano. Stał przed drzwiami, w kapeluszu zsuniętym na jedno oko, z grubą laską w ręku i z miną władcy, któremu mało który buntownik śmiał stawić czoło. Jak tylko rozpoczynała się jaka kłótnia, lub dzieci brały się za czuby, on ich rozdzielał jednym klapsem lub słowem. Czasem znów wyrzucał z siebie cały stek ulicznych przezwisk i przekleństw.

W całym tym zgiełku zniecierpliwionych łobuzów, wśród krzyków, śpiewek i gwizdań, dwoje z nich tylko stało spokojnie, opartych o mur, chłopak i dziewczynka, od 8-miu do 10-ciu lat; rodzeństwo, a tak do siebie podobne, że można ich było wziąć za bliźnięta. Siostrzyczka z twarzyczką wychudzoną, miała oczy pełne życia i ciemne warkocze na pół rozplecione koło szyi, na perkalowej szarej sukience nosiła fartuszek barchanowy, a na plecach miała zarzuconą bawełnianą chusteczkę. Braciszek, również blady i mizerny wyglądał troszeczkę na dziewczynkę. Jedli w milczeniu chleb i żółte małe śliwki, takie, które przekupki sprzedają po 6 za solda; dziewczynka trzymała je w fartuszku, podając je bratu i zachęcając go oczyma. Gdy już zjedli wszystkie, potrząsnęła fartuszkiem; chłopczyk zajadał jeszcze chleb, oglądając go uważnie po każdym kęsie. Nareszcie ustał wrzask, rozpoczęło się rozdawanie gazet, Capozzi przy pomocy swego towarzysza Salwatora Decrescenzo rozdawał jednym po 50, innym 100 numerów. Wyciągały się ręce, łobuzy rozpychali

się gwałtownie, ale Capozzi był flegmatyczny i nie tracił głowy; wywoływał ich jak żołnierzy.

— Gdzie jest Gennarino Manella?

— Tu jestem.

— Sebastiano Loiodice?

— Jestem panie Janie.

Dziewczynka stała z wyciągniętemi rękami.

— Sto dla ciebie, sto dla twojego brata.

Gdy ustało rozdawanie, chłopaki zniecierpliwieni zaczęli tupać nogami. Trzymali gazety za jeden róg rozłożone jak serwety; wysunąwszy naprzód głowy, gotowi byli do biegu. Capozzi, jakby chcąc ich drażnić, wytrzymywał ich w tem wyczekiwaniu. Oni zaś czekali na wykrzyknik, na hasło, które mieli wykrzykiwać po ulicach, żeby lepiej sprzedawać gazety. Po chwili uroczyście wymówił je Capozzi:

— Zamordowanie d'è Cammera.

I olimpijskim ruchem laski uwolnił chłopaków. Rozbiegli się jak strzały; biegli w milczeniu pełnem troski. O jakie dwadzieścia kroków słaby głosik dziewczęcy pierwszy zawołał:

— Zamordowanie d'è Cammera, chcecie Czas?

Braciszek zawtórował jej natychmiast i reszta uliczników powtórzyła to hasło dnia, na wszystkie tony. Rozbiegali się wszędzie; po wszystkich ulicach, po zaułkach i po głównych placach, stawali na rogach, a wszędzie gdziekolwiek doszli, rozchodziły się ich głosiki piskliwe i przejmujące.

Ryszard, zawiązawszy sobie serwetę pod brodę, by nie powalać nowego ubrania, siedział naprzeciwko

ojca w wytwornem „Caffé Restaurant d'Europe". Maleństwo nie okazywało zniecierpliwienia, czekało na obiad z powagą dorosłego człowieka, który wie, że nie można unosić się publicznie.

— Głodnyś? spytał ojciec, podając mu jako przekąskę sardynki z Nantes.

— Dosyć, ale sardynki nie chcę — odrzekł Ryszard z miną zblazowanego bywalca restauracyjnego. I czekał obojętnie, patrząc na grubego kantorowicza, jedzącego makaron ze sosem pomidorowym, to znów na jakąś panią w czarnej koronkowej sukni w dużym czarnym kapeluszu z piór i w brylantowych kolczykach nakształt nożyczek, która siedząc sama przy stoliku, piła rosół, poruszając białe ręce, obarczone klejnotami.

Ryszard nie rozmawiał, a jego ojciec szczęśliwy, że nie jest do tego zmuszony, też milczał. Ogromne zmęczenie rysowało się na twarzy Pawła w tej chwili i przy ostrem świetle gazu, wobec lśniącej białości obrusa wydawał się o wiele starszy. Naprężenie nerwów ustępowało stopniowo, rozkurczały mu się muskuły na twarzy, ale był blady, prawie siny, z okiem przygasłem i sztywnemi wargami. Było to zwyczajne wielkie przygnębienie, nadchodzące co wieczór, chwilowy zanik wszystkich władz umysłowych, zdający się być początkiem zidyocenia, ten stan oniemienia i oschłości, upodabniający co wieczór dziennikarza do chłopa, siadającego do wieczerzy po całodziennej pracy nad rolą, na deszczu i na słońcu. Tak jak chłop, wtedy jedynie, prawie zwierzęco pożąda jadła, tej swojej dużej miski kartofli, zupy lub jarzyn, tak

samo dziennikarz i tak samo Paweł, uwolniony od ciągłego przerabiania starych i nowych formułek dziennikarskich, wolny od płonnego podniecenia, które kładzie świeże barwy na wypłowiałe dawno myśli; nie mógł marzyć o niczem innem, jak o jedzeniu. Paweł i Ryszard umówili się zgodnie, że wezmą obiady po 5 fr. od osoby, wliczywszy wino. Obiady „à la Carte“ są mniejszym przedmiotem rozkoszy dla pustego żołądka, ubywa przyjemność niespodzianek, podczas gdy obiad „couvert“ z pięciu czy sześciu potraw, urozmaicony, niewiadomy, łechce i zadawalnia: jest całą długą przyjemnością wyobraźni i żołądka.

— Kto wie, co nam podadzą? — rzekł Paweł, pożerając jednę po drugiej różne przekąski.

— Kto wie — odpowiedział Ryszard, który położywszy paluszek na brzegu stołu, bawił się widelcem.

BIBLIOTEKA UMCS LUBLIN

— Rosół z pewnością — ciągnął melancholijnie Paweł. — Rosół naturalnie.

— Ale co w nim będzie?

I Paweł patrzył w sufit, jakby czekał na odpowiedź z nieba. Z kuchni dolatywała woń kotletów, kantorowicz wyciskał cytrynę na smażonego pstrąga, młoda pani polewała sosem majonezowym kawałek homara.

— Może będą kotlety à la villeroi, mówiło cicho dziecko.

— Może.

Tymczasem służący Peppino, nadający sobie i w liberyi minę wielkiego pana, ze swobodą starego bywalca rozlewał zupę na talerze Pawła i Ryszarda. Coś tłustego pływało w rosole, ojciec i syn spożywali to

w milczeniu, skupieni oba, wyglądali jak ludzie rozmodleni.

— To pewnie tapioka — rzucił po chwili Paweł.

— Nie, to sago.

— Mnie to wygląda na tapiokę.

— Upewniam cię tatusiu, że sago, ja wiem, już nam to kiedyś podali.

Ryszard przez ciągłe bywanie w restauracyach nauczył się właściwych nazw wszystkich potraw, pamiętał je doskonale, gdy zaś podawano mu jaką potrawę nieznaną, wołał służącego i pytał o nazwę. Wiedział, co pieczeń wołowa à la finansière, co vol-au-vent, zupa à la Julienne, lub też szarlotka z owoców — te 20 potraw podawanych w restauracyach, które zmieniają nazwę, zmieniają sos, ale są zawsze te same, te rozmaite pasztety, robione z siekanego mięsa, masła, ośrodka z chleba, z tartych ryb, polane sosem ostrym albo słodkawym, Ryszard znał dobrze i smakowały one niezmiernie jego zepsutemu podniebieniu. Było to jednak dobre dziecko, stosujące się do wszystkiego i gdy zmuszeni byli dla oszczędności jeść obiad w domu, udawał, że smakuje mu tłusty rosół przyrządzony przez Maryannę i sztufada czarna, bo przypalona i makaron w pieprznym sosie. Ale ten domowy obiad, spożywany w ich pokoju, nieświecącymi się widelcami, na wyszczerbionych talerzach, wydawał mu się strasznie nędznym, oczy zachodziły mu łzami i połykał go prędko, żeby się jak najprędzej skończył.

— Przynajmniej wiecie, co jecie — mruczała poczciwa Maryanna, widząc ich niezadowolonych.

— Prawda, prawda — mówił Paweł, pochylając głowę na ten głos rozsądny i karcący.

Ale byli smutni, tak Ryszard jak i Paweł, smutni, że nie siedzą w sali restauracyjnej, zdobnej w białe sztukaterye, duże lustra o złoconych ramach, aksamitne pąsowe dywany, kominek z szarego marmuru, smutni, że pozbawieni silnego, gazowego światła, kwiatów w kryształowej wazie, najczęściej różnobarwnych dalii, smutni, że nie usługuje im Peppino w liberyi i wyświeżonej koszuli, smutni wreszcie, że wiedzieli co jedzą, wołowinę twardą i żylastą i sos z Cortony, biały jak wapno i nad miarę ostry.

— Mięso restauracyjne jest miękkie bo zgniłe — mruczała dalej Maryanna, chcąc nawrócić tych dwóch niepoprawnych — to wszystko papraniny.

Ale właśnie te papraniny im smakowały, ta niepewność tego, co jedzą, to szachrajstwo bawiło ich i łechtało im podniebienie.

— Co to za ryba? — spytał Paweł, wybierając swoją część z dużej bielusieńkiej ryby.

— Bo ja wiem, tatusiu — odpowiedział malec, wylewając na rybę masę oliwy i wyciskając cytrynę zamiast podanego mu sosu; ale gdy wreszcie Peppino przyniósł główną potrawę, kilka plasterków pieczonego krwawego mięsa z różnobarwnym konturem, rozpromienieni, zadowoleni na widok tego arcydzieła sztuki kulinarnej, zapomnieli spytać się o nazwę ryby i znowu zaczęli jeść w milczeniu. Ryszard zagryzał wypiekane paluszki, Paweł pochłaniał mięso, które miało odnowić jego siły umysłowe, przygotować go do jutrzejszej pracy. Na jego twarzy wyraz zmęczenia ustę-

BIBLIOTEKA
URZĘDU TOW. W KRAKOWIE

pował zadowoleniu i blade policzki różowiły mu się zlekka pod wpływem pokarmu i wzmacniającego wina. Spoglądał teraz wokoło z pewnem zajęciem i życzliwością zadowolonego człowieka, którego świat zewnętrzny zaczyna interesować i nie wydaje się tak do gruntu złym.

Wszedł właściciel Czasu, kierując swe kroki do stolika kantorowicza, ten wstał natychmiast nadskakująco grzeczny; rozpoczęli długą rozmowę przyciszonym głosem. Redaktor nie miał już swego zwykłego wyrazu, grubego, obojętnego bożka, wyglądał teraz na dobrodusznego tłuściocha, dobrze odżywionego i zadowolonego z życia, któryby chętnie wszystko zrobił dla szczęścia drugich. Zapięty na wszystkie guziki, wycierał pot z czoła wyperfumowaną chusteczką, a na pulchnej ręce zadowolonego i spokojnego finansisty skrzył się duży brylant.

Ryszard ujrzawszy naczelnego redaktora, oniemiał, zmięszał się i podniósł pytający wzrok na ojca. Ale Paweł zachowywał się spokojnie, twarz miał pogodną, mrugnął tylko na dziecko jakby mówiąc mu: nie trap się niczem i jedz dalej obiad. Redaktor, uśmiechnięty, patrzał w ziemię, słuchając kantorowicza i bawił się pierścionkiem. Ryszard, zbywszy się swej zmory, zajadał ze smakiem młody groszek — Paweł, wyciągnąwszy nogi, poprawiał kamizelkę i próbował dwoma palcami rozprzestrzenić trochę kołnierzyk. Redaktor i kantorowicz rozstając się, uścisnęli sobie uprzejmie ręce, patrząc sobie w oczy, jakby zawierali jakąś umowę — dobroduszny grubas zatrzymał się potem

chwilę przed damą w czerni, obsypaną klejnotami i nie siadając, zagadnął:

— Jakże się mamy?

— Dobrze, odrzekła pani trochę ochrypłym głosem, nalewając do wina selcerską wodę.

— Nie wyjeżdżamy?

— Niedługo do Livorno, a Pan?

— O ja! — rzekł, wznosząc ramiona.

Odszedł i przysiadł się poufale do stolika Joanny. Zdawał się życzliwie usposobiony.

— Dobry wieczór Joanno. Przejrzałem dziennik; artykuł wstępny dobry, bardzo dobitny, taki właśnie chciałem. Prefekta żółć zaleje.

— Jutro pozielenieje cały — odparł uśmiechnięty Joanna, zachłysnąwszy się z zadowolenia:

— Oto właśnie, o czem chciałem z Panem mówić. Trzeba dowiedzieć się dokładnie, czy mają zamiar naznaczyć te jakieś termina, o których Panu mówiłem, czysto prywatne kwestye, ale byłby skandal.

— Dowiem się, a jeśli prawda?

— Nawet jeśli tak nie jest, na podstawie samych podejrzeń trzeba zrobić artykuł — pojmuje Pan?

— Pojmuję, zobaczy pan jutro — odrzekł Paweł z przedziwną pewnością.

— A ten ładny dzieciak — dodał redaktor, gładząc loki Ryszarda — będzie także dziennikarzem? Kiedyż napiszesz swój pierwszy artykuł maleńki?

— Prędko, panie Redaktorze — odrzekł pośpiesznie Ryszard, naśladując pewność ojca.

— Rachuję na to — rzekł na odchodnem uśmiechnięty redaktor.

Ojciec i syn spojrzeli sobie w oczy rozpromienieni.

— On nie taki zły — zauważył Ryszard.

— Ale gdzie, — to dobry człowiek i pojmujesz, umie oceniać ludzi, to już wiele.

— A dużo on ma pieniędzy, tatusiu?

— Masę, to bogacz — odrzekł Paweł, jakby on to właśnie był tym bogaczem.

— Kto mu je dał?

— Czas, u dyabła — dziennik to wielka rzecz synu, na tem człowiek wzbogaca się jak nic.

I mimo, że dziecko było nad wiek rozwinięte, mimo codziennego a bolesnego doświadczenia ojca, żadnemu z nich nie przyszło na myśl i żaden nie wspomniał o własnej błyskotliwej nędzy, o tem codziennem szamotaniu się, z którego nie było wyjścia. Kończąc obiad, oba patrzyli na życie chętnie, a gdy podali im ostatnie w tym roku kuropatwy, to Ryszard z miną niezadowolonego książątka odmówił i skrzywił się tak samo na leguminę, której nie lubił, czem dotknął Peppina głęboko. Patrzyli teraz na salę, oczyma pełnemi błogiego wyrazu, z przeciągłym uśmiechem na ustach, wyglądali po tym obiedzie na istoty bardzo zadowolone z życia.

Pod koniec obiadu zjawił się jakiś przyjaciel Joanny, z czarną brodą, ubrany więcej jak skromnie, przychodził zawsze w godzinach obiadowych do Caffé d'Europe, a choć był już po obiedzie zjedzonym w jakiejś studenckiej knajpie, i nie kazał sobie nigdy nic podawać, nazywał kelnerów po imieniu, jak gdyby stałym był gościem. Wychodził zawsze z tymi, którzy

tam się stołowali, śmiejąc się i rozmawiając z nimi, tak, że ci, co go na wychodnem widzieli, przypuszczali, iż należy do wybrańców — jemu zaś dawało to jeszcze sposobność pochwalenia się przed jakąś dobroduszną panią, że wczoraj w czasie obiadu w Caffé d'Europe... etc...

— Jak się masz Joanna?

— Jak się masz kochany? przyszedłeś na obiad?

— Nie, jestem już po proszonym obiedzie, wyobraź sobie rodzaj bankietu, pito!

— Pozwolisz może w takim razie czarną kawę.

— Wolę koniak, dali tam obrzydliwą szartreuzę. Ale słuchaj, przyszedłem polecić ci książkę mojego szwagra, obiecałeś mi dawno artykuł.

— Zrobię, zrobię.

— Wiesz, mojemu szwagrowi bardzo o to chodzi, a wy dziennikarze tak się każecie prosić, muszę i ja przejść na dziennikarstwo — to karyera dająca masę zadowolenia. Jakże ci zazdroszczę Joanna. Co trzeba robić, żeby się stać dziennikarzem?

— Trzeba się nim urodzić — rzekł Paweł z pewną zarozumiałością.

— Cisnę kancelaryę adwokacką, która mnie pochłania, a nic mi nie daje, a puszczę się na literaturę, czuję do tego powołanie, a tymczasem zrób mi artykuł dla szwagra.

— Zrobię ci go.

— Zapomnisz. Ale co, polecę to temu dzieciakowi — temu ładnemu dziecku, przypomnij mu ślicznoto, że ma zrobić artykuł o książce p. Lantari — „La nave del diritto internationale“.

— Przypomnę, niech pan będzie spokojny.

Adwokat wychodząc, przeszedł przez środkową salę, żeby go wszyscy widzieć mogli.

Paweł i Ryszard zdecydowali zaś, że na czarną kawę pójdą do Grand Caffé, oddalonego o dziesięć kroków. Paweł zapłacił rachunek 10 fr. 80 cnt., 50 cnt. zostawił dla Peppina, który był za wielkim panem, żeby módz dać mu mniej — 30 cnt. za koniak.

Tłumy ludzi przechodziło o tej porze przez plac San Ferdinando i via Toledo. Paweł trzymał Ryszarda za rączkę. Jakiś młody brunet w okularach, przypominający twarzą indora, przechodząc uścisnął Pawłowi rękę.

— Brawo! winszuję ci szczerze wstępnego artykułu.

W sali wielkiej kawiarni było duszno, ojciec i syn siedli więc na dworze, gdzie stał długi rząd stołów, przy których tłumy ludzi piło kawę i jadło lody.

— Chcesz lodów, Ryszardzie?

— Nie tatusiu, chcę kawy.

— Przynieś mi też i „trabucos“ — rozkazał Paweł służącemu.

Pod latarnią, przytulone do siebie, stały dwie małe istotki, sprzedające gazety. A siostrzyczka wołała pierwsza:

— Zamordowanie d'è Camera, chcecie Czas?

Braciszek powtarzał zaraz za nią słabszym głosem:

— Zamordowanie d'è Camera, chcecie Czas?

— Tatusiu, powiedz, co znaczy, co ci mali wykrzykują?

— Nic — to na to, by łatwiej sprzedać dziennik.

— A tego niema w dzienniku?

— Nie, Ryszardzie.

— Więc na cóż to krzyczą?

— Mówiłem ci, żeby sprzedać dziennik.

— Ah! — rzekło tylko dziecko, tak jak zwykle, gdy tłómaczono mu coś, co go bardzo dziwiło.

Jakiś starszy pan, siwy, z czerstwą twarzą, przywitawszy się z Joanną, przysiadł się do jego stolika.

— Co pan pozwoli? — spytał uprzejmie Joanna.

— Dziękuję, dziękuję panu.

— Dobre cygaro „trabucos?“

— A, to i owszem, ale powiedzcie mi, co wam zrobił ten biedny prefekt?

— Mnie nic.

— Więc czemuż mu pan tak dokucza?

— A gryzie go to bardzo?

— Pewnie, ile razy otwiera Czas — sinieje — dziś dostanie chyba gorączki.

Paweł śmiał się, ucieszony.

— Nareszcie, kiedyż przestaniecie?

— Nie, nie, ja nie przestanę, póki go rząd nie przeniesie.

— To nie tak łatwo pójdzie — rząd nie zajmuje się dziennikami.

— I źle robi, jednak prefekt będzie przeniesiony, zobaczy pan.

— Pocieszy się, ma tyle pieniędzy. Ale będzie pan dziś wieczorem w teatrze? Występuje Amalia, idziemy wszyscy na chwilę, tylko może ten miły chłopczyk już senny — i gładził go po twarzy.

— Ja nigdy nie jestem senny, niech pan zapyta tatusia — odrzekł Ryszard z ożywieniem.

— Och! Ryszard to mały mężczyzna — dodał ojciec.

Siwy pan oddalił się; przechodząc koło kwieciarki, wziął od niej różę, ta uśmiechnęła się i obchodząc stoliki, doszła do Joanny.

— Chce pan różę? — spytała głosem spokojnym i miłym.

— I owszem, daj mi ją.

— Temu ładnemu dziecku dam gałązkę jaśminu — i uśmiechnęła się do dziecka, tak jak nie uśmiechała się do mężczyzn nigdy, dzieciak wpatrywał się w nią, zachwycony regularnością jej rysów, delikatną białością cery i dziwną szlachetnością spojrzenia.

Paweł dał jej franka — rzuciła go z wdziękiem do koszyczka, nie obejrzawszy go wprzódy, potem bardzo lekkim krokiem odeszła.

Paweł zapłacił rachunek wynoszący 1 f. 20 za cygara, 70 c. za kawy z napiwkiem.

Szli teraz do teatru Sannasaro.

— Ta kwiaciarka przypomina mi mamę — szepnął Ryszard, biorąc ojca za rękę.

— Nie, nie, Ryszardzie.

— Tak, jak się śmieje, tatusiu.

— Nie — mama była zupełnie co innego.

— To prawda — zupełnie co innego, ale jak się śmiała tatusiu. Czemu mama śmiała się tak rzadko?

— Była poważną — odrzekł krótko ojciec.

I nagle wśród ludu zalewającego via Cicia, wśród tylu świateł, bogatych sklepów, wieczornego

jakby świątecznego hałasu rozbawionej neapolitańskiej ulicy, mały Rychard wyglądał, jakby ogarnięty wielką melancholią. Szedł tak, że ojciec musiał go prawie ciągnąć i patrzał na wielkie wystawy niechętnie, jakby myślał o czem innem.

— Chciałbym mieć mamę tatusiu, mama kochała mnie — zaczęło mówić smutne dziecko.

— A ja nie kocham ciebie?

— Tak, tak, ale chciałbym mieć mamusię.

— Ale co ci jest dziecinko?

— W domu nudzę się sam jeden, Maryanna nudna, a gospodyni domu brzydka.

— Dokuczają ci może?

— Nie, nie, ale widzisz, nudzę się, gdyby była mamusia, tobym siedział, ale mamy niema, to nie zostawiaj mnie już samego tatusiu.

— Będę cię brał zawsze ze sobą Ryszardzie, ale nie mów już takich rzeczy.

— Zabieraj mnie tatusiu, nie zostawiaj mnie nigdy samego.

Nachylił się, żeby dziecko swoje pocałować; dochodzili do mostu, gdzie stał chłopak z kwiatami.

— Trzeba zanieść kwiaty Amalii, Ryszardzie.

— Tak, tak, ona mi daje zawsze cukierki.

— Zaniesiesz jej ty, bukiet to kłopot — weźmiemy wiązankę.

Ale kwiaty w tej upalnej porze roku, w której wszystko więdło, były bardzo drogie. Za dwie gardenie, 5 czy 6 białych róż, za parę pąsowych geranii, paproci i kilka gałązek już przewiędłego heliotropu, kupiec chciał 6 franków. Paweł po długim targu za-

mierzał odejść, ale Ryszard wziąwszy kwiaty do rączki, nie puszczał ich, kupiec z krzykiem zgodził się ostatecznie na 4 fr. Ryszard tryumfująco kroczył z kwiatami w ręku.

— Amalia ucieszy się, kwiaty są bardzo ładne — rzekł niby do siebie, a w rzeczywistości chcąc pocieszyć Pawła.

— Przed teatrem wystawała młodzież, jeden z nich rozpoczął rozmowę z Joanną, co niecierpliwiło Ryszarda.

— Dużo ludzi?

— Pełno, nabite, Amalia ma dziś świetny wieczór, ja nie miałem biletu, musiałem stać, ale teraz mam już tego dosyć.

— Chodź nareszcie — prosił Ryszard.

— Macie bilet, Joanna?

— Nie, idziemy za kulisy.

W istocie skierowali się w długi wewnętrzny korytarz, prowadzący aż do drzwi grubo obitych suknem.

— Redakcya — rzekł Paweł do odźwiernego.

Szli wąskiem przejściem między ścianą a aktorskiemi garderobami, Ryszard szedł na palcach, żeby nie hałasować.

Mąż Amalii w białej peruce, sztucznej brodzie i mundurze z adamaszku, ujrzawszy ich, uśmiechnął się, kładąc palce na ustach.

Na scenie Amalia, w męskiem przebraniu grała I. akt z „Pierwszych cierni Richelieu“. Publiczność była w ekstazie, mąż obserwował ją zazdrośnie. Oklaski dolatywały z daleka, jak słabe echo — mąż kiwał

ciągle głową uśmiechnięty, cała jego miłość własna w tej chwili skupiona była w niej.

— Tysiąc osiemset franków — szepnął odwracając się do Joanny.

— U dyabła — odrzekł tamten zdziwiony.

— Dwanaście bukietów.

— Ładne?

— Phi!

— Prezenta?

— Wachlarz i pierścionek — ładne.

— Jak na sezon, powinieneś być zadowolony.

Przeszli w głąb za scenę, tam w obszernej przestrzeni, zalanej półzmrokiem, wysuwały się jakieś skrzynie, stoły, jakieś niewyraźne cienie posuwały się tu bez hałasu. Wszyscy mówili szeptem.

Ryszard trzymał się ciągle ojca, scena zaciekawiała go, ale napełniała równocześnie obawą. Ten dziwny obszar, nie podobny do niczego, ani do placu, ani do restauracyi, ani też do kościoła lub domu, ten cichy szept i te głosy dalekie, dochodzące ze sceny, wyszminkowane twarze i obojętne i wymęczone, czekające na swoją kolej, to wszystko wywierało głębokie wrażenie na bujną wyobraźnię dziecka.

— Ryszard przyniósł parę kwiatków — szepnął Paweł.

— Chodźmy do garderoby, poczekamy tam na Amalię — odrzekł mąż; — pierwszy akt skończy się zaraz.

W garderobie było duszno i palił się jasno gaz, na krzesłach leżały porozrzucane suknie, okrywki damskie, ręczniki, w rogu spał piesek skulony na różo-

wej atłasowej spódnicy, rozmaite pantofelki i buciki leżały w nieładzie na ziemi, jakieś jedwabne pończochy wisiały na poręczy krzesła. Garderobiana z oczyma napuchniętemi od snu, klęcząc przed dużym koszem, wydobywała kostyum do jedno-aktówki.

Ryszard onieśmielony stał przed ubieralnią i patrzył na leżące kwiaty, których było pełno porozrzucanych wszędzie, nawet na podłodze.

Paweł i mąż Amalii rozmawiali z sobą, aż dał się słyszeć przeciągły szmer z daleka i Amalia przebrana za młodego Richelien, z miną łobuza wpadła cała zaróżowiona i zdenerwowana z kwiatami w ręku.

— Masz — rzekła do męża, rzucając mu kwiaty na kolana i z szybkością właściwą aktorkom, mimo, że trzęsły się jej ręce, zaczęła się przebierać.

— Oto parę kwiatków, pani Amalio — rzekł cichutko Ryszard.

— O miły, maleńki, jaki ty grzeczny, muszę cię pocałować.

I nachyliwszy swoją ładną wymalowaną twarz, pocałowała go. Ryszard stał oniemiały, na co ojciec zażartował:

— Jeśli tak potrwa dłużej, mój syn zakocha się namiętnie w Pani.

— Tak powinno być, ale przypuszczam, że to już dawno zrobione. Prawda Ryszardzie, że lubisz mnie bardzo?

— Bardzo, bardzo, rzekł mały poważnie.

— W takim razie i ojciec i syn, radzę ci Janie, pilnuj mego syna więcej niż mnie.

— Nie bój się, dopilnuję — rzekł mąż, przecią-

gając żart i wyszedł bez ceremonii do przyległego saloniku ułożyć podarowane mu przez żonę kwiaty. Amalia przebierała się za parawanem, w czasie tego rozmawiała półgłosem ze służącą, witała nadchodzących, gości, dziękowała, śmiała się. Ryszard, usunąwszy koronkową zasłonę, usiadł, chowając nóżki pod krzesłem, żeby nie przeszkadzać śpiącemu pieskowi. Wyszedłszy z za parawanu, Amalia była już gotową do drugiego aktu, w sukni wyciętej w kwadrat i iskrzącej się od dżetów. Witała się ze wszystkimi, byli u niej dziennikarze, krytycy, starzy hulacy, wszyscy stali goście zakulisowi — niektórzy szeptali jej do ucha, cofała się ze śmiechem, uprzejma dla wszystkich, podniecona powodzeniem, oklaskami i kwiatami.

— Chcę się oświadczyć Ryszardowi, zawołała nagle aktorka.

Wzięła pęk czerwonych gardenii i przybrawszy niemi włosy, zwróciła się do dziecka:

— Ładnie mi tak?

Obecni śmieli się, nie ominąwszy Pawła; dziecko skinęło tylko potakująco główką. Może wskutek ciepła i rozchodzącej się woni, może, że pora była bardzo spóźniona, ale dziwne odrętwienie ogarnęło umysł dziecka i coraz większa bladość pokrywała jego twarzyczkę. Siedział na samym końcu krzesełka, z uśmiechem na ustach, ale był to uśmiech taki, jak u osób cierpiących.

— Przyjdziesz mnie odwiedzić, prawda Ryszardzie, dam ci cukierków.

Uciekła, gdyż muzyka przestała grać, rozpoczął się nowy akt, rozeszli się przyjaciele i znajomi, nie-

którzy siedząc na skrzyniach, czekali na Amalię, by ją odprowadzić do domu.

Paweł nawiązał polityczną dyskusyę ze swoim kolegą i przeciwnikiem dziennikarskim, czarnym brodatym kalabryjczykiem, mówiącym wybitnym kalabryjskim akcentem. Pełen politycznego zapału zżymał się i ciskał na sceptycyzm Pawła.

— Chodź Ryszardzie.

Wyszli razem, mały maleńki szedł między tymi dwoma wysokimi mężczyznami; była już blisko północ.

Na dworze dyskusya rozpoczęła się na nowo. Każdy chciał przekonać swego przeciwnika. Stawali gestykulując, łapiąc się wzajemnie za guziki od paltotów, przejęci. Riszardowi oczy kleiły się, tak był senny, ale z dziecięcą uległością stawał także i wtedy stojąc zasypiał, budząc się znienacka, kiedy tamci zaczynali znów iść. W tym półśnie nie rozumiał nic z tego, co mówił jego ojciec i czarny kalabryjczyk, słyszał tylko nieznośny szum w swojej zmęczonej główce. Nie wiedział już nawet, na jakiej jest ulicy, tylko droga, prowadząca do domu, wydawała mu się długa, wieczna.

Ojciec roznamiętniony dyskusyą, przyzwyczajony do nocnego życia, nie spostrzegł męki swego dziecka, a dziecko nie skarżyło się, przygnębione sennością, stało opierając się o mur, żeby się nie potknąć, gdyż nóżki niosły go już niepewnie i coraz większa senność rozchodziła mu się po wszystkich członkach. Zdawało mu się, że już tak idzie od wielu, wielu godzin i w jego biednej duszyczce wyczerpanej od zmęczenia, powstawało tylko jedno pragnienie.

— Żeby już raz dojść do domu — żeby dojść!

Na Via Toledo dyskusya przeszła na sztukę, na Via Pigniasecca, gdzie Paweł miał skręcić na socyalizm. Kalabrijczyk zaproponował wreszcie, żeby go Paweł odprowadził kawałek jeszcze, aż do jego mieszkania. Dziennikarz chciał już iść.

— Oj! Tatusiu — zawołało płaczliwie biedne maleństwo spiąc już prawie.

Głosik ten, tak głęboko wzruszył ojca, że pożegnawszy pospiesznie kolegę, wziął dziecko swoje na ręce. Ryszard nie opierając się, dał się nieść i zasnął wsparłszy główkę na jego ramieniu.

Wielka cisza zalegała ulice, powietrze przesycone było wilgocią — jakaś spóźniona dorożka jechała wolno do stajni.

— Tatusiu, — rzekło dziecko podnosząc nagle główkę.

— Ryszardzie?

— Nie masz już pieniędzy, prawda?

— Zdaje mi się że mam jeszcze franka.

— A jutro?

— Jutro? jakiś święty zaopatrzy.

— To dobrze Tatusiu.

I znów zasnął.

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: PUB: w KRAKOWIE
IV.

II.

WIELKI DZIEŃ.

W powolnem a przytomnem konaniu, ochrypłym głosem suchotnika, ojciec, powiedział mu:

— Ryszardzie — kochasz mnie?

— Tatusiu, — czemu mówisz mi takie rzeczy?

— Jeśli mnie kochasz, to nie bądź nigdy dziennikarzem.

Wzrok konającego był tak przytomny, tak pełen trwogi i ojcowskiej litości, głos tak ponury i równocześnie błagalny, że młodzieniec szepnął:

— Nigdy nie będę dziennikarzem.

— Nigdy, nigdy, widzisz jak się umiera, dodał z żalem w głosie, nad życiem męki i bezcelowem.

I gdyby żałobny testament ojca, zawarty w tych kilku słowach, nie był wystarczył, pamięć ciężkiego ojcowskiego konania wystarczyć musiała dla serca Ryszarda. Pamiętał jak zapadł na zapalenie oskrzeli, wychodząc kiedyś nocną porą z dusznej drukarni, pamiętał, jak potem zaniedbawszy to przeziębienie, chrypł i pokaszliwał — odżywiał się źle i mało, jak połykał raz po razie parę łyżeczek codeiny, by kaszel uśmierzyć, nie zaniedbując mimo to nigdy, ani arty-

kułu wstępnego, ani listów urzędowych, ani też korekty, którą sam robił. Po jakimś czasie kaszel ustał nawet zupełnie, powrócił jednak po kolacyi, urządzonej przez prasę na dworze, na cześć tryumfującego komedyo-pisarza. W niektórych dniach, kiedy katar spadał mu na płuca, Paweł pracował w domu, w najętym pokoju na Via Tavema Penta, owinięty w szal pożyczony mu przez gospodynię, syn, który go nieodstępował, patrzył, jak biedny chory dziennikarz, pisał z wypiekami na twarzy, z czołem, zroszonem zimnemi kroplami potu. Czasami Paweł przerywał na chwilę robotę, blady, udręczony nudnościami, jakie mu sprawiały zapach atramentu i świeżego druku. Zaledwie było mu lepiej, wychodził do biura, z szyją owiniętą w stary czerwony jedwabny szalik — zatrzymując się by odkaszlnąć, przerywając pracę tylko na ten kwadrans, w którym wracała gorączka, zabierając się do niej, zaledwie mijały pierwsze paroksyzmy ataku. Później pracował już ciągle w domu, w łóżku z deską położoną na kolanach, łykając, co chwilę powietrze, opierając o stos poduszek twarz żółtą i spoconą. Odwiedzali go przyjaciele, koledzy, wchodząc, wyrzucali trzymany w ustach papieros, śmieli się trochę, trochę rozmawiali, o teatrze, o polityce, zostawali nie długo; niektórzy nachylali się do ucha chorego, mówiąc do niego serdecznie, ściskali mu tajemniczo rękę. On dziękował zawsze, czasem z uśmiechem, czasem ze łzą w oku. Dwa razy przyszedł i dyrektor, właściciel dziennika, zostawał pięć minut, patrząc w powietrze mówił banalne słowa otuchy, zostawiając na stoliku raz 40 drugi raz 30 franków.

Oparty o poręcz łóżka, cichy i milczący, ze spuszczonemi oczyma, Ryszard nie odstępował ojca na krok. Dwa dni przed śmiercią, Paweł drżącą ręką pisał jeszcze artykuł wstępny, odpoczywając co chwila a z płuc zżartych chorobą wydobywało się już złowrogie rzężenie. W dzień śmierci, zażądał codeiny, tej wiecznej ułudy suchotników, poczem leżał w pół-śnie obudziwszy się, zaczął wskazywać ręką, by mu zabrali coś co mu zawadzało, Ryszard na razie nie pojmował co by to było — dotykał wszystkich przedmiotów zapytując umierającego wzrokiem. Wreszcie zrozumiał, zabrał wszystkie gazety i wyniósł je do drugiego pokoju — konający uspokoił się natychmiast, kwadrans potem umarł, bez bólu, bez żadnego słowa, skubiąc lekko prześcieradło — błogi spokój rozlał się na bladych, wymęczonych rysach nędznej twarzy pracownika, rozpogodzonej i uszlachetnionej przez śmierć.

Ryszard zawył z bólu, ale wkrótce umilkł, wstydząc się sąsiadów. — Na stoliku leżały 2 fr. i 8 soldów, reszta z 5 zmienionych rano w sklepiku. Gospodyni domu ubrała litościwie umarłego, nie było przyzwoitych pończoch. Ryszard zdjął swoje mniej pocerowane.

Dyrektor ofiarował 150 fr. na pogrzeb, koledzy 130 zebrane składką na podpisy, małemi ofiarami z 5—2 fr. i 80 centów. Za trumną szła cała prasa, ktoś przemówił o cichym wyrobniku, który zginął na stanowisku, obecnie rozmyślali niektórzy tknięci złem przeczuciem, sierota patrzył na trumnę spuszczaną w świeży dół ubrany szaro, gdyż nie miał za co kupić żałobnego ubrania.

Dyrektor okazał się jeszcze hojniejszym ofiarując młodemu chłopcu przez trzy miesiące, sto franków na miesiąc. Potem wyrobił mu nadzwyczajną posadę w Ministerstwie handlu w Rzymie. Wszystkie gazety chwaliły dyskretnie dobroć kierownika „Czasu“.

W osamotnieniu ducha pozbawionego miłości, w naturalnej dumie wielkiego bólu, Ryszard zastosował się z łatwością do skromnej swej karyery urzędnika. Zdrętwiała w nim dusza w obec tej śmierci, zabierającej mu jedyną istotę kochaną i kochającą; mechaniczna praca biurowa od 9-tej do 12-tej i od 2-giej do 5-tej wypełniała mu na razie próżnię czasu, którą czuł koło siebie. Mieszkał i stołował się niedaleko Ministerstwa. — Zarabiał trochę więcej jak sto franków miesięcznie, ale w owych czasach życie materyalne w Rzymie było łatwe. Biedny, melancholijny i dumny Ryszard, nie uczęszczał do kawiarni, nie bywał w teatrze, ani na publicznych spacerach.

Ta jednostajność, to zupełne osamotnienie, ta surowość życia i uczuć, wydawały mu się odpowiedniemi do wielkiego nieszczęścia jakie przebył. Ze skłonnością młodych serc, przesadzał chętnie swoją żałobę. Z resztą nie miał ideałów żadnych ani projektów i umysł jego drzemał zesztywniały, zdolny chwilowo tylko do metodycznej pracy biurowej. W biurze miał przyjaciół, nigdy jednak nie mówił z niemi o przeszłości. Mieliśmy wielkie nieszczęścia szeptał. Że przytem wygląd miał arystokratyczny, pewną wykwintność i niedbałość w ruchach, że często był blady i milczący, wielu z jego znajomych przypuszczało, iż należy do świetnej zubożałej rodziny.

Młody chłopak wciągał się coraz bardziej do życia biurowego — siłą przyzwyczajenia zaczęły zajmować go plotki biurokratyczne, kochał jednego szefa, nienawidził drugiego, mówił źle o ministrze, nie znając go wcale, widziawszy go raz tylko, gdy wsiadał do powozu.

W przeciągu dwóch lat zmienił raz jeden mieszkanie i przeniósł się do restauracyjki, w której stołowała się reszta urzędników.

W niedzielę, z czteroma lub pięcioma kolegami, chodził oglądać roboty na Via Venti Settembre, nie chciał wtedy nigdy, by przy nim mówiono o polityce. Odchodził, wiedziony jakąś instynktową awersyą. — Gazet nie kupował i nie czytywał ich wcale, kiedyś nawet powtórzył machinalnie zdanie jednego z kolegów.

Gazety — same łgarstwa.

Ale zaraz zrobiło mu sią głupio, jak gdyby był znieważył jakieś imię drogie.

Któregoś dnia na placu Barberini spotkał przyjaciela swego ojca, neapolitańskiego dziennikarza.

— Drogi, kochany chłopcze — rzekł mu ten klepiąc go poufale po ramieniu. Jakże Ci się powodzi?

— Dość dobrze, dziękuje.

— I gdzież pracujesz, w jakim dzienniku?

— Jestem urzędnikiem w ministerstwie handlu.

— Urzędnikiem?! — O Jezu! a coby na to powiedział twój ojciec gdyby ożył? jego syn, urzędnikiem.

— On sam nie chciał bym był dziennikarzem.

— Tak to się mówi, pojmujesz w chorobie, a to

szczytny zawód, upewniam Cię. I ty nie zdychasz w urzędzie, nie kretyniejesz?

— Tatuś, nie chciał, żebym został dziennikarzem, nalegał dziecinnie młodzieniec.

— Bo biedak umarł, — gdyby żył pozwoliłby Ci z pewnością.

— Może..... szepnął Ryszard, może jestem za głupi, żeby pisywać do gazet?

— Et! trzeba mieć powołanie, to cała rzecz, jeśli je masz, to Cię i tak zmoże mój drogi. Zresztą to jest dziedziczne i leży we krwi.

Ryszard patrzył rozmarzony na przyjaciela swego ojca. Ale ten dodawszy parę słów serdecznych odszedł z przekonaniem, że syn jego przyjaciela był skończonym głupcem. Tego dnia Ryszard siedząc wieczorem w restauracyi czuł się zdenerwowanym, drażnili go koledzy z tem wiecznem utyskiwaniem na godziny urzędowania, na cały system biurowy — żeby ich nie słyszeć, kupił gazetę. Pamiętna ostra woń druku, nagłą falą zalała mu mury, a z nią cały szereg wspomnień z lat dziecięcych, poetycznych i melancholijnych przesunął mu się przez myśl, w jednej chwili ujrzał znów wszystko, w wizyi mrocznej a słodkiej; restauracyjną salę, oszkloną, zdobną w złoto i aksamity, maszyny drukarskie w ruchu, kulisy pełne cieni przyjaciół, stosy gazet wychodzących z rąk składających je kobiet; trwało to chwilę — i znikło. Zabrał gazetę do domu i wyciągnięty w łóżku, przeczytał ją z nabożeństwem od góry do dołu. Niektóry szablonowy układ zdań, niektóre czysto dziennikarskie wyrażenia, całe ustępy, wracały mu w pamięci, ten

język jego dzieciństwa i pierwszej młodości, przypominał mu się, przypominał jak we śnie. To była pieśń dziwna, pieśń, która wykołysała go harmonią, droga jego sercu, powtarzająca się echem w jego umyśle. Wszystko, wszystko pamiętał i ogarnęła go ogromna tęsknota. Ale zimny poranny spokój, uśmierzył tę lekką gorączkę, przywrócił Ryszardowi równowagę — pierzchły zwolna wspomnienia i sny, zostało mu tylko na dnie duszy jakieś niezadowolenie. W biurze był milczący, a ponieważ gazeta wieczorna urągała porannej, kupił ją — ciekaw odpowiedzi. — Wkrótce nawykł do tego porannego i wieczornego czytania, i jego pokój zawalony był dziennikami. Ale czytał machinalnie, nie zgłębiając tego, co czyta. Nie bardzo tem zainteresowany, tak jak zwykle człowiek zasypiający. Praca biurowa, rozmowy w lokalach publicznych, cały rodzaj życia, jakie prowadził, mimowoli przytępiały jego umysł. Jednakowoż nieokreślona melancholia pozostawała mu w duszy, po rozmowie ze spotkanym dziennikarzem. Czuł, że dziennikarz uważał go teraz za kretyna i miał żal o to. Cóż oni sobie myślą Ci panowie dziennikarze, że są jakimś rzadkim gatunkiem ludzi — przecież jaki taki artykuł, każden zrobić potrafi. I ten żal, ta uraza, wzrastały w osamotnieniu i dręczyły go. Kiedyś, wieczorem kupił papier, pociął go na arkusze tak, jak pamiętał, że niegdyś jego ojciec robił, nagle uczuł, jakby mu coś wionęło na twarz: zatrzymał się wsłuchany zamknąwszy oczy, usiłował wywołać przed wyobraźnię, twarz drogą, z przymkniętemi oczyma i sinemi wargami. Rzucił wszystko, przerażony wyszedł z domu, gonio-

ny przez jedną myśl, przez cień ukochany a bolesny, przez ochrypły głos, który mówił mu kiedyś: „Jeśli mnie kochasz“. „Jeśli mnie kochasz“. Chcąc wyzwolić się z tej męki, wszedł do „Caffé Colonna“, gdzie nigdy nie bywał, przysiadł się do studenta, dwóch urzędników i reportera, rozprawiających o polityce. Student był choleryczny — urzędnicy flegmatycy — kronikarz kiwał poważnie głową nad wszystkiem, Ryszard milczał. Później dziennikarz rozpoczął długą przemowę, przyciszonym głosem, wymieniając poufale nazwiska najbardziej wpływowych osobistości, przytaczając nawet słowa króla do Sellego a miał przytem, pewne modulacye głosu, przymrużania oczu, jakąś skromność osób dyskretnych, to znów jakby wylania nagłej szczerości, że student zaczął przysłuchiwać mu się z zajęciem, trzej urzędnicy z zadziwieniem prawie wzruszeni tem zaufaniem. Ryszard, nie chcąc poddawać się zaczarowaniu — zaprzeczył — ale kronikarz odrzekł mu zaraz z dumą.

— Nikt, nie może być tak poinformowanym jak ja. Nazajutrz, wieczorem Ryszard mimowoli powrócił do białych arkuszy papieru, z wysiłkiem, paląc papieros po papierosie, wstając, chodząc, skleił wreszcie polityczny artykuł — napuszony, długi, bałamutny, zatytułowany: „Sytuacya“. Była druga po północy, gdy skończył, drgały w nim wszystkie nerwy i trzęsła mu się prawa ręka. Czuł, w duszy bezmiar miłości, bólu, myśli, i słów, wszystkiego tego, co tłumił w sobie nie mając przed kim wypowiedzieć się. Czuł w sercu głęboki niepokój i wielką w koło siebie pustkę. Chcąc dodać sobie otuchy, przeczytał artykuł głośno, dekla-

mując przy końcu, podniecony własnemi słowy, wierząc w szczerość tego co pisał — zapłakał.

Nazajutrz, poprawił niektóre zdania, dodał przecinki, przepisał na czysto, i wsunąwszy artykuł do dużej koperty, zaadresował go do redakcyi „Gazety Porannej“ pisma politycznego, które chociaż założone niedawno, miało już wielkie znaczenie. Przez ośm dni, Ryszard otwierał codziennie dziennik z drżeniem wewnętrznem z nadzieją ujrzenia w nim swego artykułu. Nie było go jednak. Napisał więc list pełen godności, podając swój adres, prosząc o zwrot rękopisu, gdyż był mu potrzebny. Na to, nie odpowiedział mu nigdy nikt. Powtórzył prośbę kilka razy — i po paro tygodniowem wahaniu, posłał nowe artykuły, zatytułowane np. tak: „Dokąd idziemy?“ — „Bankructwo polityczne“. Żaden z nich nie został wydrukowany, wtedy zniechęcił się, czuł się pogrążony w takiej nędzy umysłowej, z której jak mu się zdawało nic nie mogło go już wydobyć.

Ale podczas, gdy godziny dzienne upływały mu coraz bardziej ponuro, wieczorne były mu wytchnieniem. Wsuwał się w jakiś kąt kawiarni Colonna i tam przy cieple spowodowanym palącym się gazem — wśród dymu cygar, zapachu słodyczy, wśród tej samej zawsze paczce studentów, drugorzędnych urzędników i dziennikarzy, wszczynały się gorące dyskusye literackie i polityczne.

Studenci z twarzami wzruszonemi, rozpaleni, odrzucali włosy z czoła. Urzędnicy od czasu do czasu rzucali nutę sceptyczną. Dziennikarze mieli zawsze wygląd liturgiczny, pontyfikujących księży.

Ryszard w pierwszych chwilach milczał, poddając się naturalnej dzikości swego usposobienia, ale powoli, ciepła atmosfera lokalu, zapach rozmaitych trunków, ciągły ruch, wreszcie, rozmowa sama podniecały go na nowo. Wiedziony arystokratycznym instynktem, zaprzeczał zdanie ogółu, choć przyznawał, iż jest słuszne, mówił więc parodoksy, gorsząc słuchaczy. Z początku mieszał się, nie znajdując na razie odpowiednich słów, nie umiał pochwycić wszystkich stron jakiejś kwestyi, ani bronić swego zdania, zbijali go więc z łatwością. Później jednak, siedząc sam w domu ciągle podniecony, bronił świetnie swojej tezy, rozmawiając z sobą głośno, po ciemku, przewracając się bezsennie na łóżku. Szeroko rozwartemi oczyma widział słowa swoje wypisane gęsto, lubował się w nich, wydawały mu się one wymowne i skuteczne, później wzdychał, myśląc, że to wszystko było bezcelowe, że nigdy w życiu nie byłby w stanie zrobić nic lepszego jak szablonowe biurokratyczne formułki. Gdy jednak posiedzenia w kawiarni przedłużały się do późna, a paczka składała się z siedmiu czy ośmiu osób, Ryszard stawał się bezczelniejszym, bronił odważniej swego zdania, choćby ono było najdziwaczniejsze. Jakiś duch przekory i walki rodził się w tym biednym urzędniku, który nabierał rozmachu i w ostatnich godzinach wieczornych stawał się prawie dzikim Jego przyjaciele, słuchali go odurzeni dymem i sztuczną atmosferą, ale w jednym z urzędników poczty Ryszard miał szczególnego wielbiciela, prawie sobotwora tak dopomagał mu mimiką, wyrażającą podziw lub admiracyę — odprowadzał go też w nocy do domu, przy-

słuchując mu się jeszcze z laską przy ustach, potakując mu głową, potakując mu zawsze.

— Czemu nie piszesz artykułów? — Czemu nie piszesz do gazet — spytał go kiedyś.

— Nie, nie, obiecałem.

— Co takiego?

— Nic, ty tego nie zrozumiesz.

W rzeczywistości, już go obietnica nie wiązała, już obraz ojca nie był w stanie ochładzać go w tej gorączce. Obecnie, rozmawiając dużo co wieczór, w kółku, w którem uważano go za dziwnego ale wielkiego mówcę, umysł jego rozwijał się i wydobywał z ciężkiej powłoki, w której tyle czasu był spowity. Jak wszystkie umysły gorące, nie przypadały mu do uposobienia długie studya w bibliotekach, w ciszy samotnego pokoju; przypadały mu raczej, zapamiętałe dyskusye w kawiarniach, w knajpach nocnych, na szarych ulicach Rzymu i codzienne szybkie czytanie wielu gazet. Umysł jego po długiem uśpieniu, wyrzucał teraz iskry skrzące się jak stal, wydobywane z aksamitnej pochwy. Nie z książek czerpał wiedzę, nie z cichego rozmyślania nad życiem, nie z ludzi, ani z rzeczy przeszłych, ale z rozmów ludzi średnich, z codziennego obijania się o życie pełne zapału, bólu, i rozpaczy. Jak Faust, tak i on pogardzał alchemią, medycyną, filozofią, zajmowała go chwila bieżąca i do niej wyciągał ręce, jak gdyby pragnął ją powstrzymać.

A chwila była dziwna, nieprzyjemny prąd otaczał ludzi stojących dotąd u steru spraw publicznych. Naród czuł się znużonym, nazywaniem sprawiedli-

wemi rozmaitego rodzaju Aristidi; ludzie przeciętni, trawieni żądzą władzy, organizowali się celem przeprowadzenia wspólnych interesów miernych jednostek; ci, którzy myśleli, czuli się już osamotnieni, niektórzy ufali, inni patrzyli pogodnie na upadek swych partyi, zmęczeni, pragnęli już jej dla spokoju. Tłum głośno politykował w kawiarniach, resursach, klubach politycznych, na placach i w knajpach i antagonizm wzrastał ciągle.

Ryszard naturalnie trzymał z tymi, którzy byli na schyłku, bo taka już była delikatność jego duszy, bo tak czuł odruchowo szlachetnie. Młodzi koło niego, podnieceni nadzieją lepszej przyszłości, mając przyjaciół lub opiekunów, wśród tych który niedługo staliby się silniejszymi, głosowali za ludźmi nowymi. Ryszard więc był sam jeden przeciw całej swojej paczce i dyskusya stawała się nieraz rozpaczliwa. Uważaj, bo jeśli ten, lub ów, zostanie ministrem, dostaniesz dymisyę, mówili mu kpiąco.

— Jeśli zostanie ministrem, sam podam się do dymisyi — odpowiadał dumnie.

— Czego się zapalasz? Co Ciebie to obchodzi? jesteś może posłem, albo dziennikarzem? — mówił mu jeden z kolegów z zimną krwią człowieka, biorącego pensyę na 27-go, który tylko tego pragnie, to posiada i kocha.

— Prawda — odpowiadał Ryszard i uspokajał się zaraz. Ale teraz, gdy wracał do domu, czuł całą swoją nędzę, nie wystarczało mu już to wszystko, co mówił, co myślał, cała ta szermierka słów. Czuł się upokorzony. Czemże on był? Z rana skromnym, nie-

znanym urzędnikiem, wieczorem próżnym paplą kawiarnianym. Kto go znał? Trzech czy czterech durni zrana, siedmiu czy ośmiu durni wieczorem. Najgorętszy jego wielbiciel był biednym urzędnikiem na poczcie, niedołęgą pokonanym i przywiązanym, który mówił mu:

— Ty powinieneś być ministrem Ryszardzie.

On jednak czuł coraz bardziej swoją nicość, trawiony pragnieniem wybicia się, nie mógł znieść pracy biurowej. Chodził, zły, smutny, coraz częściej opuszczał biuro, za co ściągał na siebie naganę, a to, usposabiało go jeszcze bardziej ponuro. Wieczorami towarzysze stali mu się nieznośni, uciekał też od nich, chodził teraz sam na spacery po tajemniczych i uroczystych ulicach Rzymu. Wspomnienia z przeszłości wracały jak fale, ale w tych wspomnieniach, nie pamiętał bolesnych chwil rannych, gdy pieniędzy nie było, ale wesołe godziny wieczorne. Nie pamiętał wstrętnych twarzy wierzycieli, ale ładne i wymalowane twarze aktorek i nie czuł wstrętu do tego koczowniczego życia z dnia na dzień, bez dachu, bez łóżka przeważnie, to życie pociągało go na nowo nieprzepartą siłą. Zdawało mu się, że choroba zrobiła ojca tak bardzo niesprawiedliwym, gdy wymógł od niego obietnicę i wszystkie jego nerwy drgały i krew zalewała mu mózg, na samą myśl, że mogłby w młodości jeszcze wrócić do tego lekkomyślnego życia. Stara krew dziennikarska, odnowiona i młoda kotłowała w nim. W wrażliwym temperamencie chłopaka, wyryte były niezmazalnie wszystkie codzienne zwyczaje dziennikarskiego życia. Godziny pracy w drukarni,

gonitwy z posiedzeń na pogrzeby, artykuły pisane w nocy, wydzierane przez zecerów jeszcze niewyschnięte, sztuczne podniecenia w skutek wielkich wypadków. Rzucony na wązkim łóżku, płakał; płakał z bólu i złości nad niemożnością odtworzenia takiego życia.

Jego marzenia i ukryte zazdrości, skierowane były do „Wieczornej gazety“ do tej gazety świetnej, silnej a mądrej, gdzie pisali wszyscy najlepsi włoscy literaci. Wartość tego dziennika była wielka, materyalnie stał też świetnie, ale wśród tłumu legenda o nim, była jeszcze większa; opowiadano sobie o tysiącach i tysiącach sprzedawanych numerów, wzmiankowano cyfry bajeczne, jako wynagrodzenia współpracowników. Szły domysły różne nad pseudonimami, szeptano sobie imiona ministrów jako autorów niektórych artykułów. Smieli się bardzo z gryzącej złośliwości dziennika ci, których ona nie dotyczyła, ci zaś, do których była skierowana, udawali też zabawionych w gruncie — boleli nad nią bardzo a że stoczył jakieś szczęśliwe pojedynki, więc i przeciwnicy mieli dla niego wielki szacunek.

Ryszard kochał się w tym dzienniku, uczył się go prawie co wieczór na pamięć, jego ułożenie wydawało mu się szczytne, solidne, niedościgłe. W jego namiętnych ambicyach dziennikarskich, współpracownictwo w tej gazecie równało się szczęściu najwyższemu; mówił o niej ze wzruszeniem, jak o uwielbianej osobie, i wszystko, co w niej pisano, uważał za słuszne, uczciwe i podniosłe.

Czasami w dwóch wolnych godzinach południo-

wych, chodził podpatrywać drzwiczki cudotwórcze, dwa razy ośmielił się nawet wejść, prosząc o zadawnione numera. Czekał wtedy w przedpokoju, wzruszony, oniemiały, onieśmielony tak, że nie śmiał nawet zaglądnąć przez okrągłe szybki w drzwiach grubo wybitych suknem. — Odchodził smutny jak wygnaniec. Wskutek ciągłego spacerowania po placu Montecitorio gdzie mieściła się redakcya, nauczył się poznawać dyrektora, niskiego blondyna w okularach. Z dyrektorem chodził czasem jakiś człowiek pulchny z czarnym wąsem, ale Ryszard dobrze nie wiedział, kim był. Jakiś współredaktor z pewnością. Patrzył na nich z rozczuleniem, myśląc że może oni w tej chwili, budowali w myśli, jedną z tych zgrabnych konstrukcyi prozą, w których była taka lekka prostota, a taka sympatyczna zarozumiałość ludzi pewnych swoich przekonań.

— Jeśli partya przegra, zobaczysz jak się zgasi twoja gazeta — mówił mu jeden ze studentów z natury złośliwy.

— Nie może umrzeć, jest nieśmiertelna jak wszystko urodzone z myśli, mówił dumnie Ryszard.

Ale w głębi duszy miał urazę do tego swojego ukochanego dziennika. Trzy razy posyłał artykuły a żaden z nich nie został nigdy wydrukowany; zdawały mu one kwiatem jego inteligencyi, pierwszym świeżym pączkiem, tym pędem niewinnym a silnym, który ginie prawie zawsze w koszu podartych papierów.

— Więc jakże się zaczyna? Cóż robili by się wybić, ci szczęśliwcy, którzy przemawiali teraz co rano do stutysięcznych czytelników! — Z wieczorem

napadała go waryacka ochota zaczepienia któregoś z nich na ulicy, dla wydarcia z niego tajemnicy, tego pierwszego kroku.

— Nie potrafię nigdy, — mówił do siebie z rozpaczą. Przyprowadziło go to o chorobę; dostał żółciowej gorączki, która przerodziła się w malaryę. Przez półtora miesiąca nie czytywał wcale gazet, później w chwili słabości otworzył tę ulubioną. Czytał nie rozumiejąc, osłabiony chorobą, wycieńczony intensywnem życiem wewnętrznem, nagle, ogłoszenie którem administracya oznajmiała, iż poszukuje korektora, wstrząsnęło nim do głębi, po chwili zawstydził się; widocznie choroba upadlała go do tego stopnia, podszeptując mu tak wielkie upokorzenie. Napróżno próbował myśl odwrócić, serce szeptało mu, że żadna praca nie jest podrzędną, żadna działalność choćby najskromniejsza, nie jest pogardy godna.

Czemże był, żeby się tak cenić, tylko biednym urzędnikiem, więc i praca w ministerstwie była upokarzającą, napróżno biedak pragnął obronić się pokusie, był bezbronny, słaby i bez oparcia, a pokusa wzrastała z siłami, stawała się coraz silniejsza, coraz żywszem pragnienie tego życia dziennikarskiego, tak, że w końcu wyobraźnią już w niem był. Wyobrażał sobie, że siedzi wśród stosów białego papieru, przed głębokim kałamarzem, z grubem a krótkiem piórem w ręku, trawiony tem zwykłem dziennikarskiem zdenerwowaniem, że pokrywa kabalistycznemi znakami białe arkusze papieru, że jest tem drobnem kółkiem ciężkiej maszyny, ziarnkiem prochu porwanego wirem.

Czuł się szczęśliwym tą swoją pokorą i wyciągał ręce jak dziecko wzywające matkę.

— O Tatusiu, Tatusiu co mam zrobić — wołał jak chore dziecko.

Ostatni raz zawładnął nim wstyd na placu Montecitorio, gdy już szedł zaofiarować się. Rumieniec pokrył mu ładną i po przebytej chorobie jeszcze bladą twarz, zawahał się, zboczył z drogi, idąc machinalnie rozmaitemi ulicami, przerażony myślą, że może wzięliby go za żebraka. Namiętność była jednak silniejsza od wszystkiego, przyspieszył kroku by prędzej skończyć tę chwilę ciężkiej próby.

Była niedziela, na schodach redakcyi spotkał parę osób schodzących, dyskutujących i roześmianych schylił głowę, przyspieszając kroku.

— Chciałbym pomówić z naczelnym redaktorem.

— Zajęty, niech Pan łaskawie poczeka, — rzekł odźwierny z pewną uprzejmością, nadając sobie ważną minę.

Podczas gdy Ryszard spacerując wzdłuż i wszerz, nie chcąc siąść, by nie mieć wyglądu żebraka czekającego cierpliwie jałmużny, ruch w przedpokoju nie ustawał na chwilę. Panowie zafrasowani wchodzili prosto do redakcyi, nie meldowani, siedzieli tam chwilę, poczem wychodzili zamyśleni i roztargnieni; drukarze w niebieskich bluzach i papierowych czapkach na głowie wpadali pośpiesznie, wybiegali pędem. Listonosz z poleconemi listami, konferował z administratorem stojąc wyprostowany przed jego stołem, wydobywając serje pism ze skórzanej czarnej torby przewieszonej przez ramię.

Nikt nie zważał na czekającego Ryszarda, poczuł się w jakimś innym świecie, wśród ludzi czynu, ale obojętnych, wśród organizmu silnego ale skoncentrowanego w swoich elementach. Dwa razy zbliżył się do drzwi, chcąc odejść, odźwierny ani się obejrzał, czekał więc znów cierpliwie, tylko w jego wyobraźni redaktor zamknięty w swoim biurze, do którego przychodziło tylu ludzi, który co chwila dzwonił krótko, rozkazująco, wzrastał do jakichś fantastycznych rozmiarów. Czyż nie był on kapłanem, celebrującym w głębi kaplicy, tym panem możnym a tajemniczym, którego imię znali wszyscy, ale do którego dopuszczeni byli tylko wybrani.

— Proszę, — rzekł odźwierny wracając.

Ryszard przeszedł jeden pokój pusty, potem drugi, gdzie pisało dwóch mężczyzn, którzy nawet głowy nie podnieśli, w trzecim dopiero siedział naczelny redaktor za biurkiem wyglądającym jak fortyfikacya z drzewa i papieru. A był to przystojny mężczyzna, wysoki i rozrosły, o łagodnych i przenikliwych oczach, pisał właśnie coś na świstku oddał to oddźwiernemu i podniósłszy głowę rzekł do Ryszarda:

— Czego Pan sobie życzy?

Głos był łagodny, on sam zaś roztargniony.

— Przyszedłem..... o to miejsce korektora — szepnął Ryszard.

— Mamy dużo ofert... ale zobaczymy.

— Jak się pan nazywa?

Ryszard Joanna.

— Nie zajmuje się Pan niczem innem?

— Jestem w ministerstwie.

— Ach! i zna się pan na korekcie?

— Ojciec mój był dziennikarzem — odrzekł pół głosem Ryszard.

— Gdzie?

— W „Czasie“ neapolitańskim, w biednej gazecie, i z trudnością połykał ślinę.

— Zna pan godziny zajęcia? trzeba przychodzić od 4-tej do 7-mej.

— Tak Panie. Mógłbym też przychodzić od 12 do 2-giej.

— To zbyteczne. — Dowidzenia Panu.

— Mam wrócić?

— Niech Pan wróci... we środę... tak, we środę.

I schyliwszy głowę, zaczął znów pisać.

Ryszard odszedł nie zapytawszy nawet, jakie było wynagrodzenie. Krew uderzała mu do głowy. Czuł się zepchnięty na samo dno swych nadziei. Myślał, że redaktor zainteresuje się nim, rozpyta go, że wreszcie będzie mógł powiedzieć mu wszystkie swoje nadzieje pisarskie, że usłyszawszy, iż jest synem dziennikarza, rozpyta się go o ojca. Wyglądał taki dobry, że Ryszard, przy pierwszem serdecznem słowie, byłby mu chętnie zarzucił ręce na szyję. Ale on, jak wszyscy ludzie bardzo zajęci, powiedział mu uprzejmie jedynie to, co było potrzebne i nic więcej. Ryszardowi, to przyjęcie tak zresztą proste, wydawało się okrutnem rozczarowaniem. Postanowił nie wrócić więcej, ani w środę, ani nigdy, żałując, że wogóle poszedł do tej redakcyi, gdzie nikt się nim nie zajmował, nikt o nim ani wiedzieć nie chciał. Przysiągł, zaklinając się na wszystkie świętości, że

już nigdy nie będzie czytać tego dziennika, ani żadnych innych.

Ale we środę, był znów na placu Montecitorio, pragnąc tego, czem trzy dni temu pogardzał.

Wahał się jeszcze chwilę, wszedł do kawiarni, napił się „wermutu“ dla dodania sobie ducha. Oh! dziś pomówi z pewnością z redaktorem, zmusi go wymową bólu do wysłuchania wszystkiego

— Mam list dla pana — rzekł mu redaktor gdy wszedł.

Ryszard odebrawszy list, trzymał go chwilę w ręku nie czytając, ciężył mu jak ołów. Potem, jednem spojrzeniem przeczytał. Był przyjętym, mógł rozpocząć pracę od dnia następnego. Zmieszany ukłonił się wyszedł z goryczą a zarazem błogiem uczuciem w duszy. Teraz dopiero poczuł się wyczerpanym po tych dniach gorączkowego podniecenia.

Pobiegł do ministerstwa, prosząc szefa o zmienienie mu godzin urzędowania, tłomacząc, że woli pracować od 1-ej do 4-tej.

— Znalazł Pan nowe zajęcie?

— Tak.

— Cóż takiego?

— Przy dzienniku „Baiardo“.

— Bardzo Panu winszuję, będziemy czytali Pańskie artykuły.

Ryszard, nic nie odrzekł, zamierumienił się tylko trochę, wstydząc się kłamstwa, które milczeniem potwierdzał.

Szef dał mu chętnie pozwolenie; zaraz przy obiedzie i w Caffé Colonne zaczęły o tem krążyć

wieści, tak, że pytali go się wszyscy trochę niedowierzając a trochę zazdroszcząc.

— Czy prawda, że jesteś w „Baiardzie“?

— Tak, — odpowiadał na tyle pozbawiony cywilnej odwagi, że nie śmiał wyznać prawdy.

Ale najbardziej wzruszonym był urzędnik poczty. Ze łzą w oku i głosem niepewnym winszował przyjacielowi, mówiąc, że zawsze przepowiadał mu świetną przyszłość, że jego szczęście uważa jak własne, że odtąd codziennie kupować będzie „Baiarda“ i czytać artykuły swego najlepszego przyjaciela.

— Ja poznam zaraz po stylu które twoje, ale ty uprzedź mnie zawsze, gdy będzie co twojego; pamiętaj, uprzedź.

— Uprzedzę, — szeptał Ryszard zrozpaczony do reszty.

Wróciwszy do domu, czuł obrzydzenie do siebie, do przyjaciół, do życia, usnął snem kamiennym wyczerpanych dusz.

Nazajutrz o czwartej był już w biurze redakcyjnem, zdenerwowany, nie wiedząc jeszcze co będzie tam robił.

Odźwierny zaprowadził go do pokoiku tak małego, że mieścił się w nim zaledwie stół i krzesło. Na ścianie wisiała mapa Włoch.

Zaraz po jego przybyciu, wszedł naczelny redaktor i przywitawszy go wręczył mu korekty, polecając dużo „od linii“.

— Nic więcej. — Ryszard wchodził do dziennikarstwa służbowemi schodami, jak mularz noszący wapno, lub kominiarz czyszczący kominy. Czemu nie

odchodził jeśli pozostawała mu odrobina godności? W tej chwili wszedł „piccolo“ z drukarni, położył plikę korekt, i uciekł.

A gdy jego pióro oparło się o papier, gdy poprawił pierwszy błąd druku, jakąś literę przestawioną, uczuł, że jest skrępowanym na zawsze, że ofiara jest już spełnioną.

Praca jego była powolną, jeszcze niewprawną, próbował przypomnieć sobie, jak niegdyś pomagał ojcu w robieniu korekty.

W miarę jak mijały godziny, dołączali mu nowe korekty, z przerażeniem patrzył jak nagromadzała się robota, zaczął się mieszać i posmutniał nagle bardzo, sam jeden w tym pokoiku, w tej szarej smutnej godzinie zapadającego zmroku.

Spieszył się jak mógł, przeoczając niektóre błędy. Przyniesiono mu dwie pierwsze złożone stronice, już gotowe o 5-tej, jeszcze wilgotne. Zafrasował się, gdyż z tem nie miał jeszcze nigdy do czynienia, nie wiedział, gdzie miał stawiać znaki, szczęściem mało było błędów. Brak wprawy odbijał się już na jego organizmie, wielkiem znużeniem.

— Przyjdzie pan do drukarni poprawić trzecią stronicę? — spytał „piccolo“.

— Przyjdę.

— Drukarnia była niedaleko, na tym samym placu. W małym pokoiku naczelny redaktor układał jakiś telegram; suchy, wysoki mężczyzna o wyglądzie melancholijnym i sympatycznym, choć trochę na „don Kiszota pisał po drugiej stronie stołu. Nie było miejsca dla Ryszarda. Majster wskazał mu wysoki stołek.

Ryszard siadłszy pod płomieniem gazu, poprawiał trzecią stronicę. Nie było nic więcej do roboty. Poszedł, nie pozdrawiając nikogo, przez nikogo nie pozdrowiony — wszyscy pogrążeni byli w pracy w tej ostatniej pół-godzinie. W restauracyi, gdzie stołował się stale, było już pusto i prawie wszystko było zjedzone przez urzędników przychodzących tam o 5-tej na obiad. Zjadł, w najgorszym humorze.

W kawiarni, urzędnik pocztowy zagadnął go zaraz.

— Jakże tam. Jest co Twojego w „Baiardzie“?

— Nie, jeszcze nie.

— Nie rób tajemnic, — odrzekł mu tamten z miną sprytnego lisa, ja się poznam, wiesz, po stylu; mnie można wszystko wmówić prócz tego co myśli i mówi Ryszard Joanna.

Ktoś inny spytał.

— Czy prawda, że minister spraw zagranicznych upadnie jednym głosem w parlamencie?

— Ja nie wiem, — odrzekł strasznie znudzony.

— Nie chcesz powiedzieć, bo wszyscy tacy, dziennikarze. Jego zajęcie w redakcyi trwało jednostajnie, nie przerywane żadnym nowym wypadkiem. Od czasu do czasu przychodził przystojny, naczelny, redaktor do jego pustego pokoiku, polecał mu wtedy specyalnie jakąś korektę, nalegając zawsze o jak najczęstsze zaczynanie wiersza od linii. Czytelnika męczy proza gęsto pisana, mówił — i odchodził naglony zajęciem.

Z dalszych pokoi, Ryszard słyszał śmiechy, czasem ożywiony ruch przechodniów, a jednak nie śmiał

nigdy tam iść nie wołany. Redaktorów nie widywał nigdy, przez co gazeta nie przestawała być dla niego, czemś tajemniczem, redakcya, miejscem pontyfikujących nieznanych kapłanów, odmawiających litanie polityki i sztuki. Wieczorem w kawiarni pytano.

— Joanna powiedz kto podpisuje „Molosso“?

— Nie wiem.

— A Stellino?

— Też nie wiem.

Takie odpowiedzi, wywoływały niezadowolenie wśród jego przyjaciół, przypuszczali, że chce utrzymać w tajemnicy pseudonimy, przedmiot drażniący ich ciekawość i wywołujący ustawicznie między niemi kłótnie.

— A ty jak podpisujesz?

— Nie zdecydowałem się jeszcze.

— Daj spokój, nie chcesz powiedzieć.

Znienawidził kawiarnię, ludzi i wszystko wkoło siebie za te wieczorne katusze. Uważał że kara za kłamstwo przewyższa winę, nie umiał przybrać swobodnego wyglądu, nie chciał wymyślać nowych kłamstw, gdyż i pierwsze było niedobrowolne. Drżał na myśl, iż koledzy z ministerstwa i kawiarni dowiedzą się, że jest tylko nędznym korektorem, biednym mularzem zatykającym wapnem luki, wspaniałego budynku. Te jego wymijające odpowiedzi, nieznajomość spraw zakulisowych, spraw gazety, z czasem, zwróciłyby ich uwagę z pewnością, a wtedy ilość kpin, ilość ironii, co za upokorzenie.

Powodowany miłością własną, rzekł kiedyś wieczorem w kawiarni.

— Przeczytajcie wstępny artykuł — nadzwyczajny napisał go dyrektor.

— Podpisuje „Baiardo“?

— Tak.

— Jakże to może być, jeśli dyrektor jest w Lombardyi, w willi naszego jeneralnego dyrektora, rzekł mu urzędnik ministerstwa wojny.

— Widocznie wrócił.

Ale nie ponowił próby, potem przez tydzień pracował w korekcie machinalnie.

Teraz dopiero spostrzegł, że praca ta pozbawiała go wielkiej codziennej przyjemności czytania Baiarda, dawniej, gdy był jeszcze niezależnym, kiedy nie poddał dobrowolnie rąk do skucia, czytanie dziennika było dla niego wyrafinowanem umysłowem zadowoleniem, dołączała się i przyjemność niespodzianki, wówczas, gdy brał do rąk zamkniętą gazetę, nie wiedząc jeszcze jakie zawiera wiadomości, a co wieczór odbierał z niej dodatnie wrażenie. — Teraz, co wieczór, poprawiał pomylone litery i przy tej pracy drobiazgowej a mechanicznej zatracał sens zdania. Ustępy dowcipne, w których była duża litera zamiast małej, nie robiły na niego żadnego wrażenia, w wierszach, w których brakowało przecinków, nie odczuwał słodyczy słów; poprawiwszy, próbował przeczytać uważnie, lecz te różne czarne znaki irytowały go tak, że po chwili, znudzony przerzucał kartki, pozbywając się jak najprędzej tej pracy. Wieczorem, próbował czytać dziennik jak zwyczyjny czytelnik, ale nie miał już w tem żadnej przyjemności, brakowało mu niespodzianek, wiedział już wszystko; zamykał oczy, widział

długość artykułu, podpis, tytuł, znaki hieroglificzne korekty i tak z każdym dniem zanikała przyjemność, jaką sprawiała mu dotąd gazeta.

Z upływem czasu, w jego duszy niespokojnej a wrażliwej, wzrastał wstręt do tych artykułów politycznych i literackich, to je widział niepoprawione, rękopisy pełne bazgrot, odnośników, gdzieniegdzie przetykanych ortograficznemi błędami, odbierało mu to całą poezyę i piękność tworów dziennikarskich. Wzrastał mu w duszy, przy rozczarowaniu, pewien sceptycyzm, tak jak u tych, którzy przeznaczeni są z urzędu do ciągłego stykania się z nagą formą rzeczy ludzkich, jeszcze nie przyozdobionych sztuką, prymitywną i nieciosaną.

Ryszard, był jak lekarz nie wierzący w zdrowie, jak krawiec nie wierzący już w doskonałość form, jak fryzyer pogardzający naturalnemi bujnemi włosami, z których wyciągnąć można mało korzyści. Chwalono przy nim jakiś artykuł, że trafny, prosty, lub czysty w formie, podnosił ramiona, myśląc, jak jemu ten sam artykuł wydał się brzydkim, często nawet śmiesznym, wskutek błędów zmieniających znaczenie słów. I tak, dziennik stracił rozkochanego czytelnika.

Ryszard, po paru miesiącach korekty już zapadł na tę dziwną a fatalną chorobę dziennikarską: wstręt do własnego dziennika, wstręt skryty, często zwalczany, zwykle zazdrośnie tajony, czasem sceptycznie wyznaczony. Żaden redaktor nie jest w stanie przeczytać uważnie „całego“ swego dziennika, a Ci którzy to robią częściowo, robią to roztargnieni. — Oko dziennikarskie tak przenikliwe w odnajdywaniu w sze-

snastu kolumnach innego dziennika, zdania słowa, które go zajmują, zamglone jest i zamroczone przy czytaniu własnego. Biedny korektor cierpiał na tę chorobę, tak jakby już sam pisał.

— Co tam nowego w Baiardzie, — pytał z zajęciem Brandi, jego przyjaciel z poczty.

— Zwykłe rzeczy — wyrwało się raz zniecierpliwionemu i znudzonemu Ryszardowi.

— Największy jego żal do redaktorów był ten, że nie pokazywali się nigdy, żaden nie przychodził do niego, a rzadką była sposobność przejścia do innych pokoi, tak, że i z widzenia nie znał stałych współpracowników gazety.

Kiedyś, spostrzegłszy w kawiarni młodego majora otoczonego oficerami, spytał o niego siedzącego przy nim reportera.

— Jakto nie znasz go? Przecież to Barottieri, jeden z twoich kolegów.

Te rzeczy upokarzały go bardzo. Redaktorowie wydawali mu się za dumni, zanadto arystokratyczni. Wpadali na chwilę do biura, i wybiegali zaraz wywoływani interesami, do Parlamentu na posiedzenie Komisyi; zajmowali się oni dziennikarstwem dla rozrywki, dla przyjemności, dla umysłowego zadowolenia, ale po pańsku. W pamięci jego odświeżały się wspomnienia z przed dziesięciu laty, z dziennikarskiego życia swego ojca, który przepędzał w redakcyi osiem godzin na dobę, zawsze przy pracy, zawsze z otwartemi drzwiami dla wszystkich, wysłuchujący wszystkich, dogadzający każdemu; narażony w przeciwnym razie na niepopularność gazety, wytężający umysł

dla zwabienia czytelników, zawsze w strachu, by którego nie zrazić. Przypominał sobie dziennikarstwo to ukryte, skromne, prowadzone przez ludzi nieznanych, nie podpisujących się, walczących codziennie z dziesięcio frankowym papierkiem. Różnica była ogromna, krok zrobiony w przeciągu dziesięciu lat — wielki — i kiedy myślał o tej plejadzie szczęśliwych pisarzy, panów, publiczności i myśli własnych, darmozjadów niezależnych, wynagradzanych hojnie, czuł litość głęboką dla tego biednego zmarłego, którego śmierć dopiero oderwała od stolika redakcyjnego.

Przejęty do głębi swej istoty, gazetą, był ciągle wyłączony z jej życia. Gazeta pochłaniała go, tracił w niej codziennie swoje cechy osobiste, zapoznany jak trytor pospolity i zbyteczny.

Premiery teatru i opery, bywały jedynemi jasnemi promieniami w jego smutnem życiu, sprawozdania bowiem z nich pisał neapolitański krytyk, krótkowidz o grubym nosie, dotykającym wąsów — genialny. — Jego sprawozdania, były oryginalne, dowcipne, sarkastyczne, czasem wierszem pisane, czasem prozą, często komiczne bardzo. Ponieważ dowcip zależy czasem od podziału słowa, od ortografii, więc redaktor sam swój brulion poprawiał — siadał wtedy koło Ryszarda, zamieniając z nim parę słów.

Pisarz ten, nie był wcale wesół, jak zresztą zwykle humorysta, ale był sympatyczny, mówił wybitnym neapolitańskim akcentem, i te parę zdań dodawało Ryszardowi otuchy, przejmowało go serdecznością.

- Czy Pan, Neapolitańczyk, — spytał pewnego razu.

— Tak panie.

— To Rzym zapewne, nie przedstawia się Panu wesoło?

— Neapol, jest ojczyzną sercu, szepnął Ryszard, ale tu się myśli.

— No tak; odrzekł redaktor, zabierając się filozoficznie do swoich brulionów.

Innym razem zagadnął go:

— Spotkałem Pana w ministerstwie handlu, jest Pan urzędnikiem?

— Niestety.

To nic przykrego, mnie z tym dobrze osobliwie pierwszego.

Na tem kończyły się ich rozmowy, to jednakże było wiele, dla istoty tak opuszczonej jak Ryszard, zamkniętej w swej skorupie jak ślimak. — Nawet z młodym administratorem nie rozmawiał nigdy, gdy szedł pierwszego po pensyę. Te sześćdziesiąt franków zarabianych tą jego machinalną pracą, upokorzały go, nie przeliczał, nie patrzył się na nie, tylko prędko, prędko podpisywał w rejestrze i odchodził.

Znajomi jego przypuszczali, iż dużo zarabia, dziwili się więc, że mieszka dalej w pokoiku za dwadzieścia franków — jada w trzeciorzędnej restauracyi i nigdy nie zafunduje im ani szklanki piwa. Niegdyś poproszono go o pożyczkę 80 franków, innym razem o 200, musiał odmówić, odpowiadano mu na to. Czemu nie weźmiesz z administracyi dziennika, i mieli go za skąpego i egoistę.

W rzeczywistości, ten już 20-letni chłopak cierpiał dotkliwie nad swa nędzą, którą tem bardziej odczuwał

im wyraźniej zarysowywały się przed nim kontury życia stolicy, kusząc go tem wszystkiem, do czego nie miał możności dostępu. Wychodząc o 7-mej z drukarni o godzinie, w której już wszystkie restauracye płoną od świateł i roją się od ludzi, spacerował wolno, zapuszczając zazdrosny wzrok w głąb restauracyi bogatych, ludzi szczęśliwych, jedzących delikatne potrawy na wykwintnej porcelanie; przypominał sobie wtedy, że i on w dzieciństwie używał tych rozkoszy, w dniach, w których ojciec posiadał pieniądze. Wyobraźnia jego pracowała ustawicznie. Przechodząc koło wielkich pałaców patrycyuszów, odtwarzał sobie w myśli, obszerne jadalnie, o rzeźbionych drzewach, o świecących się krzyształach i srebrach, puszystych dywanach przygłuszających kroki służby, kratach na przeczystych obrusach, z panią domu o dyskretnym a zachęcającym uśmiechu. W trzeciorzędnych restauracyach, do których zmuszonym był uczęszczać, bielizna podejrzanej czytości pachniała mydłem, sztućce były z żółtego metalu, talerze z grubej porcelany, potrawy wiecznie te same, czuł się tam nie swój, gdyż wszystko raziło jego arystokratyczne instynkta; jadł, żeby głód zaspokoić, niezdolny do przedłużenia obiadu ani chwili dłużej, niż to było koniecznem.

Czuł się zgryzionym także w wieczorach premiery, kiedy ogłoszoną była naprzód, wyczekiwana przez wszystkich, którzy na nią iść mogli, przypominał sobie wtedy dzieciństwo swoje i pierwszą młodość, wówczas, gdy co wieczór bywał w teatrze, chodził za scenę i pieszczony był przez aktorki. Nigdy z Baiarda nie dostawał biletów, wszyscy myśleli, że ma ich

pełno, prosili o nie i dziwili się bardzo, gdy w wieczór premiery, on siedział lub ukazywał się w kawiarni. Podnosząc ramiona tłomaczył, że teatr nudzi go. To nie była prawda. Nawet gdy przedstawienie było złe — komedya błaha, muzyka nudna, jego młoda dwudziestoletnia wyobraźnia radowała się na samą myśl, zobaczenia tylu kobiet zebranych w jednej sali, ubranych wytwornie, ozdobionych w kwiaty i klejnoty, uśmiechniętych melancholijnie. — Po latach odosobnionego życia uległ nareszcie naturalnej sympatyi, rozmarzającej go teraz przy każdym napotkanym kobiecym profilu.

Nieśmiały a dumny, wobec mężczyzn w ciągłej obawie, aby który nie uraził jego duszy — czuł, że kobiety są lepsze, wyrozumialsze, pieszczotliwiej serdeczne, szlachetnie litościwe. Czuł, że jego wrodzona potrzeba serdecznej słodyczy, miłości cichej i subtelnej, w nich tylko znalazłaby ujście. — Nie pragnął tego, co charaktery silne, zrównoważone, to jest przyjaciela poważnego i serdecznego, przezornego w radach, silnego w napomnieniach; pragnął przyjaciółki idealnej, słów miłosnych, wypowiadanych głosem wzruszającym, spojrzeń przejmujących, współczucia kobiecego spowitego w aksamit, woniejącego perfumami, czułości sentymentalnych, wypowiadanych ładną kaligrafią, na szczególnym papierze, ze szczególnym monogramem.

Nie pragnął dla słabości swego serca przywiązania stałego choć surowego — gotowego przyjść z pomocą, jak i z odradzającą naganą, pragnął współczucia kobiecego, znajdującego wymówkę dla każdego

błędu, przebaczającego każden grzech. Mężczyzna ofiaruje lojalną rękę i działalność swoją, ale kobieta bliższą jest sercu, ona nie pomoże, lecz wspólnie zapłacze. Ryszard tęskni, za płaczem kobiecym zmieszanym ze swoim, za takim płaczem przeczystym i pełnym słodyczy, który zabrałby z sobą wszystkie od lat wielu nagromadzone gorycze. W tych chwilach przełomowej czułości, każde zjawienie się kobiety, rozbudzało jego wyobraźnię.

Para oczu przymkniętych, patrzących poza czarną woalką, uśmiech rozchylający usta, wysmukła nóżka, dotykająca zaledwie chodnika, twarzyczka spostrzeżona za szybami umykającego powozu, cień jakiś błąkający się o szarej godzinie na terasie książęcego pałacu, cień nie należący może do kobiety porywały mu duszę.

Poezya kobiety, była pierwszą, która wtargnęła do duszy poety. Nie kochając jeszcze, nie będąc może przeznaczonym do tej najrzadszej formy uczucia— namiętności — analizował konsekwentnie.

Największą przyjemność odczuwał w niedzielę w willi Borghese, gdy patrzył na szereg powozów w których kobiety tryumfująco królowały: jedne z wyrazem zamyślenia na ustach, z przymkniętemi oczami, inne obojętne i pogodne i kiedy krwawe, gorące słońce chowało się za cyprysowe drzewa Monte Mario, a one wyglądały wszystkie, jakby pobladłe; barwne ich suknie, mieniły się i zlewały w tysiące harmonijnych odcieni, on, odczuwał wzruszenie takie, jakie odczuwa się na widok wielkich życiowych zjawisk. Dwa, czy trzy razy, kupił sobie bilet do teatru, opła-

cając ten zbytek dotkliwemi oszczędnościami w drobnych wydatkach. Te parę godzin rozpromieniało potem na długo szarzyznę jego życia. Były to wizye przecudnych obrazów, rozpalających krew, nieuchwytne profile, przenoszące duszę do sfer idealnych bladych zamyślań, wizye przepychu i bogactwa, roztaczającego się wspaniale u stóp kobiety.

Niestety nie lubił mieszczanek w czarnych zarzutkach i kapelusikach, przystrojonych czarnemi pióry, ani dziewczyn, szyjących na maszynie w domu, naprzeciwko jego mieszkania, ani zgrabnych wyrobnic, uderzających obcasami o bruk. Kobieta pracująca, biedna i skromna, nie odpowiadała jego fantazyom poety. Nie oddawał serca za pierwsze spojrzenie serdeczne, za pierwsze miłe słowo; serce, chował dla wybranej, nie znanej jeszcze, dla kobiety otoczonej wytwornością, egzotycznie uperfumowanej, władczyni wszelkich odczuć duchowych. Ale ta istota idealna wydawała mu się niedoścignioną, dla niego tak strasznie ubogiego. Jedna pozostawała mu nadzieja — nie zdobycie bogactwa, ani szlachectwa, ani politycznego powodzenia, to były marzenia za dalekie, marzył o zdobyciu powodzenia literackiego, sławy pisarza, nazwy modnego dziennikarza. Intuicyjnie zgadywał serce kobiece.

Gdy obok sprawozdania parlamentarnego opuszczając nudnych polityków, pisarz wspomni o dobroczynnym pojawieniu się w loży dyplomatycznej, uroczej hrabiny X, to choćby hrabina przyzwyczajoną była do hołdów, hołd, oddany w sposób tak subtelny, bezwarunkowo miłym jej być musiał.

Kobiety, myślał, czują wdzięczność dla umiejących je oceniać, znają dobrze swych przyjaciół i są słodkie dla śpiewającego na ich cześć poety.

Miał wtedy dwadzieścia dwa lat, klął że żyć musi w cieniu, z którego nie wydobywało go nic, ale szamotania się jego były próżne, gdyż nie pobudzały go do czynu, ani do pogodnej reakcyi. Jak u wszystkich temperamentów miękkich i fantastycznych, żywe było jego życie wewnętrzne i umysłowe, a pogmatwane i bezcelowe życie czynu.

Dnia jednego, krytyk teatralny poprawiając swój wiersz na cześć jakiejś pani z wielkiego świata, rzekł do niego:

— Chce Pan pójść do teatru, mam fotel, ale iść nie mogę? Czuje się Pan na siłach napisania paru słów w kronice jutrzejszej? Parę słów wystarczy.

Ryszard zbladł, nurtowała w nim złość i radość, zgodził się — schował bilet i poszedł ze spuszczoną głową. Kotłowało mu w mózgu, idąc myślał, jakby te parę słów napisać, szukał skutecznego słowa, które byłoby objawieniem tego, czem był w istocie, ale od tak dawna nie próbował swych sił. Naraz to wszystko co pisywali w Bajardzie wydało mu się nudnem i wstrętnem, czyżby i on miał napisać bzdurstwa, zwyczajne sprawozdanie kronikarskie?

W teatrze grali „La forza del Destino“; kupił libretto, chcąc go sobie przypomnieć, przeczytał biografię każdego z encyklopedyi, jaką posiadała biblioteka ministeryalna i zjadłszy na prędce obiad, poleciał się przebrać. Teatr był daleko a nie miał na fiakra. W myśli przerabiał ciągle swoją notatkę do

kroniki. Chwilami chciał rozpocząć ją wierszem Musseta, chwilami jakimś łacińskim „motto“ wymyślił dowcip o barytonie i nowy przymiotnik dla „primadonny“. Idąc, tak zamyślony, nie spostrzegł, że już na Ponte Sisto, powozy i gromady ludzi idących pieszo, wracały z teatru. Dopiero przed teatrem zobaczył tablicę, zapisaną czerwonemi literemi: „Z powodu niezależnych od dyrekcyi okoliczności dzisiejsze przedstawienie odwołane“.

Wracając, na moście, zapytywał się, czy nie lepiej byłoby skoczyć do rzeki: ale nie był człowiekiem nagłych decyzyi, przerażała go taka śmierć banalna, myśl, że wydobyliby go nazajutrz z twarzą, żółtą, ustami pełnemi mułu.

Nazajutrz, mimo wszystkiego postanowił zrobić notatkę w kronice, lecz nie wiedział co powiedzieć, niedoświadczony, zapomniał nawet spytać przy okienku o powód odwołania. Mordował się długo, potargał masę papieru wreszcie, napisawszy coś niecoś zaniósł do redakcyi i wręczył chłopakowi z drukarni. Niecierpliwił się całe po obiedzie, tak, jakby chodziło o prawdziwy artykuł. Otwierając korektę, spostrzegł, że jego notatki nie było. Redaktor uważając ją za zbyteczną, odrzucił. To był ostatni cios.

Dnia następnego kupił spokojnie stempel i wniósł podanie do ministerstwa o dopuszczenie go do konkursu na posadę wice-sekretarza. Egzamin wypadał w lutym, a w owych czasach nie wymagano wiele od urzędników, pozatem dodatkowa jego praca przemawiała za nim: tymczasem poszukiwania, jakie zmuszony był robić za metryką i dokumentami odrywały

mu myśl od ruiny zniweczonych nadziei. W godzinach wolnych, zamiast czytać gazety, i dyskutować po kawiarniach, uczył się teraz, pragnąc, żeby mu się chociaż to udało. Przewidywał nadchodzący awans, to wspinanie się ciężkie i męczące, ale celowe; horyzont nie zbyt szeroki, ale pewny.

W chwilach odpoczynku widywał się teraz z paru młodymi ludźmi, przygotowującemi się do tego samego konkursu, w czasie spaceru, lub obiadu rozprawiał z nimi o materyałach potrzebnych do egzaminu.

Robił jeszcze korektę, ale już znacznie pobieżniej nie zatrzymując się nad znaczeniem tego, co czytał. Przekonany, że nie ma zdolności, powołania ani też szczęścia, przeszedł z dawnej do dziennikarstwa namiętności, w zupełną obojętność. — Kto wie, myślał, może lepiej dla spokoju i zdrowia, być dobrym urzędnikiem, pilnym, kochanym przez zwierzchników, awansującym ciągle w randze i stypendyach, mieć emeryturę na starość i śmierć spokojną. W namiestnictwie przynajmniej nie było świątyń tajemniczych, hermetycznie zamkniętych dla profanów, gdzie dotrzeć nie można było ani pokorą ani bezczelnością: A sympatya i podziw publiczności to jeszcze nie monopol, a tak miałby miłą egzystencyę, spokojną bez wielkich trosk. Trzeba było dojść do tego i Ryszard uczył się zawzięcie, ale dawne rany nie były zabliźnione jeszcze, gdyż kpił z siebie, ze swoich projektów, fantazyi i ambicyi.

Ten blady urzędnik o fatalistycznym wyglądzie śmieszył go, gdy przypatrywał się sobie w lustrze. Ten poeta, nie umiejący pisać wiersza, pisarz bez

talentu, dziennikarz bez dziennika, wydawał mu się humorystycznem zjawiskiem. Śnił kiedyś, że wolno mu będzie kochać margrabinę, że pokocha go hrabina, uwiedzie i porwie żonę bankiera, teraz kpił ze siebie, uważał, że postanowiwszy o swojej przyszłości, stał się osobą poważną, wyobrażał sobie, jak zdawszy egzamin, idzie ciemno ubrany do naczelnego redaktora prosić go o dymisyę.

Redaktor zapyta go może o powód, wtedy on opowie wszystko: nieszczęśliwą, niewłaściwą namiętność, przecierpiany cios, rozczarowanie, wreszcie postanowienie ocalenia się w objęciach biurokracyi. Mowa ta wygłoszona z uczuciem wzruszy z pewnością redaktora, zrozumie on wtedy jak wiernego i kochającego sługę tracą, zechce go zatrzymywać, ale na próżno odejdzie; pójdzie nieznany i ukryty jak ci wszyscy, którzy nie umieli lub nie chcieli się narzucać.

Egzaltując się takiemi myślami, dobiegał do dnia egzaminu — brakowało jeszcze dwóch tygodni. — Właśnie w tym czasie, Pompieri recenzor teatralny, który stanowczo czuł sympatyę do tego dobrze wychowanego i cichego młodzieńca, zaproponował mu raz jeszcze.

— Młodzieńcze! — chcesz iść do teatru Walle? Dają nową komedyę w 5-ciu aktach, włoskiego pisarza, a są poważne pogłoski, że to tendencyjna komedya: ja muszę dziś jechać do Neapolu. Niech Pana Bóg wesprze w tej bolesnej próbie, zrobi Pan kronikarską notatkę, ułoży ją ktoś z redakcyi, gdy wrócę spytam o Pańskie zdrowie. I nie folgując ani na

chwilę zwyczajnej powadze, obrócił się na pięcie i wyszedł.

Ryszard, uśmiechnął się ironicznie, nie był już przecież dzieckiem, żeby go mógł wzruszyć bilet do teatru. Schował go i tego dnia wcale już nie jadł prędzej obiadu niż zwykle. Powodowany jednak dawnym napadem próżności dziennikarskiej rzekł do swoich towarzyszy z miną pogardliwą:

Co za nuda dziś wieczór, Pompieri wyjechał i muszę zastąpić go dziś w teatrze, gdzie grają ohydną sztukę w pięciu aktach.

— To oryginał — rzekł wielbiciel jego Brandi, nudzi go to, co wszystkich bawi. Daj ten bilet, to ja pójdę.

— I ty napiszesz artykuł? — rzekł Joanna kłamiąc bezczelnie.

— Masz racyę, — szepnął tamten upokorzony, to nic pójdę z tobą, kupię bilet i, o ile się da obok ciebie.

Ale musiał zadowolnić się gorszym miejscem, podczas gdy Ryszard rozpierał się w fotelu. Umówili się jednak na później. — Brandi odprowadzał zawsze Ryszarda do domu. Komedya była pospolita o długich tyradach retorycznych, napuszona wielkiemi słowy, i melodramatycznemi uczuciami.

Było w niej trochę wszystkiego: tyrady o rozwodach i równouprawnieniu kobiet, pociski wymierzone przeciw uwodzicielom, księżom i możnym i naturalnie były typy takie, jak komiczny deputowany, dziennikarz zjadliwy i głupi, niewinna dziewczyna, młodzieniec cnotliwy choć kuszony, kobieta nie cnotliwa

a kusząca, poprostu stara mieszanina, pospolita kombinacya znanych elementów; odgrzewane dowcipy. Znaleźli się wprawdzie i tacy, którzy oklaskiwali, ale widzowie z foteli i lóż, wstrzymywali się od wszelkich objawów.

Wychodząc głównem wejściem, Ryszard zapalił towarzyszowi i sobie cygaro i ruszyli razem do domu. Brandi był wielce wzruszony.

— Autor tej sztuki, jest człowiekiem wielkiego umysłu — rzekł po chwili urzędnik pocztowy.

— Jakie z Ciebie bydle, — odpowiedział mu spokojnie Ryszard.

— Czy tylko? — rzekł tamten — trochę poruszony. Bo rzeczywiście, trzeba być bydlęciem, żeby się tą sztuką zachwycać.

— A tyś nieomylny jak papież — mruknął Briandi.

— Nie jestem nieomylny, ale autor tej sztuki też przecież osioł.

— Przepraszam Cię — sztuka podobała się, oklaskiwano ją ogólnie, jest w niej pełno momentów dramatycznych, człowiek się wzrusza, gdy uderzyć o niektóre struny,... cóż chcesz, mnie się ona podoba. Mogę być bydlęciem, ale nie możesz zaprzeczyć, że sytuacye są niezmiernie ciekawe i przejmujące. Ryszard palił swoje cygaro w milczeniu nie zaprzeczając, Brandiemu, ten ciągnął więc dalej z monotonią płynącej z kurka wody; podkreślał wszystkie dramatyczne momenta, podnosił ich piękność, napięcie, z jakim widzowie oczekiwali dramatycznego rozwiązania sytuacyi. Główna scena była podług niego pełna siły, ściskała wprost za gardło, zmuszała

widza do natężonej uwagi; zakończenie zaś aktów działało na wyobraźnię, akcya, poruszanie się osób, tych osób tak prawdziwych, tak podobnych do niektórych znajomych typów, wreszcie cel moralny, teza, nawet rozmaite wikłające się tezy socyalne, wszystko przemawiało mu do przekonania.

— Jak skończysz te głupstwa, pozwolisz że ja zacznę mówić — przerwał mu Ryszard.

— Mów, mów, — rzekł zrezygnowany Brandi.

Wtedy Joanna próbował wytłómaczyć możliwie najjaśniej powody dla których sztuka była złą; rozbierał ją, część po części, wykazując przestarzałość argumentów, zespolonych wrażeń, sztywność i nieżywotność występujących osób, tej dziewczynki nie podobnej do żadnej żyjącej dziewczynki; nieprawdopodobnej żony kusicielki, deputowanego takiego jakiego nikt nigdy nie widział, młodzieńca takiego, że bohatera sztuki trzebaby chyba szukać na księżycu, no, a dziennikarz....

— Oh! dziennikarza zgadł, nie możesz zaprzeczyć.

— Niema takich złych i głupich wśród nas, jak ja ci to mówię powinno ci to wystarczyć — nalegał nerwowo Joanna.

I wracał do argumentów, zadawał sobie pracę chcąc wykazać Brandiemu i przekonać go, jak już wyszły z użycia te bezsensowne pociski przeciw księżom i bankierom. Chwilami mówił z ironiczną pogardą, chwilami życzliwie. Burzył wiersz po wierszu całą sztukę. Krytykę swoją przyozdabiał w błyskotliwe frazesy, które jako słuchacza miały li tylko Wincentego Brandiego, urzędnika poczty. Ten stojąc przy bramie domu,

w którym mieszkał Joanna, z laską przy ustach, słuchał z przejęciem głębokim, a policyanci stojący opodal ani patrzyli na deklamatora cytującego Szekspira i Moliera, daty i ustępy wydobywane z pamięci zawsze gotowej i świeżej.

Brandi nie śmiał przerywać ładnej jego mowy, porwany pięknością formy — milknął. — Mało pojmował i nie był w stanie dogonić szybkiego biegu myśli Ryszarda, ale czuł, że mówi rzeczy trafne, ładne i głębokie.

Wreszcie ogłupiały właśnie w chwili, kiedy Ryszardowi zdawało się, iż zdołał go przekonać, wykazać mu trywialność sztuki i tych, którym się ona podobała, urzędnik odezwał się głupkowato:

— Tak, ale była bardzo oklaskiwana.

— Idź do djabła, wrzasnął rozwścieczony Ryszard, otwierając bramę.

— Przynajmniej napisz to wszystko — błagał zrozpaczony Brandi, nie mów do mnie, bo nie rozumiem, napisane zrozumiem może.

— Napiszę, napiszę a ty i tak nigdy nie zrozumiesz — odrzekł Ryszard już ze schodów.

Czuł się zmęczonym, położył się więc zaraz, zgasił lampę, myśląc, że zaśnie: w istocie zaczął drzemać, obudził się jednak nagle; w nadziei, że znów zaśnie, obrócił się na drugi bok. Ani mowy; ten osioł Brandi zaciągnął go jeszcze w dyskusyę. — Przewracając się teraz po łóżku, przerabiał w myśli całą tę rozmowę, odnajdywał nowe dowody, przychodziło mu do głowy, że powiedzieć mógł jeszcze i to i tam to — wściekał się, że mu to pierwiej nie przyszło na

myśl i śmiał się czasem z nasuwających mu się zabawnych argumentów.

Stanowczo nie zasnę. Nie ma rady, trzeba znów zapalić lampę. Wziął historyę handlu, z której przygotowywał się do egzaminu i czytał ją przez kwadrans natężając uwagę — nie rozumiał jednak ani słowa, ani mógł oderwać myśli od tej sztuki i od krytyki, jaką można było o niej napisać.

Potem nie zdając sobie dobrze sprawy z tego, co robi, wstał i zaczął spacerować po pokoju — było zimno, nie czuł tego, chodził z rękoma w kieszeniach, z głową zwieszoną, zatopiony w swoich myślach: niektóre prześladowały go uparcie, inne ulatywały po chwili, próbował powiązać je razem. Nim usiadł, miał już obmyślony cały artykuł aż do ostatniego zdania, siadłszy pisał jak we śnie, na białym papierze zachowanym z nabożeństwem w stoliku. Nie czuł zmęczenia pisząc, szło mu szybko, jak gdyby opanowany był duchem, co pewien czas zatrzymywał się, robiąc piórem mechaniczne ruchy na innym arkuszu. Podczas gdy myśl biegła nieustannie dalej; świeca wskutek nocnej wilgoci, chwiała się skwiercząc, on patrzał na nią i nie widział jej. — Jasno i dokładnie ciągnął swoją pracę, wśród ciszy nocnej, przerywanej tajemniczem skrzypieniem starych mebli, i zgrzytem pióra: wreszcie napięcie myśli doszło do tego stopnia, że wstał nieświadomy tego, co robi, podszedł do okna i oparł rozpalone czoło o zimną szybę. Po chwili wrócił do stolika i pracował z tym samym zapałem, z takim samym porywem ducha, ulegając jakiejś nieznanej woli, której żelazną rękę czuł na sobie. Podpisał się, pod-

BIBLIOTEKA
URZĘDN. TOW. WZAJ. UB. W KRAKOWIE
SEKCYA IV.

kreślając podpis. Westchnął z głęboką ulgą i nagle zdawało mu się, że ktoś drugi westchnął przy nim. Nie przeczytał i nie przeliczył kartek, zostawił je w nieporządku na stole, prędko się rozebrał, zgasił lampę i zasnął zaraz bez myśli i snów.

— La Boga, co za śpiączka — rzekł Brandi — nazajutrz wchodząc do pokoju Joanny, szczęście, że dziś niedziela, byłem już tu o dziewiątej, ale Jego Excellencya nie odpowiedziała mi nawet.

Ryszard uśmiechnął się przeciągle, nie wstawał, rozkoszując się ciepłotą łóżka.

— Dużoś pracował?

— Dużo.

— Do której?

— Zdaje mi się, że do trzeciej.

— Dasz mi przeczytać?

— Nie, nie trzeba.

— Przeczytam w takim razie wieczorem, ubierz się, zaniesiemy artykuł do redakcyi.

Zupełnie nie wzruszony, tak jak gdyby Brandi proponował mu najprostszą rzecz, Joanna wstał, ubrał się, nastroszył czarną falistą czuprynę, z której pysznił się trochę, zawiązał czarny atłasowy krawat i z powagą ale i swobodą doświadczonego dziennikarza, odczytał swój artykuł, dodał parę przecinków, poprawił kilka niewyraźnych liter, ponumerował kartki, składając je na pół tak, jak widział złożone „oryginały“ innych pisarzy.

— Co za cudowna rzecz umieć pisać, — rzekł wzdychając Brandi, który całą tę mimikę podziwiał.

— Peuk! to nie wielka sztuka — odrzekł tamten z pogardą.

— Ile bierzesz za taki artykuł?

— Nie wiem dobrze — to zależy od ilości wierszy — odrzekł Joanna, mówiąc na chybił trafił.

Skierowali się razem na Montecitorio; na Placu Colonna spotkali dyrektora Bajarda, idącego na śniadanie. Ryszard ukłonił mu się nizko, co zresztą oddano mu uprzejmie.

— To dyrektor, idzie na śniadanie — tłomaczył Brandiemu.

— A to doskonale odrzekł zadowolony Brandi, tak jak gdyby ta wiadomość wtajemniczała go w zakulisowe sprawy dziennika; a tamci, co za jedni?

— Polityczni przyjaciele gazety, ale wiesz, mało mi znani.

— No naturalnie, naturalnie.

Weszli do biura, Ryszard wydobył najspokojniej artykuł z kieszeni i wręczył go woźnemu mówiąc:

— Janie, zanieście to do drukarni, razem z innemi rękopisami; koło czwartej wstąpię na korektę.

— Ślicznie, ślicznie, powtarzał Brandi schodząc ze schodów.

Tego dnia, podczas śniadania w restauracyi, do której chodzili czasem w święta i pierwszego, Ryszard tłómaczył cierpliwie Brandiemu dużo szczegółów z życia dziennikarskiego. Brandi, który skarżył się zawsze na milczenie przyjaciela, wymawiając mu skrytość, słuchał wniebowzięty, rozkoszując się obrazami nieznanego mu świata, myśląc, ile jest w życiu rzeczy niedościgłych i ponad siły.

Śniadanie przedłużało się w przyjaznym nastroju, wśród obopólnych zwierzeń, gdyż i Brandi pragnąc odwdzięczyć się przyjacielowi, zwierzał mu się z swoich planów, opowiadał o konkursach, z których chciał wyjść zwycięzko i o swojej dziewczynie, z którą chciał się ożenić za parę lat, jeśliby ona zechciała na niego poczekać cierpliwie.

— Chodź ze mną, to ci ją pokażę — rzekł Brandi z wybuchem czułości.

Wziąwszy się pod ręce, dwaj przyjaciele, skierowali się na Corso. W ten łagodny zimowy dzień ulica zalana słońcem, wyglądała jak barwny ogród, tak roiło się na niej od ładnych i różno kolorowo ubranych kobiet — spotykali szeregi pań i panien idących i wracających z kościoła, każda szła z książką do nabożeństwa w ręku, każda oglądała bacznie przyjaciółki, rzucała przelotne spojrzenia na młodych mężczyzn.

Ładne jest życie! — zawyrokował Ryszard. Ale Brandi nie był jeszcze tego zdania, nie dojrzał jeszcze swojej dziewczyny na Corso i brak mu jej było — doszli już do Via Condotti, a jej ani śladu. Wreszcie ujrzał ją schodzącą ze schodków kościoła San Carlo. Szła z matką — ubrana skromnie, nie dużego była wzrostu, blada i jasnooka blondynka. Pozdrowiła go oczami.

Ryszard uczuł w tej chwili, że ramię, które trzyma zadrgało.

— Ty ją bardzo kochasz?

— Głęboko, bardzo głęboko.

— I cóż zrobisz?

— Jakto? ożenię się z nią.

— Ah! rzekł tylko Ryszard, jak gdyby to proste rozwiązanie kwestyi nie było mu przyszło do głowy.

Dziewczę, szło przed niemi, odwracając się ciągle z uśmiechem do swego ukochanego. Idylle takie powtarzały się na Corso bez końca — niezmiernie czułe, w jasnych promieniach słonecznych, w niewinności dusz kobiecych pocieszonych modlitwą. — Przed placem Theodoli zatrzymał się powóz.

— Przypatrz się tej Pani co schodzi — rzekł zaraz Ryszard.

Wysmukła i wysoka Pani, otulona w brunatne futro schodziła z powozu — dziwną była jej uroda: blada niezmiernie, z zaczesanemi wysoko nad czołem i karkiem włosami, z zielonemi oczyma o kształcie podłużnym i długich rzęsach. Lekkim krokiem zeszła z powozu i zniknęła w bramie, nie oglądając się za siebie.

— Podoba Ci się? — spytał Ryszard.

— Podoba mi się — taka martwa, odrzekł Brandi nie chcąc sprzeciwiać się swojemu przyjacielowi.

— To Rosyanka, księżna Sackarine.

— Ah!

— A będzie zadowolona dziś wieczór czytając Bajarda.

— Dla czego?

— Była wczoraj w teatrze i nie oklaskiwała, podkreśliłem to uwagą w moim artykule.

Włóczyli się razem po mieście prawie do czwartej.

Żal mi, ale muszę już iść do biura rzekł Ryszard, spotkamy się przy obiedzie.

Poszedł trochę nachylony, z rękoma zwieszonemi, z jakąś niedbałością w ruchach.

Nie przemówił do nikogo, usiadł w redakcyjnym pokoiku, a że brulionów jeszcze nie było, czekał, paląc papierosa, czując się dziwnie spokojnym. Przynieśli mu wreszcie korektę — artykuł polityczny — jakąś korespondencyę z Wenecyi, poetyczna i wystylizowana ale jego artykułu w tem wszystkiem nie było. Nie zniecierpliwiło go to bynajmniej, poprawiał szybko, zatrzymując się czasami dla zaciągnięcia się papierosem. Przynieśli mu nowe korekty i jego artykuł, ale że pismo było jeszcze nie znane, masę było w nim błędów, musiał więc zawodowo ślęczyć nad poprawianiem.

Skończywszy, odczytał go, i zdawało mu się, że go kto inny napisał. Styl jasny, poważny, pełno myśli głębokich, a w tym wszystkiem drgał humor młodzieńczy, przeplatany czasem silną ironią. — Rozkoszował się tem czytaniem jak czytelnik, który natrafia na coś, co mu się podoba, nie znając nawet autora; w chwili, gdy kończył czytanie wszedł naczelny redaktor, spojrzał na korektora mówiąc:

— Joanna?

— Co Panie?

— To Pan napisał artykuł podpisany „Glanco“?

— Tak Panie.

A!... nie dodał nic więcej, nie okazał ani złości ani wesołości, obrócił się i wyszedł. Joanna zabrał się znowu do pracy, przejrzał dwie pierwsze stronice, artykuł jego był na drugiej, wyglądał dość długi. Poszedł do drukarni, trzecia stronica nie była jeszcze

gotowa, musiał czekać. Dyrektor krzątał się, nawołując do pośpiechu, tego wieczoru wydanie było spóźnione. Ryszard spiesznie poprawiał trzecią stronicę. Gdy skończył, przybliżył się do niego dyrektor i poprawiając złote okulary ruchem sobie właściwym rzekł:

— Panie Joanna, niech Pan wstąpi do administracyi i każe zapłacić sobie za artykuł. Proszę go ocenić na dziesięć centów od wiersza.

— Dobrze.

Pożegnali się, ale tego wieczoru Ryszard nie wyszedł zaraz z drukarni. Patrzał na czarne stronice, wsuwane przez drukarzy pod walce, śledził każden arkusz, te tysiące arkuszy wychodzących zadrukowane z pod maszyny, składane następnie przez kobiety i wręczane nadawcy.

— Daj mi ostatni egzemplarz — rzekł Ryszard przyciszonym głosem do majstra.

Podał mu go majster. Zaraz potem ustał huk maszyny, zgaszono piece, zniżono gaz. Ryszard nie odchodził jeszcze i tak stojąc sam wśród dziwacznych cieni z gazetą w ręku, przeżywał chwilę wielkiej namiętności — chwilę strachu i odwagi, słabości i potęgi, to była jedna chwila ale w niej roztrzygnęło się całe życie Ryszarda.

. . . . . .

Na Via Condotti spotkał dwóch przyjaciół, którzy przygotowywali się z nim do egzaminu, spytali go, o której godzinie w dniu następnym umówić się mieli na zwykłą wspólną naukę.

— Jutro nie mogę — odpowiedział sucho Ryszard.

— To pojutrze?

— Ani pojutrze, ani nigdy, już na mnie nie liczcie.

— Dlaczego?

— Bo tak.

I zostawił ich tak — zdziwionych — sam zaś wszedł do restauracyi, w której Brandi oczekiwał cierpliwie na niego z obiadem.

— Chodźmy stąd rzekł Ryszard.

Wziął go pod rękę i nie tłómacząc dlaczego, zaciągnął go do Caffé di Roma. Nie byli tam nigdy. Ale u Ryszarda pamięć zmysłów była równie rozwinięta jak umysłowa, i uczuł się zaraz jak u siebie, w tem otoczeniu bogatem i ciepłem, wśród bankierów, wytwornych kobiet, znanych artystów i modnych nauczycieli muzyki. Zamówił z wielką swobodą obiad, tak jakby całe życie nie robił nic innego — po owocach kazał podać hawańskie cygara, czarną kawę i koniak.

Przy pogodnem trawieniu liczył wiersze swego artykułu, chcąc wyliczyć, ile tego dnia zarobił.

Sto osiemdziesiąt dwa wiersze, po dziesięć centów za wiersz, ile to będzie, powtarzał Ryszard.

— Osiemnaście franków i dwadzieścia centów — odpowiedział mu wierny przyjaciel.

— Nie tak źle, co?

— Wcale, wcale dobrze Ryszardzie.

Zjawiła się jakaś kwiaciarka, za parę podanych im kwiatków, Ryszard dał jej dwa franki. Po obiedzie, przy miłym wieczorze zachciało mu się spaceru powozem w towarzystwie Brandiego. — Wracając, ponieważ

Brandi jak zwykle odprowadzał przyjaciela do domu, rachowali koszta wieczoru.

— Akurat osiemnaście franków i pięćdziesiąt centów, o trzydzieści centów więcej niż to coś dziś zarobił.

— Zarobiłem i wydałem.

Zaśmieli się razem, nie wiedząc dobrze z czego. Gdy znalazł się sam jeden na górze, ostatni piekący wyrzut zatruł mu na chwilę sumienie. Wspomniał na przeszłość, na swoje dzieciństwo i młodość, na obietnicę daną w najpoważniejszej chwili swego życia. Nie usłuchał. I choć zbolały był tem bardzo, nie żałował, nie przepraszał i nie cofał się.

— Gdybyś wrócił ojcze, rozgrzeszyłbyś mnie — pomyślał z dumą.

I nie mylił się.

III.

WŁOSY SAMSONA.

Kiedy Ryszard otworzył szklane drzwi prowadzące do biura Quasimodo, znalazł się w takim kurzu, że zakaszlał.

Jerzy, odźwierny, wymachując miotłą, popychał śmieci, zachowując przytem wieczny zły humor, skierowany do całej ludzkości, objawiający się w tej chwili jakiemś mruczeniem zjadliwem i sceptyzmem pełnym melancholii.

— Co za kurz, wykrzyknął Ryszard.

Im dłużej ścieram, tem więcej go jest — mruknął Jerzy, potrząsając beznadziejnie głową.

Stali naprzeciwko siebie, przedzieleni śmieciami. Jerzy wysoki, wychudły, blady, oparty na szczotce. Ryszard ładny młodzieniec o błękitnych tęsknych oczach, o sinych i zmęczonych powiekach, mały ciemny wąsik rysował się już nad świeżemi jeszcze i różowemi ustami. Ręce miał białe, kobiece, ale silne jak stal.

— Są tam listy do mnie? — spytał głosem jak zawsze zmęczonym.

— Kupa, — i Jerzy pokiwał filozoficznie głową,

ubolewając jakby nad tymi, którym chciało się jeszcze listy pisać.

Przeskoczywszy śmieci, Ryszard wszedł do redakcyi, gdzie czuć było atrament i poruszony kurz. W teczce metalowej z przedziałkami była cała plika zaadresowanych do niego pism, między innemi oznajmiali mu, że w dniu następnym wypadała płatność wekslu na 1000 fr. w Banku Savelli. Czytając to pismo na wpół drukowane, na wpół pisane piórem, w tym pokoju źle oświeconym mieniła mu się twarz.

— Bank Savelli... powtarzał szeptem. I myśl dręcząca tego tysiąca franków, które nie był w stanie zapłacić, nazajutrz, łączyła się z myślą o pani Clelii Sarelli.

W przeciągu dwóch miesięcy, już po raz wtóry zaciągnął tę pożyczkę u uczciwego lichwiarza, który liczył trzy procent na miesiąc, czyli dziewięćdziesiąt franków naraz. I od dwóch miesięcy napróżno zalecał się i kręcił koło pani Sarelli tej różowej, uśmiechniętej, szarookiej pani, okrutnej a słodkiej, kochanej przez tylu mężczyzn napróżno.

Tym razem lichwiarz wymagał całej sumy, zresztą weksel był żyrowany, a pani Clelia nie mówiła, ni to ni owo, śmiała się tylko ciągle z niepowstrzymaną wesołością kobiety przystojnej i szczęśliwej.

Ryszard po kolei otwierał listy, przeważnie pochodziły od rozmaitych abonentów; jeden wymawiał mu śmiało wypowiadane myśli w sprawie rozwodu, robił to jednak z głębokim szacunkiem, nazywając go przytem „naszym znanym i cenionym“ drugi, student pisał z zachwytem, właśnie o tym samym arty-

URZĘDN: PAŃSTWOWA w KRAKOWIE
SYGN. IV.

kule, zresztą przeważnie wszystkie te listy pochlebne były dla Ryszarda, uśmiechnął się więc rozchmurzony temi dyskretnemi pochwałami. Mimo, że od dwóch lat, publiczność, krytycy i koledzy kadzili mu bezustannie, nie obrzydły mu te pochwały, przeciwnie, były mu pieszczotą łagodzącą nerwy.

Powodowany dziecinną próżnością, zostawił listy na biurku tak, żeby współredaktorowie przeczytać je mogli, sam zaś otworzył gazetę z poprzedniego wieczoru, nie pojmując, dlaczego mu ją przysłano. Przeglądnąwszy wprawnem okiem dziennikarskiem, spostrzegł zaraz czerwony znak przy ogłoszeniu koncertu Cesiego o drugiej w sali Dantego. Podskoczył z radości. To musiała zrobić ona, tylko ona, ta milcząca, zamyślona pani Katarzyna, której twarz miała perłowe odcienia, drobne wargi, wygląd umierającej róży, która nie uśmiechała się nigdy i nie chciała kochać, a pochylała tak nizko głowę, gdy grała; gdy z pod namiętnych palcy wydobywały się gwałtowne rozdzierające łkania. Mało mówiła pani Katarzyna, którą nazywali wszyscy świętą Cecylią, ale drgała w niej dusza od wewnętrznych wzruszeń. W sercu Ryszarda nieprzytomnego prawie przed tą kobiecą łaskawością — wyłonił się obraz pani Katarzyny, z pomiędzy wielu, silniejszy, pochłaniający i subtelny, przepełniony zupełną jej harmonią.

— Był Pan Pierangeli — rzekł Jerzy wchodząc.

— I cóż chciał?

— Przyszedł z rachunkiem za kwiaty.

— Ryszard machnął ręką.

Jerzy, skończywszy zamiatać, wycierał teraz ku-

rze. Ale nie miał ani ścierki ani piór. Ponury, ze zmarszczonemi brwiami dmuchał na fortepian, na półki. Kurz unosił się z jednego miejsca, żeby opaść na drugie, ustawał chwilami zmęczony ilością wydanego oddechu, a pokój źle oświecony zachowywał swój wygląd zakurzony i smutny. Ryszard, stał niezdecydowany, myśląc kogoby poprosić o pożyczkę na zapłacenie jutrzejszego wekslu; wreszcie, zniecierpliwiony kurzem, obrócił się i poszedł do administracyjnego pokoju.

Administrator gazety, młody jeszcze śniady i milczący Giorgiulo siedział przed otwartym spisem abonentów, patrząc w sufit. Od rana do nocy nie ruszał się ze skórzanego krzesła, jak gdyby tam przygwożdżony. Paznokcie miał całkiem żółte od ciągłego palenia i ogłupiały wyraz oczu, właściwy namiętnym palaczom.

— Wzrasta liczba abonentów co? — zagadnął Ryszard.

— Tak.

— To daj mi sto franków.

— Nie mogę.

— Jakto nie możesz?

— Dopiero co zapłaciłem weksel na dwa tysiące.

— Wczoraj też zapłaciłeś weksel na dwa tysiące.

— Wczoraj też wziąłeś sto franków — odparł Giorgiulo spokojnie.

— Masz zawsze racyę, ale daj mi sto franków.

— Nie mam.

— To niemożliwe.

— Nie mam; mogę Ci dać papierosa jeśli chcesz.

— Pięćdziesiąt.

— Ani dziesięć.

— E! niech Cię djabli wezmą, krzyknął Ryszard swoim skarżącym się zniecierpliwionym głosem popsutego dziecka.

Giorgiulo spojrzał na niego oczyma jasnemi i bez wyrazu, ale nic nie odrzekł.

Przy wyglądzie człowieka ogłupiałego dymem, chował w głębi twardość administracyjnego umysłu. W gruncie żywił zazdrość do młodych dziennikarzy z Quasimodo, oni używali wszystkich dogodności dziennikarskich, biletów do teatru, podróży za darmo, odbierali uśmiechy aktorek; to też zanim któremu z nich dał pieniądze, wypróbowywał swojej władzy, osobliwie, gdy widział go w kłopocie.

Ryszard odchodził, przywołał go Giorgiulo.

— Czytałeś co dyrektor napisał na tablicy?

Ryszard nie odpowiadając poszedł do pokoju zwanego szumnie salonikiem, tam na tablicy redaktor naczelny, który wpadł o dziewiątej, napisał był rozmaite pytania do redaktorów. Ci odpowiadali pod spodem.

— Lamberti? czy zrobisz artykuł o Afganistanie?

— Nie — żona mi rodzi: Lamberti.

— Seano, napisz mi w kronice o zmiażdżonym mularzu, idzie do szpitala.

— Tak, ale każ Giorgiulowi zapłacić mojego fiakra; Seano.

— Tranaschetti! Czy podejmujesz się przetłómaczyć mi artykuł z francuskiego, myląc się tylko w dwudziestu słowach? — tu nie było odpowiedzi.

— Joanna! jeśli Ci Twoje Panie zostawią chwilę

wolną, zrób mi artykuł o księżnej Pignatelli, która śpiewa w Caffé Concert.

Ryszard wziąwszy kredę, napisał dumnie.

— Nie mam ludziom nic do powiedzenia o księżnej Pignatelli. O trzeciej, zrobię artykuł o koncercie Cesiego.

Na schodach spotkał Karola Moskę.

— Już idziesz pracować?

— Nie, szukam Giorgiula, rzekł Karol podnosząc zakłopotaną twarz.

— Napróżno.

— Dla czego napróżno?

— Bo nie ma ani centa.

— Naprawdę?

— Mówię Ci.

Stanęli przygnębieni na parterze, patrząc przez okno w ciemne podwórze, gdzie zwieszały się z balkonów różnobarwne szmaty, małe pranie rodzinne sąsiednich służących.

— Spróbuję — rzekł Moska z ruchem rozpaczy.

— Ryszard zaśmiał się ironicznie i poszedł. W bramie spotkał listonosza.

— Nie dla Joanny?

— Nie.

Przyszło mu nagle do głowy, że może ktoś przyszle mu pieniądze, jak w powieści, może spadek, może jaki bogaty wielbiciel; przyjaciel, któryby mu je powierzył na spekulacye. Jakby go to wybawiło z kłopotu. Nie módz zapłacić mężowi domu Clelii, właśnie jemu, tego znieść nie mógł. Stał na chodniku i nie widział przechodzącego tłumu, ale pod-

niósłszy głowę, spostrzegł w karetce panią Beatrice di Santaninfa. Powóz jechał powolutku, widział z placu Colonna jak zatrzymał się przed cukiernią Bonzi e Singer. Ta, wyzywająca, jasna głowa ciągnęła go nieprzepartą siłą; wszedł więc za nią do cukierni.

Czarno ubrana, wysoka, wiotka pani Beatrice, o zielonych oczach i zagadkowym uśmiechu wybierała ciastka i słodycze na proszoną u siebie herbatkę. Długiemi palcami, obciśniętemi w duńską rękawiczkę, brała ciepłe paszteciki i jadła je z wdziękiem powolutku, z lubieżnym i drażniącym wyrazem twarzy.

Ryszard trzymając kieliszek wermutu, którego nie pił, nie odrywał od niej oczu i patrzał się z takiem uwielbieniem, w tym spojrzeniu tyle było ciepła, że ona rumieniła się jakby stała przy ogniu, poruszając się pod tym wzrokiem jak salamandra wśród płomieni.

Znała dobrze Ryszarda, choć nie był jej nigdy przedstawionym, wiedziała, że był ulubieńcem pań za tę tęsknotę i śmiałość stylu, wiedziała też dobrze, że był piewcą wytworności kobiecej, że ubóstwiał kobiece wdzięki. Pozowała też dla niego, przymykała szmaragdowe oczy, gryzła z uśmiechem ciastka, po których zostawało pasemko białego cukru na mięsistych czerwonych jej wargach. Wyciągnęła królewską rękę nieokreślonym ruchem, wskazując jakieś ciastka, nachylała się całem ciałem; pijąc, zaokrąglała ramię posągowym ruchem, otwierając szeroko oczy, jakby rozszerzone własnem światłem.

W cukierni białej od marmurów, przedzierał się promień wiosennego słońca. Służba krzątała się mię-

dzy stolikami, a w powietrzu unosiła się woń słodyczy i rosolisów. — Z otwartego kurka spływała spiesznie woda do małej konchy, czasami mieszał się szum wody salcerskiej, pieniącej się z syfonu do szklanek.

Ryszard z rozkoszą i upodobaniem poddawał się temu otoczeniu zwodzącemu zmysły. Zachwycała go hrabina, w ciepłych promieniach słonecznych zaróżowiona w różowych odblaskach win i syropów, w umiejętnie dobranych cennych materyach w harmonii linii i barw. — Oryginalna jej uroda, pewna siebie, wyzywająca i dumna jej postać, ta tryumfująca kokieterya kobieca urzeczywistniały jego marzenia, rozmiłowanego w kobiecie, poety. Poddawał się zupełnie rozmarzeniu w wielkiej rozkoszy, choć jasna hrabina o zielonych oczach drogocennych kamieni, rozsiewała koło siebie gorycz, niezaspokojonej fantazyi.

Znikła jak bogini — i nagle Ryszard uczuł zimno, jak gdyby wszedł w mroźną, osamotnioną przestrzeń i z tem odczuciem ocknęła się w nim uśpiona pieniężna troska. Było mu nieznośnie; włóczył się więc po Corso szukając kogoś, ktoby mu towarzyszył przy obiedzie. — Wprawdzie nie miał pieniędzy ani dla siebie, ani dla przyszłego gościa, ale w Caffé del Parlamento miał kredyt nawet na piętnaście dni. Spotkał kronikarza Seano, który odznaczał się tem, że pisał kroniki przetykane dowcipnemi błazeństwami, ponurem usposobieniem, zwłaszcza w codziennem życiu; unikał ludzi i do kawiarni nie chodził, nietylko z oszczędności ale i przez zamiłowanie do melancholii. Zaproszony na obiad, czy na śniadanie, odmawiał i bronił się stale, z szorstkością osób nie-

śmiałych a dumnych, które nie chcą, by się nad niemi litowano.

— Chodź ze mną na śniadanie — prosił Ryszard, zrobisz mi łaskę.

— Już jadłem, nie mogę.

— Znam Cię niedźwiedziu i nie wierzę Ci.

Seano, zaczerwienił się i nie odpowiedział.

Ale Ryszard tak prosił, swoim zmęczonym głosem, tak patrzył swemi niezmiernie smutnemi oczyma, że Seano wzruszony, zgodził się na dotrzymanie mu towarzystwa.

Ryszard miał ciągle na twarzy ten cień wyczerpania, który wielu brało za pozę. Usadowiwszy się, przeczącym ruchem głowy odpowiadał na litanie potraw wyliczanych mu przez służącego. Wołowina, pieczeń cielęca, rozbratel, kotlety z kaszką.

— Bierze się dziurę i otacza się ją kością — mruknął Seano, myśląc, że wartoby ten głupi dowcip umieścić w jutrzejszej kronice.

— Nie masz naprawdę nic innego — pytał Ryszard służącego.

Służący wykonywał ruchy zrozpaczone.

— Daj mi kawioru i ostryg.

Seano głosem ponurym silił się ciągle na nowe dowcipy.

— Nie możesz ty mówić zwyczajnie jak wszyscy? krzyknął w końcu Ryszard. Idjociejesz.

— Tak myślę — odrzekł Seano blado się uśmiechając.

Nie chciał ani ostryg ani kawioru. Ale Ryszard zmusił go wreszcie, widząc, że broni się słabo, ciągle

nieśmiały wobec cudzych grzeczności, w ciągłej obawie, że wynikały z litości, przyjąwszy, ganił i kawior i ostrygi.

Rozmawiali jedząc. Seano mówił: Jaki ty szczęśliwy Ryszardzie.

— Bo co?

— Bo zazdroszczą Ci wszyscy, bo upominają się wszyscy o twoje artykuły, bo bierzesz pięćdziesiąt franków od jednego i codzień możesz jeden taki napisać; czemu nie piszesz dwóch dziennie.

— Bo tak.

— Na twojem miejscu pisałbym dwa.

— Gdybyś był na mojem miejscu — nie.

— Czemu?

— Bo nie można.

Umilkli na chwilę, potem Seano mówił:

— Widzisz Ryszardzie i ja nieraz myślę o tych rzeczach, o których ty piszesz tak dobrze, przekonywająco, ale dlaczego nie piszę ich nigdy? Nie wiem. Masz racyę, mózg nie gnije, a kronikarstwo staje się kalectwem, chorobą — zresztą mam tylko jedno pragnienie.

— Czego byś chciał?

— Chciałbym mieć tysiąc franków na raz.

— Oh! wykrzyknął boleśnie Ryszard.

— Gdyby mi je kto pożyczył, spłaciłbym je z pewnością po dwadzieścia franków miesięcznie z tych 200, które zarabiam.

— Toby trwało od pięciu do sześciu lat.

— Akurat, cztery lata i dwa miesiące; czy myślisz że mi je kto pożyczy?

— Nie myślę, kochany.

Znów milczeli. Ryszard pił czarną kawę a Seano pisał jakieś cyfry na marmurowym stoliku.

— Cóż tak liczysz — spytał Ryszard.

— Liczę..... liczę że mógłbym spłacać nawet po dwadzieścia pięć franków miesięcznie.

Ryszard nie zapłaciwszy rachunku, wziął jeszcze dwadzieścia sztuk hawańskich cygar i pudełko rosyjskich papierosów. Seano nie chciał przyjąć więcej jak jedno cygaro i parę papierosów — twierdząc, że neapolitańskie najlepsze.

Na progu kawiarni, Ryszard stanął niezdecydowany — było wpół do drugiej, gdzie iść? Czy na dobroczynną loteryę? tam spotkałby panią Teklę Spada, złośliwą markizę, o wązkim nosku, szpiczastej brodzie i czarnych piekących oczach, która jak dziewczynka, w ciemnych i rozburzonych włosach, nosiła zawsze czerwoną kokardę. Przy każdem spotkaniu wszczynali długą szermierkę słów i parodoksów. — Pozowała na sprytną i czasem nią była, ale reputacya jej, jako o takiej, gubiła ją, gdyż za wszelką cenę chciała nią być, przez co stawała się bezczelną i głos jej zaostrzał się jak brzytwa.

Ryszard po każdej takiej rozmowie był zdenerwowany i zły, ale nie brakowało w tem uczuciu i przyjemnej strony. — Teraz napadła go chęć zwalczenia takiej potyczki sylogizmów z sympatyczną markizą o pociągającej brzydocie.

O drugiej był koncert Cesiego, a na loteryę było daleko iść — może wziąć dorożkę i zabawić tam tylko pół godziny — lecz czem zapłacić dorożkę?

Mniejsza — jakiś święty zaopatrzy. Rozeszli się, każden wsiadł do swojej dorożki. Seano z pieniędzmi z kroniki. Ryszard bez pieniędzy. Idący pieszo, zazdrościli wzdychając dwóm szczęśliwym dziennikarzom.

Dojechawszy, Ryszard zatrzymał powóz, oznajmiając, że bierze go na godziny. Loterya odbywała się w sali parterowej, przy stolikach mało było osób — panie nudziły się i ziewały: stolik markizy stał przy drzwiach, skinęła zaraz na Ryszarda.

— Joanna, Joanna, niech Pan tu przyjdzie i weźmie z milion numerów.

On stanął zmieszany, nie pomyślał o tem, zbliżył się jednak.

— Jałmużnę już dałem, próbował żartować.

— Ja jestem uprzywilejowaną nędzarką. Niech Pan weźmie parę losów, może wygra Pan pierścionek Kediveya.

— Ani myślę! pierścionek nie jest w numerach, a jeśli jest, to fałszywy albo nie istnieje wcale. To gniazdo włóczęgów, próżnujących żebraczek i oszustów i śmiał się, śmiał nerwowo, chcąc pokryć zmieszanie. Czemuż Pani nie idzie na koncert zamiast nudzić się tutaj.

— Bo nie potrzebuję akompaniamentu Mendelsohna do flirtu.

— Woli Pani Cimarosę.

— Ja nie flirtuję wcale.

— Tak... A to czegóż ja tu przyszedłem.

— Mieć wykład impertynencyi.

— Dziękuję za naukę — rzekł kłaniając się.

Zaśmiała się. — Podobała mu się bardzo i pociągała go niezmiernie tym śmiechem. Wązkie wargi odsłaniały zdrowe ząbki, a oczy błyszczały, paliły, kąsały.

— Idę posłuchać Bethowena, on uczciwszy od Pani, która nie flirtuje a przyjacielom nadstawia pułapki jakiemiś loteryami; będzie Pani przynajmniej w Willi Berghese dzisiaj?

— Będę, wezmę sto losów dla Pana.

— Wytoczę skargę o rabunek. A w teatrze będzie Pani?

— Joanna, Pan wygląda jakby mnie Pan chciał uwieść, jak niedoświadczone dziewczę.

— Takie są w istocie moje zamiary — odparł Joanna z powagą.

— Niech Pan uważa na swoją reputacyę, ze mną naraża ją Pan bardzo.

— Oh! nie mam już nic do stracenia.

I obróciwszy się wyszedł, nie oglądając się, w strachu, że przywołują go znowu. Wsiadając do powozu, odetchnął z ulgą po chwilach tej męczącej troski, zniweczony wysiłkiem ale spokojny. Czy zrozumiała, myślał, że nie miał centa przy duszy. Drażniła go ta myśl, biły na niego zimne poty, trząsł się ze złości i wstydu, cierpiąc w bezbrzeżnej przesadzonej miłości własnej, dla której gotów był wszystko poświęcić. Wstydził się swojego ubóstwa, ukrywanego tak starannie, które przebijało się jednak od czasu do czasu. Coraz silniejsze i coraz dalej idące były jego zachcianki, lekceważył tym tysiącem franków, które zarabiał miesięcznie, wyładowując z siebie

uczucie i myśli jakie w nim były najlepsze, zadawał sobie gwałt, wyzyskiwał swoje powodzenie, wiedziony jednem gorącem pragnieniem zarabiania jak najwięcej pieniędzy. Czemże było dla niego tysiąc franków wydanych po pięćdziesiąt naraz, często w jednym dniu. Jakże ciężko i mozolnie pisało się artykuł, a jak krótko trwało 50 franków.

Wreszcie uspokoiła go pogardliwa myśl.

Te okrutne kobiety, nie mają pojęcia o życiu. Markiza więc nie zrozumiała pewnie nic. W sali Dantego było pełno. Występujący artysta Cesi lubianym był bardzo przez Rzymian. Roiło się od pań, a w łagodnem powietrzu unosiła się woń ich sukien, włosów i dobrze utrzymanego ciała. Ryszard wdychiwał nozdrzami ten zapach i błogi wyraz zadowolenia odmalował mu się na twarzy. — Stał z odkrytą głową o bujnych trochę falistych włosach, białem czole. Szedł wolno, szukając oczyma po sali niedostrzeżonej jeszcze osoby; poruszał się wśród krzeseł ze spokojem dobrze wychowanego człowieka, który nie chce drugim przeszkadzać, z miną osoby sławnej ale skromnej, nie lubiącej zwracać na siebie uwagi. Gdzieniegdzie kobieca głowa obracała się parokrotnie za tym ślicznym młodzieńcem, o zamyślonej i tęsknej twarzy, gdzieniegdzie szeptano, Joanna; szept cichy rozkoszny, towarzyszący zawsze pojawieniu się Ryszarda, który łowił go w lot uchem wrażliwem, hołd pieszczotliwy podziwu, przejmujący miłym dreszczem próżność jego. Po prawej stronie, wśród dwóch pań, stało puste krzesło, Ryszard siadł na niem bez hałasu, szukając wzrokiem pani Katarzyny. Siedziała nieda-

leko, ta ładna istota o czarnych, mglistych oczach, z matowemi odcieniami węgla, nie drgnęła nawet ujrzawszy Ryszarda. A Ryszard tak jak patrzył na hrabinę Santaninfa, tak patrzył teraz na nią, wlewając w to spojrzenie całą siłę swych nerwów. — Jedynie kobieta miała władzę ustalenia i skupienia tej duszy koczowniczej, ona jedna łączyła wszystkie marzenia, dając mu zapomnienie wszystkiego. Pociągało go wszystko w kobiecie, piękność bezczelna, rzucająca się w oczy, pochłaniająca jak słońce, nieśmiała, skromna piękność, zanurzona w półcieniu, kobiety, które żyjąc w świecie, żyją głupstwami i nie giną od nich, i sentymentalne kobiety, śniące o miłości a uciekające przed nią, raz ją znalazłszy i serca głębokie a zapoznane, oszałamiające się próżnościami świata, ale gorące i namiętne, i te tajemnicze niewytłomaczone kobiety, złożone z uczuć zmysłów i kaprysów. Wargi prześlicznej hrabiny, wzywały do pocałunków kochanka śmiałego i namiętnego. — Oczy Pani Tekli Spada, wzbudzić mogły w kochanku okrutnym pragnienie ujrzenia ich złagodzonych łzami miłości, również zaciekawiające były usta jednej, jak oczy drugiej kobiety. — Lecz czy umiały całować te blade usta, nie umiejące się śmiać? czem były w miłości te zgasłe oczy?

Ryszard patrzył z głębokiem zainteresowaniem na panią Katarzynę. Kochając ją w tej chwili, gwałtownie, tak, jak kochał i hrabinę Santaninfa i panią Teklę Spada. Pragnął być przez nią kochanym, poza tem nie pragnął nic więcej, ale pragnął tego gorąco,

wierząc, że poza tą miłością, nie mogło dla niego nic istnieć.

W głębokiej, religijnej ciszy, Cesi grał — grał z tem skupieniem i przejęciem samotnych godzin; grając nie patrzył nigdy na publiczność, patrzył na swoje ręce, na białe i czarne klawisze. Jedna z poważnych, uroczystych prawie myśli Bethowena rozchodziła się niezmiernie prostą nutą, a myśl mówiła o rzeczach czystych, szczytnych i szlachetnie zrodzonych w sercu, przemawiających do serc.

Pani Katarzyna ocieniona dużym Rubensowkim kapeluszem, siedziała nieruchoma, nie drgały jej nawet powieki. Nie patrzyła wcale na Ryszarda, tylko nieznacznie różowiły jej się chwilami policzki; nie ocknęła się nawet, gdy zabrzmiały oklaski.

Jej obojętność i chłód poczęły irytować Ryszarda, lekkie uczucie złości, mieszało się z odczuwanem przez niego pożądaniem. Czyż nie ona przysłała mu gazetę podkreśloną czerwonym ołówkiem, czyż nie było to jasnem przyznaniem się a równocześnie naznaczeniem nie proszonej schadzki.

A teraz siedziała niewzruszona z martwą twarzą, tak, że nareszcie korzystając z ruchu podczas pauzy, prześliznął się wśród tłumu i siadł koło niej.

— I cóż? — spytał twardo.

— Co takiego, rzekła nie patrząc na niego, nie zmieszana wcale.

Nic... upokorzony schylił głowę, czuł jakby łzy w oczach i łkanie w krtani.

A skarga i łkanie rozpływały się w powietrzu w melodyi Pergolesiego, którą grał Cesi „Tre giorni

son che Nina". — Nina chora — Nina kona z miłości, a jakiś głos płacze i śmieje się nad konającem dziewczęciem. Ciągnie się nuta żałosna, czasem zadrga śmiechem, sarkazmem, monotonnie, dźwięczy, boleśnie namiętna nuta.

Pani Katarzyna, którą przyjaciółki nazywały św. Cecylią pochyliła teraz nisko głowę, jakby jej sił brakło — jakby odczuwała potrzebę oparcia jej na czyjemś ramieniu.

— Caterina — szepnął cicho głos nieszczęśliwego dziecka.

A tak silne było to wezwanie, tak przeszywające do najtajniejszych głębi jej serce, że nie odwracając się rzekła.

— U św. Piotra po koncercie.

Wychodząc z sali koncertowej, Ryszard zastał dorożkę i dorożkarza czekającego cierpliwie, który z założonemi nogami, czytał poranną gazetę bardzo popularną, dotknęło go to nieprzyjemnie, przypomniał sobie, że nie ma czem zapłacić tego dorożkarza, trwało to jednak sekundę, wyobraźnią był już u św. Piotra; wyjął jednak machinalnie bloczek z kieszeni i pisał.

— Drogi Karolu, nie mogę „zrobić" ci koncertu Cesiego, za to o 4-tej będę w biurze i zrobię Wielki Czwartek u św. Piotra. Pa, Ryszard.

Zostawił ten bilet u stróża — sam nie śmiał wejść do redakcyi, rozkazał jechać jaknajszybciej, próbując zapanować nad ogarniającem go wzruszeniem. Chłód i panujący w bazylice półmrok uspokoił go

natychmiast, tak że zwolnił kroku, szczęśliwy bliżkością szczęścia.

Bazylika była prawie pusta, nie mógł jednak dojrzeć Pani Katarzyny. W głębi jednej z kaplic księża i dyakoni śpiewali przez nos antyfonę o Męce Pańskiej, niesłuchani przez nikogo. — Ryszard obchodził cicho kościoł, szukając ubranego piórami kapelusza pani Katarzyny, pewny, że lada chwila ją znajdzie — w istocie klęczała przed balustradą kaplicy papieża della Rowera. Zbliżył się do niej nie przerywając jej w modlitwie, nie wołając jej. Ona wiedziała dobrze, że jest przy niej, lecz pochyliwszy niżej głowę, modliła się gorąco. Po chwili, wstała, przyklękła, przeżegnała się i stanęła obok Ryszarda.

Szli razem, patrząc z roztargnieniem na pomniki, rzucając czasem jakieś słowo. Za obszerny jest kościół.

I zimny przebiegł ją dreszcz pod szerokim płaszczem z czarnego aksamitu, wyglądający jak całun pośmiertny.

— A jednak modli się tu Pani.

— Zawsze się modlę.

— Co Pani mówi Bogu w modlitwie?

— Wszystko?

— Nie.

— Czemu?

— Bo tak.

— W takim razie, czegóż Pani chce odemnie.

— Niczego nie chcę.

— Zamilkli, ona zamknięta już w sobie i nieufna, zmrożona w mistycznym dziwnym swym umyśle, co-

fała się przerażona przed tem, co miała uczynić. On niezadowolony i obrażony w swej dumie mężczyzny, czuł śmieszność położenia, dwóch istot nie kochających się, którym żal już było, że pragnęły się pokochać. Ryszard z duszą pełną marzeń i pragnień miłosnych, przekonany, że wszystko zawdzięcza swym zdolnościom i urodzie, czuł się głęboko dotkniętym, pokrywał to zewnętrznym spokojem, ale wściekał się i bladł. Jak dziecko, które wszystkiego pragnie, a wszystkiego mu odmawiają, chciał płakać, krzyczeć i kopać, zrobić coś złego tej kobiecie, zeszpecić ją. Całą siłą woli musiał panować nad sobą, poddając się na chwilę uczuciu pogardy, przezierającej od czasu do czasu wśród ciągłego kultu, jaki miał dla kobiet.

— Lubi Pani „Ninę“ spytał tak, jak gdyby był w salonie, a nie w tym ogromnym i cichym kościele na schadzce miłosnej.

— Bardzo — odpowiedziała wpatrując się w niego swemi matowemi oczyma.

— A dla czego podoba się to Pani.

— Bo pojmuję jej boleść.

— Et! odrzekł z pogardą śmiejąc się ironicznie.

— Żegnam Pana.

— Żegnam Panią.

Wyszła nie pożegnawszy się nawet — nie spojrzawszy na niego.

Ryszard niezadowolony z tego, co zaszło, zły na siebie, na wszystkie kobiety, przeklinał muzykę i miłość. Po chwili wyszedł także, a widok czekającej na niego dorożki, zadrasnął go niemile, budząc uśpioną na chwilę troskę.

— Gdzie mam jechać? — spytał dorożkarz.

— Jedź na Corso, ale powoli, bo nie pilno.

Jadąc i żując w zębach cygaro, przemyśliwał, czem zapłaci tego przeklętego furmana, trzymał go pół czwartej godziny — należało mu się więc najmniej siedem franków, i wobec tej rzeczywistej, namacalnej troski bladła obelga, zadana mu przez panią Katarzynę, przypominał sobie, że to przez nią wziął tego fiakra i trzymał go tak długo. Na jednej z wązkich ulic jego dorożka musiała zatrzymać się, gdyż jakaś karetka stała na drodze przed sklepem starożytności. Na progu tego sklepu jedna pani rozprawiała z subjektem, poznał panią Clelię Savelli, która spostrzegłszy go ukłoniła się i uśmiechnęła się przyjaźnie do niego: ucieszył go ten uśmiech, rozszedł się mu radośnie w nerwach, zeszedł więc i dogonił ją.

— Złapał mnie pan na gorącym uczynku, to długa historya, opowiem, ale niech się pan zmiłuje i nie opisze jej w gazetach.

— Z pewnością to zrobię.

— Nie, nie, błagam o dyskrecyę.

— A zapłaci mi ją pani?

— Kosztem czego?

— A discretion.

— Dobrze — zobaczymy. Pamięta pan, że oddawna pragnęłam mieć lektykę, taką złoconą, malowaną. Różni przyjaciele obiecywali mi ją; nawet jeśli pan pamięta, to i pan obiecał, że wyszuka mi taką. Otóż mam ją od wczoraj, podbita jest wyblakłym, czerwonym aksamitem, ślicznym w tonie.

— Tak, jak pani.

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

— Jak ja — więcej nawet. A niech pan zgadnie, kto mi ją dał?

— Przy pani nie umiem nic zgadywać.

— Mój mąż, ten nieoceniony drogi mąż, który przy całym nawale bankowych interesów znalazł jeszcze czas na wyszukanie mi jej. Co za mąż?...

— Bajeczny — rzekł z roztargnieniem Ryszard.

— Ta lektyka ma dwieście lat, antyk. Zdaje się, że dał za nią czterysta franków.

— Każe się pani obnosić w niej?

— Co za myśl? stać będzie w salonie, a siedzieć w niej będą na pokucie ci wszyscy, którzy nie dość często odwiedzają nas.

— To ja w niej siedzieć nie będę?

— Pan nie, bo pan wierny bardzo — ale wracając do rzeczy, pragnę odwdzięczyć się mojemu mężowi, chcę kupić mu coś ładnego na biurko, naprzykład puginał. Jak pan myśli? taki ładny, maurytański, zakrzywiony.

— Broń dzieli, hrabino.

— Przecież nie od męża — i zaśmiała się mile. Ale tu niema nic takiego, pan widział może gdzie taki ładny puginał.

— We własnem sercu, hrabino, jak piszą w starych romansach.

— Stare romanse są ładniejsze od nowych artykułów, ale chodźmy, pomoże mi pan wyszukać coś ładnego.

— Powinienem iść do gazety — rzekł Ryszard z bladym uśmiechem.

— Co tam gazeta, wszystkie nic nie warte. Czekam na pana w sklepie u Berettiego.

Wsiadła do karetki. Ryszard stał chwilę jeszcze na progu, olśniony blaskiem zachwycających jej oczu. Potem rozkazał jechać do wskazanego przez nią sklepu; w tej chwili był wyłącznie pod jej urokiem. Zeskoczył przed wielkim sklepem, ale nie było tam jeszcze hrabiny — zmieszało go to na chwilę. Szósta dochodziła, sklep oświetlony gazem przedstawiał się jak miły, ciepły, egzotyczny apartament, zamknięty w atmosferze Wschodu.

— Czego sobie pan życzy — spytała mała, słodka pani Beretti, o podłużnych, myślących oczach japońskich figurek, blada, jak one.

— Niech mi pani pokaże... puszki do herbaty.

Podczas gdy on niecierpliwie spoglądał na drzwi, pragnąc ujrzeć już w nich nadchodzącą hrabinę, pani Beretti, osóbka o białych rękach i cichym, przytłumionym głosie, znosiła i stawiała przed nim lakierowane puszki, na których odbijały jakieś dziwaczne kwiaty złote; puszki z niezmiernie lekkiego drzewa zdobne inkrustowanemi zwierzątkami, ślimaczkami, muchami, lub pająkiem z metalu czy masy perłowej, puszki tak sztucznie wypracowane, że choć materyał był ciężki, przypominały wykonaniem koronkową robotę. W krótkim czasie te wykwintne, pociągające przedmioty tak zajęły umysł Ryszarda, że nie usłyszał wchodzącej pani Savelli.

— Dobry wieczór Joanna — rzekła ona, uśmiechając się wzrokiem i twarzą, rozglądnęła się z zado-

woleniem po sklepie, siadła, rozpięła żakiet, prosząc o pokazanie jej czegoś z broni.

Pani Beretti cichutko, jak mucha, znów krzątać się zaczęła po egzotycznym salonie; po chwili przyniosła parę zgiętych sztyletów. Pogodna pani Clelia, harmonijna w ruchach, ze spokojem istoty szczęśliwej oglądała uważnie każdy przedmiot z osobna, podając go potem Joannie w milczeniu, a łagodny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Ryszard, stojąc przy niej, śledził rytmiczny ruch jej kapelusza czarnego, naszytego dżetami, w którym łamało się światło, gdy poruszała głową, przypatrując się z blizka tym artystycznym cackom, lub odrzucała ją w tył, zatrzymując przez chwilę wzrok na innych przedmiotach — rozkoszował się doskonałością linii tego ciała kobiecego, tak pięknego w chwilach spokoju, tak pełnego życia w ruchu. Porozumiewali się oczyma, chcąc sobie powiedzieć, że nic dotychczas nie nadaje się do wyboru, ostatecznie pani Clelia zdecydowała się na mały kobiecy sztylecik, podobał się jej, przypatrywała mu się z przyjemnością, próbując ostrza na palcu.

— Czy nadeszły materyały? — spytała swoim śpiewnym miękkim głosem, a zwracając się do Joanny:

— Co pan kupił?

— Nic, oglądałem puszki do herbaty.

— Kto przyrządza panu herbatę w domu?

— Nikt. Sam jestem.

— A znalazł pan puszkę?

— Nie znajduję nigdy tego, co szukam, hrabino.

Zaczęli przeglądać razem puszki, oboje schyleni, za-

chwycając się głośno. Twarz pani Clelii pod wpływem ciepła, panujacego w zasłanym dywanami saloniku, nabierała różowej cery. Ryszard wdychał w siebie woń miłą, która pochodziła może z jej ciała, a może była zapachem drzew kosztownych i miękkich. Tymczasem wróciła pani Beretti ze stosem rozmaitych tkanin, położyła je na krześle, rozkładając je kolejno przed Clelią i Ryszardem. Były między niemi tkaniny mlecznego koloru, takiego, jak bywa czasem białe niebo, przetykane gdzieniegdzie różowawym i zielonawym cieniem, lub nitką złotą: były czarne, haftowane czerwono i żółto — popielate jak stal, o różowych kwiatach i białych bocianach.

— Marzenie — szepnęła pani Clelia.

— Marzenie — powtórzył Ryszard.

Przegląd trwał dalej i barwy ukochane tam na Wschodzie, barwy, których Europejczycy nie mają jeszcze na swych paletach, pieściły oczy dwóch widzów: wikłały się wszędzie dziwaczne złote kwiaty, smoki o bajecznych kształtach grały barwą zbytku bogactwa, złota.

Pani Clelia, istota powierzchowna ale subtelna, uśmiechała się z przyjemnością; patrząc z zajęciem wyciągała trochę ręce, jakby chciała zagarnąć te cuda i przybrać niemi swoje salony. Ryszard ze swą przeczuloną wyobraźnią i nerwami odczuwał wprost zmysłową rozkosz. W saloniku ciepła atmosfera otaczała miłą powiewną pieszczotą, łagodne światło zatrzymywało się na drzewach, bronzach; iskrzyło się na porcelanie i konchach perłowych. W powietrzu woń kobieca i Wschodu, zupełna cisza, a dobra czarodziejka, milcząca i mała

rozkłada ciągle wszystkie klejnoty i cuda dalekiego Wschodu. Coraz większa bladość rozlewała się na ładnej twarzy marzyciela, a marzyciel myślał przez chwilę, że może jest możnym panem z krainy słońca, że prześliczna kobieta, stojąca przy nim, jest jego kobietą, że są razem w gineceum, że zmęczone jego oczy błądzą po cudownych tkaninach, tkanych przez własne niewolnice.

— Dowidzenia Joanna — rzekł śpiewny głos i uczuł uścisk ciepłej dłoni.

Został sam na chodniku szarej ulicy, powóz hrabiny mknął szybko w stronę Trinita dei Monti, zamknęły się za nim oszklone drzwi sklepu, zimny i wilgotny wieczorny wiatr wstrząsał go dreszczem i przywoływał do rzeczywistości.

— Gdzie pan rozkaże? — spytał cierpliwie czekający na niego dorożkarz.

Ryszardowi wydała się nagle noc ciemniejszą, smutniejsze światło latarni, wilgotniejszy chłód, uczuł się tak biednym i osamotnionym, tak niezmiernie nieszczęśliwym przed tym człowiekiem, zapytującym, gdzie ma jechać, że na chwilę ogarnął nim taki strach, iż nie mógł się ruszyć. Gdzie jechać? Nie wiedział i patrzył błędnie dokoła.

— Gdzie mam jechać? — spytał znów dorożkarz.

Należało mu się może z dziesięć franków; wlókł się przecież za nim od tylu godzin — kto wie od ilu — stracił tyle czasu — a czas to pieniądz.

— Jedź na plac Colonna — rozkazał.

Jechał ponury, skoncentrowany w chęci zarobie-

nia dziś na tego fiakra, tymczasem podejdzie znienacka Giorgiula administratora, a potem napisze obszerny artykuł o Japonii, o swoim egzotycznym śnie.

— Ile ci się należy? — spytał, schodząc z dorożki.

— Sześć godzin — dwanaście franków i pięćdziesiąt centów.

— Dobrze, zaraz ci je przyślę.

Wchodząc ze spuszczoną głową, jak żołnierz, który idzie na zdobycie twierdzy, potrącił schodzącego dyrektora.

— Ładny z ciebie typ — rzekł dyrektor — nie napisałeś artykułu o hrabinie Pignatelli, ani o koncercie Cesiego, ani też o św. Piotrze. Po co obiecujesz?

— Idę napisać coś o Japonii.

— Późno — dziennik już pod maszyną.

— Napiszę dziś wieczór na wydanie w mieście.

— Dobrze, liczę na to.

Poszedł spokojny, z obojętną miną zimnego i punktualnego urzędnika.

— Giorgiulo! pięćdziesiąt franków — prosił Ryszard, wchodząc, a głos jego brzmiał boleśnie.

— Nie mam.

— Poszukaj dobrze — zrób mi to — błagam cię.

— A wiesz, jaki już jest rachunek tego, co wziąłeś z góry?

— Giorgiulo, bez kazań. Mam zapłacić dwanaście franków dorożkarzowi — czeka.

— Czemu gonisz za kobietami?

— To one latają za mną — odparł Ryszard z przechwałką.

Giorgiulo począł szperać po szufladzie, ale robił to pomału paląc papierosa, zadowolony, że ma w chudych swych rękach tego szczęśliwego poetę, którego głos drgał tak boleśnie, jakby o jałmużnę prosił.

— Masz dwadzieścia pięć.

— Nie wystarcza — szukaj dobrze.

— Dwadzieścia siedem — trzydzieści — trzydzieści musi ci wystarczyć, winieneś tylko dwanaście za dorożkę.

— A obiad? zrób jakiś cud, Giorgiulo, wyłów przynajmniej czterdzieści — proszę.

— Niepodobna — musisz zadowolnić się trzydziestoma pięcioma; dokładam z mojego.

— Niech i tak będzie — westchnął boleśnie tamten.

— A napiszesz mi ładny wierszyk — ma być drukowany na atłasie.

— Napiszę, napiszę — pa!

Poleciał zapłacić za dorożkę.

— Teraz należy mi się trzynaście franków, bo jeszcze kwadrans upłynął.

Ryszard wspaniałomyślny i zabobonny dał mu czternaście fr.; gdy odjechał, skierował się piechotą w stronę swojego mieszkania. Szedł roztargniony wśród fali napływającego tłumu, teraz gdy pozbył się chwilowej troski, troska wielka, głęboka wniknęła i rozgościła się w jego duszy. Ten weksel na tysiąc franków — te pieniądze, które nie mógł znikąd wydobyć, były tą wielką męką, tak jak zapłacenie fiakra było małą męką.

Ale sklep z biżuteryą, jak zawsze tak i tym razem przyciągał jego uwagę. Przypominały mu się kobiece głowy, ręce, szyje białe i okrągłe, obarczone klejnotami, przypominały mu się te kobiety, i której w jakich kamieniach było do twarzy, a wśród tych widm namiętnych, rozpalających żądzę, zamajaczyła wyraźniej powiewna postać jasnej i wątłej blondynki, pani Maryi: o tak słodkich oczach i tak miękkich włosach, w których upinała konwalie o każdej porze roku.

— Muszę znaleść konwalie — pomyślał poeta.

Chciał wejść do pierwszorzędnego sklepu z kwiatami, ale przypomniał sobie, że nie zapłacił tam rachunku, szukał więc konwalii po mniejszych sklepach, po tych, co sprzedają kwiaty w bramach lub na ulicy; ale pora była spóźniona, nigdzie nie mógł ich znaleść, musiał mieć konwalie i kaprys ten tak nim zawładnął, że z troską wszedł do jednego z pierwszorzędnych sklepów, tam były wprawdzie trochę przywiędłe, ale wybrał najlepszą gałązkę, dał za nią dwa franki i poleciał uszczęśliwiony.

Szedł do domu przebrać się we frak, wybierał się bowiem do teatru i z wizytą do Savellich, przebierał się zresztą codziennie ten blady poeta, ulubieniec kobiet.

Wszedłszy po wąskich schodach na pierwsze piętro, zapukał w małe ciemne drzwiczki i wszedł do ciemnego pokoju.

Gospodyni domu, stojąc na progu, czekała, aż przemówi.

— Pani Różo, czy są świeże koszule do fraka?

— A jakże! są tu na łóżku, odniosła je praczka dziś wieczór.

Przy słabem świetle sterynowej świecy Ryszard oglądał krochmalone koszule. — Jedna była letnia, w czarne ciapki, druga miała za wysoki kołnierz, trzecia była nie modna, dwie ostatnie strzępiły się przy kołnierzu i mankietach.

— Pani Różo, żadna z nich nie jest możliwa.

— Oj, synu! a cóż ja na to poradzę. Koszule niszczą się takiem ciągłem praniem i prasowaniem.

— Ale co ja teraz pocznę?

— Zrobimy im brodę, można ogolić koszule.

— Gdzie tam... — rzekł, kiwając z rozpaczą głową.

— Niech pan zostanie w tej, którą pan ma na sobie, jest dobra jeszcze.

— Co też pani mówi — ta jest nieprzyzwoita; przecież mam być w teatrze, u pań, wszędzie, muszę mieć świeżą koszulę.

— Synu złoty, jedno, co mogę zrobić, to dać koszulę mojego Tony, ale on o wiele grubszy od pana.

— Nie, nie, pani Różo, lepiej niech mi pani zrobi tę łaskę i pójdzie kupić jedną na Corso, kosztuje ośm franków pięćdziesiąt. Oto są pieniądze.

— No, dla pana pójdę chętnie, choć nie poszłabym dla nikogo. Gdyby kto pukał, musi pan być tak grzecznym i otworzyć.

— Dobrze, pani Różo, otworzę.

— Pewnie nikt nie nadejdzie, ale gdyby tak Tony, to powie mu pan, że zaraz wracam; mógłby sobie stary jeszcze co złego pomyśleć.

Gadatliwa zwiędła już Rzymianka poszła, urągając praczkom i polecając jeszcze raz drzwi opiece Ryszarda. On już, myślą gdzieindziej, szukał białego krawatu, złotych spinek i zanim zdołał pozbierać potrzebne drobiazgi, jakieś możliwe rękawiczki, czystą batystową chustkę, pięć guzików, potrzebnych do kamizelki, przerzucił wszystkie szuflady, w których walały się bez liku wypłowiałe krawaty, jadwabne i na piętach dziurawe pończochy, koszule nocne już używane, wszystko niepotrzebne, eleganckie szmaty, do niczego już niezdatne. Melancholijny był i rozdrażniony, gdyż nie mógł tak, jak planował poprzednio, pójść na obiad do Caffé di Roma — teraz wszystkiego miał zaledwie dziesięć fr. pięćdziesiąt: a dorożka do teatru?...

Drażnił go ten ciągły brak pieniędzy, drażnił tak, jak spragnionego człowieka, któremu dają parę łyków wody. Chodził po pokoju, umeblowanym skromnie, po wyblakłym dywanie, wreszcie zdecydował się — otworzył drzwi, prowadzące na balkon i przechylając się przez żelazną poręcz, zawołał na służącego, stojącego w drzwiach restauracyi, naprzeciwko. Ten zrozumiał widocznie, gdyż przeszedł ulicę i stanął w bramie.

— Co mam przynieść? Są kluski w sosie, kura, flaki.

— Przynieś mi kluski i kurę, ale zaraz.

— Wino i chleb?

— Tak.

— Owoce?

— Tak, tak.

Ryszard wrócił do pokoju, to był jego zły obiad, ukryty i upokarzający, obiad dni chudych, ładnego i próżnego poety marzyciela; nie poszedłby za nic do drugorzędnej restauracyi, wolał więc jeść przy świetle sterynowej świecy, w nieładzie wśród książek, kałamarzy, pustych butelek, perfum.

Służący wchodził parę razy, przynosił potrawy, dwa jabłka, butelkę żółtawego wina i rachunek, wynoszący dwa franki sześćdziesiąt. Ryszard zapłacił zaraz, dał dwa franki służącemu i sam, pochyliwszy głowę, pożerał kurę, czarną od pieprzu i kluski, na których tłuszcz zaschnął; zjadł jabłko, popił winem odsuwając ze wstrętem brudne talerze.

— Oto jest koszula — rzekła, wchodząc, pani Katarzyna. I na to, by jej się lepiej przypatrzył, przyniosła swoją lampę, z którą wtargnęło do biednego pokoju trochę więcej światła i wesołości.

— Tu pan jadł obiad? Kto wie, co za papraniny przynieśli; zrobię trochę kawy, chce Pan?

— Dobrze! — rzekł Ryszard, odwracając głowę, by nie widzieć brudnych talerzy. Jak zawsze kobiety były dobre i pieszczotliwe dla niego, lubiły go instynktownie, pociągało je to białe czoło, te bezmiernie tęskne i smutne oczy, zmęczenie, rysujące się na jego młodej twarzy.

Gdy ubrany już był starannie, uperfumowany, odeszła go trochę melancholia i poprosił:

— Pani Katarzyno, przez litość, niech pani zabierze te brudne talerze.

— Dobrze synu. A dziś pan będzie wielkim zdo-

bywcą. Chce się pan przejrzeć w mojem dużem lustrze?

Poczciwa gospodyni trzymała lampę, a Ryszard oglądał się w lustrze z przodu, z tyłu, z profilu — włożył chustkę do kieszeni i wrócił do siebie, a za nim pani Róża.

— Nie zapomnij pan czego — i podała mu portfel, rękawiczki i laskę.

Machinalnie otworzył portfel, było w nim z jednej strony siedem franków — z drugiej weksel bankowy: uczuł nagle, jakby się ziemia rozstępowała pod nogami, z przerażeniem liczył godziny, dzielące go od jutrzejszego południa.

Była dziewiąta, za piętnaście godzin miał znaleść tysiąc franków, albo zaprotestowaliby mu weksel.

— A jutro będzie artykuł w gazecie, panie Joanna. Jutro nie wiem... może będzie.

— Ta pani z trzeciego piętra skarży się, chciałaby, żeby codzień był.

— Znudziłaby się, pani Różo.

— Co też pan mówi! taki pan zdolny i tyle miłych rzeczy umie pan mówić kobietom, jak nikt nie umie: to nie znudzi nigdy kobiety.

— W takim razie umieszczę panią jutro w moim artykule.

— E! ja za stara, synu.

Wsiadłszy do fiakra, kazał jechać do teatru.

— Nie ma dziś przedstawienia — rzekł dorożkarz, stając przed milczącym i ciemnym teatrem.

— A to dlaczego? — spytał Ryszard, budząc się z zamyślenia.

— Bo Wielki Czwartek. Gdzie mam jechać?

— Jedź na plac Colonna — odrzekł dziennikarz.

To, że teatr był zamknięty, że ubrał się niepotrzebnie, że nie zobaczy pani Tekli i boskiej Elizy, te wszystkie drobne przeciwności wzięte razem, usposobiły go smutno, czuł się nieszczęśliwym i gdy schodząc z dorożki przed biurem Quasimodo zapłacił dorożkarzowi dwa franki, z siedmiu, które miał jeszcze, wzruszył ramionami ruchem zrozpaczonego człowieka. Ze spuszczoną głową wchodził na schody redakcyjne, zdecydowany na napisanie artykułu, gdyż nie miał nic lepszego do roboty aż do jedenastej, o tej porze dopiero wypadało złożyć wizytę pani Clelii. W redakcyi zastał drzemiącego Jerzego, ale nie zadał sobie trudu budzenia go, sam podniósłszy gaz i tak, jak był, w palcie, w kapeluszu, uważając tylko na mankiety, by ich nie powalać, pochylił się nad biurkiem i pisał pośpiesznie. Jak w lustrze tak i na zapisanych kartkach odbijały się wszystkie wrażenia całego dnia. Przebijała zjadliwość i suchość, to znów miękkość i idealizm, drgała ironia niezadowolonego serca, niezaspokojonych pragnień, smutek wielkich i małych rozczarowań, melancholia biednej egzystencyi, pogrążonej z musu w ciągłej pracy, a czasem plątała się nuta wesoła nieposkromionego w swych żądzach temperamentu, nieodpornego przy zetknięciu się z rzeczywistością. Przy końcu, jak zawsze, zjawiała się kobieta i natychmiast przybywał nowy urok, słowa stawały się gorętsze, wymowniejsze, zdania zaokrąglały się pieszczotliwie, wiązały się dziwnie, styl nabierał górnolotnych form.

Pisał i pisał, wydobywając z swego mózgu rzeczywistość obrazów, muzykę słów; wyrzucał z młodzieńczą wspaniałomyślnością nawał sił, czując ich nadmiar w tej chwili podniety.

— Piszesz? — rzekł Seano, wchodząc i zabierając się do swej kroniki.

— Tak, spieszę się, która godzina?

— Wpół do jedenastej.

Ryszard pochylił znów głowę, chcąc zaraz skończyć, nie mógł już usiedzieć na myśl zobaczenia pani Clelii i tak, jak przed chwilą kobieta była mu natchnieniem, tak stawała się teraz niweczącą siłą. Czuł suchość tej pracy, odrabianej codziennie na to, żeby żyć, czuł, że dziś, jak i codzień zresztą otworzył serce przed tłumem ludzi brutalnych, sceptycznych i głupich, że otworzył je tak, jak otwiera się je przed matką, przyjacielem, ukochaną kobietą. Czyż nie mówił do obojętnych słuchaczy rzeczy najczulsze, najsubtelniejsze, najsmutniejsze, gwałcąc tajniki swej duszy? Odchodząc, miał wstręt do samego siebie.

— Co za psi zawód — szepnął.

— Tylu nas tu pracuje, że moglibyśmy utworzyć chór śpiewaków, zarabialibyśmy więcej. Do widzenia, Seano.

— Do widzenia Joanna — ty szczęśliwy odchodzisz.

— Nie bój się, wrócimy tu wszyscy jutro — rzekł smutno poeta.

Wsiadł znowu do dorożki, rzucając adres willi Savelli; powstało w nim nowe rozdrażnienie, nie mógł myśleć o pogodnych szarych oczach pani Clelii, nie

widząc za niemi jasnych i zimnych oczu jej męża, p. Pompeusza, za jej uśmiechem widział weksel na sto tysięcy franków. Postanowił mówić z p. Pompeuszem, prosić o prolongatę, przypuszczając, że nie odmówi mu tej grzeczności. — Ale myśl, że mówić będzie o tem w jej salonie, w salonie pani Clelii była mu niewypowiedzianą męką. — Dotąd w jego życiu kobieta wyłączoną była zawsze od trosk finansowych, ona pociechą była, barwną i wspaniałą stroną jego życia, dziś te dwa elementa łączyły się, zlewały się męka i pociecha w jedno. Przez chwilę twarz jego płonęła rumieńcem na myśl o tych pieniądzach, których nie mógłby oddać nazajutrz.

Jasny promień księżyca oświecał plac St. Maria Maggiori i willę Savelli, z której dochodziły dźwięki muzyki, z podłużnych okien zapuszczonych czerwonemi firankami, przebijało krwawe światło. Gdy Ryszard wszedł do płonącego pałacyku, służący zdjął z niego płaszcz i wprowadził go po cichu do pokoju. Ryszard stanął w progu, czekając by ucichła muzyka, po to, żeby się przywitać. Przy fortepianie siedziały pogodna pani Clelia i idealna Eliza, tak uduchowniona, że przezroczysta prawie.

Grały Bethovena, przy nich zagłębiona w dużym fotelu siedziała pani Katarzyna Spinolo, słuchając ze skupieniem i uwagą. Ubrana w czarną suknię, naszytą dżetami, wyglądała jakby opancerzona w ciemną stal.

Mała i drażniąca pani Tekla, w czerwonej sukni, otoczona młodzieżą, rozmawiała półgłosem, niezdolna skupić choć na chwilę swych myśli. — Niedaleko niej, pozowała umiejętnie pani Beatrice Santaninfa,

spokojna i obojętna jak ktoś, który wie, że jest pięknym wśród tych pięknych, szczęśliwym wśród tych szczęśliwych.

Wszystko to było ładne, ładne i artystyczne, kwiaty białe i różowe azalie, delikatne statuetki z saskiej porcelany, dywany, fotele głębokie i rozmarzające i w tem otoczeniu, wśród kobiecych uśmiechów, muzycznych dźwięków, Ryszard uczuł się także szczęśliwym; — stojąc w cieniu za kotarą czuł jak powoli odpadały go troski, jak wyzwalał się z nędzy codziennego życia; tu dopiero, wśród roztaczającego się przepychu, wśród kobiecej urody, czuł się u siebie, to otoczenie odpowiadało całkowicie jego upodobaniom i marzeniom.

— Dobry wieczór Joanna — rzekła półgłosem pani Tekla Spada, gdy muzyka ustała, nie udało się panu porwać mnie dziś w teatrze.

— To szczęście dla mnie, bałbym się z panią uciekać.

— Aż tak. My możemy płonąć, spalić się nigdy. Tworzyły się teraz kółka, przybyło dwóch panów, pani Clelia przedstawiała Ryszarda uśmiechniętej pani Beatrice, dotarł wreszcie do pani Elizy stojącej nieruchomo przy fortepianie, przeglądając nuty.

— Grała Pani Bethovena, lubi go Pani bardzo — spytał półgłosem.

— Bardzo, chociaż on, jest dla mnie zanadto uroczystym — odrzekła z wdziękiem a głos jej był cichy jak powiew.

— Kogo Pani woli?

— Chopina.

— To naturalne — a wie Pani jak umierał?

— Wiem. — rzekła spuszczając powieki.

— A konwalie lubi Pani.

— Tak, ponad wszystkie kwiaty.

— To też przyniosłem je dla Pani, niech mi Pani powie wszystko co Pani lubi, żebym mógł z Panią kochać to samo.

Spojrzała na niego przeciągle swemi jasnemi oczyma, lecz nic nie odrzekła, na szczęście donośny głos pani Tekli zagłuszał kłopotliwe milczenie.

Ryszard spacerując po salonie, przypatrywał się śnieżnym białym kwiatom w marmurowych urnach, gdy w tem usłyszał za sobą głos pani Katarzyny.

— Musi mnie Pan nienawidzieć?

— Któż to Pani powiedział?

Ona zbladła i zatrzęsła się, ale w tej chwili wszedł do salonu wysoki, chudy, pan Pompeo Savella, a choć uśmiechnięty, robił wrażenie sztywnego i kańciastego człowieka. Ryszard uczuł bolesne ukłucie w okolicy serca, uczuł, że niemożliwem mu będzie mówić z nim o wekslu, że to wstyd wspominać cośkolwiek o tem temu wielkiemu Panu w jego własnym domu, gdzie przyjmowano go tak gościnnie, zakłopotany, stroskany, mimo że ogólnie rozmowa ożywiała się bardzo — nie mógł zdecydować się na krok stanowczy.

— Poeta jest zakochany, zażartował Pan Pompeo.

— Czy to prawda Joanna? — może we mnie, wykrzyknęła niemiłym swym głosem Pani Tekla.

— Powolny sługa — odrzekł kłaniając się Joanna.

— Tak,... trzeba było powiedzieć, koniecznie, Pan Pompeo jest gentelmenem, zgodzi się z pewno-

ścią a on zyska trzy miesiące czasu, w trzech miesiącach można znaleść dziesięć razy, tysiąc franków. Ma się przyjaciół, można, dużo pracować — bez wątpienia lepiej powiedzieć. — Tylko, że Pan Pompeo tak wygląda w tej chwili dalekim od interesów, tak wielkim panem, — zresztą mówi z ministrem belgijskim — nie można przerywać.

Potem Pan Pompeo próbował rozruszać panią Katarzynę, nie wypadało Ryszardowi przysiąść się do nich, starał się zachowywać obojętnie, swobodnie, śledził jednak każdy ruch pana Pompeusza, wynajdując przed sobą coraz to nowy pretekst dla oddalenia przykrej chwili.

Pani Tekla w towarzystwie jakiegoś neapolitańskiego hrabiego, opuszczała już towarzystwo, gospodarz domu odprowadzał ich aż do ogrodu. P. Katarzyna zasiadła znów do fortepianu. Co za wspaniały księżyc — rzekł wracając do salonu.

Ryszard czekał jeszcze w nieopisanej męce. Uśmiechał się jednak, nie zdradzając w niczem.

Zadecydował wreszcie, że nic o wekslu nie wspomni, że nie będzie podłym, pożegnał po cichu panią Clelię, ale jej mąż z wielką uprzejmością odprowadził go do przedpokoju.

— Nie cierpię smutnej muzyki a pani Katarzyna wygląda jak całun pośmiertny.

— Mnie także nie chce się umierać.

Bankier wyszedł z Ryszardem do ogrodu, księżyc świecił cudownie.

— Co za wieczór — szepnął pan Pompeo.

— Cudny, — rzekł wolno Ryszard, potem nagle gwałtownie.

— Pan ma mój weksel, płatny jutro.

— Wiedziałem, tak, — o ile przypominam sobie na 1000 franków.

— Czy nie możnaby go przedłużyć? i głos mu się załamał.

— Niemożliwe mój drogi — odrzekł tamten, — zresztą weksel nie jest nasz.

— Dogadzałoby mi to bardzo.

— Niemożliwe, upewniam pana, ale panu tak łatwo być punktualnym, wy pisarze zarabiacie ile się wam podoba, co innego my biedni urzędnicy.

— Dobranoc.

Dziennikarz szedł wolno przez plac. Biła pierwsza, tak kończył się jego dzień.

Schodząc po opuszczonej via Nazionale, uprzytomniał sobie jasno, dokładnie, tak, jakby on był tylko widzem rozgrywającego się dramatu, wszystko to co przeżył, co przemyślał, co zrobił. Bez goryczy i bez ironii, zimno, z ogromną dokładnością, ujrzał się takim, jakim był, marzycielem, niezdecydowanym, którego ująć mogły ręka lub profil kobiecy, ujrzał się wałęsającym z cukierni na wystawę, z „venty“ na cel dobroczynny, do kościoła lub na koncert, ze sklepu starożytności, do sklepu z kwiatami, z teatru do salonu; wiecznie rozleniwiony, bez woli; ulegający kobietom jak dziecko; poświęcający im swój czas, z wysiłkiem zarabiane pieniądze, zaniedbujący pracę, która była całą jego siłą.

Ujrzał bezmiar nieuleczalnej swej próżności, za-

nalizował całą jej nicość; kobiety te, jak Dalilla, spiskowały na niego, nieświadomie odbierając mu siły. W rzeczywistości nie kochała go żadna i on żadnej nie kochał a uczucia, dla których wszystko poświęcał nie były ani silne ani szlachetne, był to pociąg fizyczny, a nadewszystko zobopólne zadowolenie, miłości własnej.

Najboleśniejsze, najsmutniejsze, było to, że nie kochała go nigdy żadna z nich — patrzyły się na niego słodko, uśmiechały się mile, wodziły go za sobą do kościoła, do starożytnych sklepów, zjadały z nim paszteciki w cukierniach, grały mu Chopina; ale nie kochały go, dla nich było to odurzanie się zapachem kadzidła, które poeta spalał na ich cześć. Żadnej nie przychodziło nawet na myśl, wejść w jego życie, rozjaśnić mu je i pocieszyć go.

Duży, jasny, księżyc świecił na niebie. Ryszard idąc rozmyślał jak nędzne i błahe były jego tryumfy i zdobycze; rozmyślał nad płochością kobiet, nad wielkim ich egoizmem, między nim a masą znajomych mu kobiet, nie zawiązała się ani jedna nitka serdeczna, przyjazna; łączyła ich próżność. Uczuł się osamotnionym bardzo i na zawsze.

— Joanna! zawołał miły kobiecy głos ze stojącego w świetle księżyca powozu.

Dobry wieczór „Chérie“ odpowiedział, zwracając się do kobiety całej w bieli.

— Gdzie Pan idzie?

— Nigdzie.

— Jedźmy razem do Coloseum patrzeć na księżyc.

Pojechali. — Chérie milczała wysoka i wysmukła, otulona w biały włóczkowy płaszcz.

— Co Panu?

— Nic Chérie.

— Palił papierosa, Chérie patrzała gdzieś daleko, w niebo. Nie mówili do siebie. Pod łukiem Septyma Severa, spytała jeszcze tym głosem, który był głównym jej urokiem.

— Co Panu?

— Nic Chérie.

W bramie Colosseum podał jej rękę, kiedy schodziła z powozu, ale nie podał ramienia, gdy przechadzali się po cyrku zalanym księżycowym blaskiem. Siadła na kamieniu, on stanął przy niej paląc papierosa, zamyślonym wzrokiem patrzał dokoła.

— Nie opowiadaj mi pan historyi. Colosseum — wolę być ignorantką.

Nie odpowiedział; ale w świetle księżyca wydał się jej tak zmienionym, że raz jeszcze spytała:

— Niech Pan powie, co Panu jest? Jak coś gnębi lepiej wypowiedzieć.

— Mam weksel na 1000 franków, płatny jutro.

— A nie ma Pan pieniędzy?

— Nie mam. I gwałtowne łkanie wydobyło się z piersi poety.

— To nic, to nic, szepnęła pieszczotliwie. Weksel niepłacony jest tylko zaprotestowany. W cichą, księżycową noc, litościwa kurtyzana i poeta, płakali.

IV.

KWADRANS RABELAIS.

W redakcyi nie było już żadnego z dziennikarzy przed chwilą, ostatni z nich wyszedł zatrzaskując szklane drzwi za sobą, i biegał po dwa schodki naraz, tak spieszył.

Jeden Ryszard Joanna nie ruszył się z miejsca, nie wstał od biurka, które zarzucone pociętemi gazetami i papierami, wyglądało tak, jak pole bitwy po stoczonej walce, siedział w pokoju redakcyjnym, w którym pełzało jeszcze światło gasnącego dnia, mieszając się z żółtawem światłem gazu, zapalonego już o tej porze.

Piękny redaktor, zmordowany życiem pełnem trosk i trudów, które wyczerpywało go od trzech miesięcy, siedział teraz wyciągnięty na fotelu, z cygarem w ustach, z rozburzonemi włosami; odpoczywał zmęczony fizycznie, umysłowo i moralnie, napawał się nieuleczalnem zgorzknieniem, jakie już miał w duszy.

W opustoszałej redakcyi, w której cierpiał samotnie, powstawała nowa gazeta „L'uomo che ride“ Śmiejący się człowiek. — Walały się jeszcze po stołach, artykuły, telegramy, jakiś romans, parasol zostawiony przez jednego z dziennikarzy, książki, z których redaktorowie czerpali przed chwilą wskazówki potrzebne do swych artykułów. — Te zaczątki dzien

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

nika, w tej chwili właśnie pod opieką innych, wyrzucanego na świat, w wydaniu dla prowincyi, napełniały go bezbrzeżnym smutkiem. — Cóż go teraz obchodziła treść dziennika, byle gazeta nie przestawała wychodzić, jakbądź, byle któregoś dnia nie umarła z anemii, byle maszyna drukarska, drukując inne szczęśliwsze, silniejsze dzienniki przy nich, drukowała i jego dziennik, to było wszystko czego pragnął.

Już nie istniał ten dawny Ryszard Joanna, świetny pisarz i poeta, światowy kronikarz, historyk bali i koncertów; dziś przytłoczony ciężarem swych snów ambitnych, przyduszony wielkością powziętego zadania, tak — już nie istniał.

Od piętnastu dni nie mógł już pisać, nie był w stanie skleić nawet politycznego artykułu; przystojny kobieciarz, lubiący kawior i kobiety, stracił był wszystkie przymiotniki i przenośnie, jedyna myśl pochłaniająca go jeszcze była iść dalej, przebojem, jeśli nie; zginąć, umrzeć.

Widmo śmierci, przywoływane przez niego od czasu do czasu, wezwane było przez niego za opiekuna na samym początku założenia pisma. Trati z kieliszkiem w ręku wzniósł toast na cześć przyszłego pogrzebu dziennika a on odpowiedział: Nie kpijcie, to będzie moja Golgota.

Zabrzęczały szyby drzwi wchodowych, wszedł służący z telegramem i wręczył go Ryszardowi, potem przy nim zabrał się do porządkowania biurka. Joanna otworzył, telegram zawierał te słowa:

Wysyłam pięć arkuszy, resztę nadeślę później. — Przyślijcie telegraficznie 50 franków. — Brancacci.

Ryszard podniósł nieprzytomny wzrok z tego kawałka papieru, spostrzegł, jak woźny wycierał rozrzucone po biurku kałamarze.

— Czy nie było administratora? — spytał.

— Nie, panie dyrektorze.

— A któż był w administracyi?

— Wpadł na chwilę Antoni, chciał widzieć się z panem osobiście, ale odesłał go pan Trati.

— Kto otworzył pocztę administracyi?

— Nikt, ja ją mam; czy przynieść?

— Przynieś! A kto odebrał pieniądze ze sprzedaży?

— Pan Trati.

— Dobrze, przynieś pocztę.

Woźny po chwili położył ją przed Ryszardem, który przecinał listy i przeglądał je niedbale.

Z Turynu proszono o ograniczenie do czwartej części ilości nadsyłanych numerów; nie chciano w tym mieście „śmiejącego się człowieka“; liczba odnoszonych gazet była wielka.

Pretor z Campobello di Liceta pisał wściekły, ponieważ od trzech miesięcy odsyłał codziennie gazetę. Przestaną wreszcie mu ją posyłać, czy nie? Słyszeć nie chce o abonamencie. Klub Sabandelli w Raguzie reklamował zamówioną gazetę, której nie odbierał — dlaczego?

Messagero skarżył się, że redakcya nie raczyła posyłać mu wzajemnie swego organu. Joanna uśmiechnął się, napisał czerwonym ołówkiem na arkuszu

papieru: „Wysłać „Czas“ do redakcyi Messagero“ i przeglądał jeszcze pięć czy sześć pozostałych kartek. Wydawca z Medyolanu cofał ogłoszenie, prosząc o przesłanie do administracyi Tarfalli, nadesłane przez pomyłkę do ich redakcyi, trzydzieści franków.

Ryszard schował niektóre listy do szuflady, resztę wsadził do kieszeni i wyszedł, zapowiadając na wypadek, gdyby kto przyszedł, iż jest w drukarni i wraca zaraz.

Ulica, gorejąca od światła, przyjęła go ciepłym wiatrem i ulewnym deszczem: zawahał się, czy wrócić po parasol, czy wsiąść do karetki, ostatecznie poszedł piechotą. Wpadł do drukarni, wycierając z tupotem nogi o kamienną posadzkę. W pokoiku, w którym umieszczona była ogniotrwała kasa drukarni, Giulio Trati, mały, pokraczny, w jakimś, głęboko zachodzącym mu na głowie kapeluszu, z podniesionym kołnierzem palta, poprawiał z przejęciem bardzo gwałtowny swój artykuł przeciw Bismarckowi, poprawiając czytał głośno, a Bagatti, jego kolega, słuchał, gładząc ogromne wąsy, wykrzykując i podziwiając z całą gwałtownością południowca.

— Tyś wziął pieniądze od Giardiniego — spytał Tratiego Joanna.

— Ja — odrzekł Trati.

— Daj mi pięćdziesiąt franków. Brancacci telegrafuje, że chce je natychmiast.

— Brancacci poczeka.

— Poczeka, ale nie przyśle mi końca artykułu.

— Ale ja nie mam tych pieniędzy.

— Nie masz? — rzekł Joanna blednąc, dziwnie przerażony tą małą przeciwnością.

— Czekaj, dam ci rachunki, musiałem dziś służyć za administratora. — Poszukawszy w kieszeni, wydobył brudny świstek papieru, rozkładając go przed Ryszardem. — Piętnaście franków musiałem dać za artykuł Bertelliemu: to bydlę nie chciało oddać ostatnich felietonów.

— Majstrowi należało się sześć i pół franków za wysłany przez ciebie telegram.

— Wdowa po Baracconim przyszła prosić o pięć franków, przysłanych jej wczoraj z Tryestu, a które administracya użyła inaczej.

— A tu masz rachunek Giardiniego — i Trati wydobył drugi brudny świstek, na którym zapisany był ołówkiem wynik rozsprzedaży dziennika. — Ośmdziesiąt tuzinów dziennika, czyli dwadzieścia ośm franków i ośmdziesiąt centymów. Zostaje dwa franki i ośm soldów.

Ryszard, który z roztargnieniem śledził smutną arytmetykę Tratiego, kiwnął potakująco głową.

— A cóż będzie z administratorem?

— Dlaczego? Co się stało?

— Odszedł, mówiąc, że tak dalej nie może być.

Ryszard przygryzł wązkie wargi.

— Dobrze, pomyślimy o tem jutro. A dziennik?

— Jest w druku, Malagagni poprawia sprawozdanie z izby, ale ustawicznie gada.

— Przejrzałeś? Daj.

Wziął z jednej strony zadrukowaną stronicę, i w towarzystwie Tratiego i Bagatti wszedł w samo

serce drukarni. Malagagni poprawiał, kłócąc się z majstrem całą neapolitańską wymową.

— Zdążymy na czas? — spytał Joanna.

— Trochę już późno — rzekł majster, — Pan Malagagni marudzi.

— To dobrze—odrzekł obojętnie Ryszard i zwracając się do wchodzącego Pawła Stresa, spytał:

— Czy wciąż gada?

— Teraz mniej.

— Ja odchodzę.

Zatrzymał go majster.

— Buchalter pragnie się z panem widzieć.

W oszklonym pokoiku, porządnym i cichym siedział mały, zimny człowieczek, z bródką jasną i żółtawemi oczyma. Ryszard oszołomiony hukiem i szybkością zdarzeń, wszedł ogłupiały.

— Niech pan uważa, panie Joanna — rzekł do niego głos zimny i trochę urągliwy — tak nie może być dłużej. Z uprzejmości dla pana zgodziliśmy się na rachunki tygodniowe, zalega pan już od piętnastu dni, codzień obiecuje pan płacić. Nie mogę użyczyć panu dalszego kredytu, pojmuje pan, i my mamy nasze zobowiązania, robotników do płacenia.

Joanna słuchał tej bolesnej dla niego przemowy, milcząc; rozdrażniło to widocznie tamtego, gdyż głos podniósł się niespodzianie o jeden ton.

— Słowem, przykro mi niewymownie, lecz mam nakaz oznajmienia panu, że jeśli do jutra należyta suma nie będzie zapłacona, zawiesimy wydawnictwo gazety.

— Oznaczcie termin do pojutrza — rzekł na po-

zór obojętnie Joanna, czuł jednak, jak krew napływała mu do głowy.

— Niemożliwe, rozumie pan? Gdyby to odemnie zależało.

— To dobrze — rzekł, wychodząc Joanna, a trzymając jeszcze za klamkę, zawołał:

— Trati!

— Słuchaj — rzekł do niego, gdy nadszedł i odprowadził go w ciemną framugę — pamiętasz, jak w wieczór inauguracyjny tego pisma powiedziałem, iż będzie ono moją Kalwaryą? Dziś postanowiłem lepiej — ja może umrę, ale gazeta żyć będzie. Giulio, jeśli zginę, ty utrzymasz ją przy życiu.

— Zwaryowałeś — krzyknął Giulio, przytrzymując go.

— Nie bój się, nie idę zabijać się teraz. Nie można jednak nigdy wiedzieć, co będzie. Pa!

Zatrzasnęły się za nim drzwi z łoskotem, wychodząc, podśpiewywał.

— Co się stało?

— Gazeta przestaje wychodzić.

— Joanna zabija się? — pytali redaktorowie, otaczając Tratiego.

— Słuchajcie! Jesteśmy w przededniu katastrofy, trzeba mieć na oku Joannę.

— Powiedział ci co?

— Poświęćmy coś tymczasem: ja nie mam centa przy duszy.

— Ani ja — rzekł Bertelli.

— Boś bydlę — odparł mu Trati.

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

— Ja mam swoje stypendyum, zdobyte dzisiaj — rzekł Stresa.

— A ja zastawię chyba jedyny majątek: fuzyę i futro — proponował Bagatti.

— To dobrze, wystarczy tymczasem na zaliczkę dla drukarni.

— Czy rzeczywiście chce się zabić? — pytał Bertelli.

— To istny desperat — odpowiedział Trati.

Jakże ciepło, zasobnie; wyglądała Caffé di Roma o siódmej wieczorem. Ludzie przemęczeni całodzienną pracą, lub też znudzeni dniem, przepędzonym bezczynnie, oddawali się rozkoszy jadła, a podniecenia żołądków udzielały się głowom, rozbudzając nerwy, podniecając wesołość umysłów. W rogu sali przy stoliku artystów i złotej młodzieży wrzała wesołość, przy innym stoliku ogromny poseł z grubym złotym łańcuszkiem improwizował polityczny artykuł, przed małym i wątłym posłem, który miał głowę żmijki i rybie oczy, trochę dalej młody pisarz, wykwintny w stroju i stylu, zajadał samotnie kawior i kotlety. Spostrzegłszy wchodzącego Joannę z miną człowieka, rozglądającego się niepewnie, jak ktoś, co wchodząc do restauracyi szuka kogoś, a nie przychodzi na to, żeby co zjeść, zawołał na niego.

— Zjemy razem obiad — rzekł mu sławny już młodzieniec.

— Nie, kochany; szukam tu kogoś.

— Kobietę?

— Nie, milionera.

Ładny chłopak skrzywił się obojętnie, próbując

złapać zębami puszczające mu się już wąsy. Ryszard zdjęty nagłą czułością i sympatyą dla tej małej maszynki rymujących się przymiotników i błyskotliwych zdań, siadł przy nim na kanapie.

— Napisz mi nowelkę na jutro.

— Też coś, nie piszę już nowelek, dużo pracy a mało korzyści.

— Daj wiersze w takim razie.

— Zrobię cztery zwrotki o zębach księżnej Santaninfe, wiesz, o tych zębach tygrysicy.

— Ty, też? — rzekł Joanna, patrząc na niego smutno.

— Jakto i ja? Widziałem ją dziś w cukierni, wybierała ciastka na swój faif. Boska. Wiem, wiem, dasz mi te wiersze?

— Dam, ale chcę mieć zaraz pięćdziesiąt franków.

— Teraz ich nie mam, napisz pierwej wiersze.

— Jak tak, to dowidzenia, odstąpię je w Bajardzie; potrzebuję natychmiast pieniędzy.

— Do widzenia, dzieciaku — rzekł, wstając Joanna i znów spojrzał na młodego poetę tak gorzko i serdecznie, ze smutkiem, tak pełnym litości, że ten spostrzegł, iż coś w tem jest.

— Co ci jest, czy to prawda, że twoja gazeta chora?

— Tego nie dożyjesz ani ty, ani ja. Ale im bardziej patrzę się na ciebie, tem bardziej jestem wzruszony. Zdaje mi się, żeś mój syn.

I zwrócił się do stolika, przy którym siedział milioner, który skinął na niego.

Dobry staruszek z Basilicata, senator, wice-pre-

zydent, członek rady nadzorczej całego tuzina banków, cichy ich wspólnik, wyglądał zadowolony z życia i z siebie. Na złość swojej tragedyi małżeńskiej zajadał smacznie, choć bezzębnemi dziąsłami i słuchał spokojnie i uważnie rzeczy okrutnych, opowiadanych mu przez Joannę głosem cichym, z pogodnym wyrazem twarzy. Choć tak wyglądał na pozór, płonął wewnętrznie, jakgdyby zapaliły się w nim wszystkie władze umysłowe ostatnim płomieniem. Siedział zgięty, mnąc konwulsyjnie w ręku róg obrusa, mówił spokojnie i dziwnie jasno.

— W panu pokładam ostatnią nadzieję. Jeśli pan mnie opuści, zabiję się jeszcze dziś w nocy.

— Nie mów pan tego, to nie są rzeczy, o których się mówi, bo później, albo się je robi i popełnia się głupstwo — albo się ich nie robi i jest się śmiesznym.

— Nie zna mnie pan, albo nie zna pan dziennikarzy. Dziennikarz to jak kapitan okrętu, gdy okręt tonie, musi iść z nim na dno.

— Jakże może pan mówić takie rzeczy człowiekowi, z którym ma pan zamiar wejść w interes. Pan chciałby być poetą we wszystkiem, nawet w spekulacyi, nawet w dziennikarstwie. Znałem więcej, dużo więcej dziennikarzy od pana: znałem naprzykład Girardin, który mówił, że dziennikarstwo jest dziś tem, czem był regiment parę wieków temu; wtedy kto chciał próbować awanturniczych przygód i zmierzyć w nich swe siły, zbierał wojsko, dziś zakłada dziennik. Jeśli przypadek był pomyślny, dowodzący siedział na karku fortuny, jeśli nie, wojsko rozpuszczano, a do-

wodzący wracał do swoich pól, czy zamku, zależnie od jego pochodzenia.

Pogodny staruszek mówił łagodnie, dobrodusznie, z krótkim, urywanym śmiechem, zadowolony z tego, że może wykazać swoją erudycyę, znajomość spraw dziennikarskich i życiowych. Joannie przewracały się kiszki z niecierpliwości, znał dobrze męki, przez które przechodzić trzeba, słuchając majaczeń tych ludzi interesów, ludzi bogatych, wygłaszających nauki, kazania do zwracających się do nich takich, jak on, rozbitków. Ale na ten raz nie mógł wytrzymać, potrzeba była nagląca, każde odbiegnięcie od przedmiotu — nie do zniesienia — to też stawał się coraz bardziej chmurnym.

— Ale przejdźmy do interesu — rzekł wreszcie senator. O co chodzi?

— O to — rzekł Joanna powoli z tą zaciętością człowieka, który rozpędza się, by głową mur rozbić, że jeśli nie rozwiążę nierozwiązalnego problematu, o jakim mówiłem, dziś w nocy muszę sobie życie odebrać.

Senator spojrzał mu tym razem w oczy, poruszony bardziej tonem, niż słowami i z pewnym niepokojem zapytał:

— Co takiego? mów pan, zobaczymy.

— Trzeba mi na jutro dziesięć tysięcy franków— wyrzucił jednym tchem Joanna.

Senator odzyskał zaraz swój chłód poprzedni i słodycz.

— To będzie trochę trudno, ja tych pieniędzy dać nie mogę.

— A więc żegnam pana — rzekł Ryszard, wstając.

— Czekaj pan! Gdzież pan idzie?

— Idę znaleść nie dziesięć, ale dwadzieścia, ale sto tysięcy franków. Jeżeli jutrzejszy numer gazety wyjdzie z opisem samobójstwa Ryszarda Joanny, byt jej jest zapewniony, wydrukują sto tysięcy numerów i nikt nie odmówi funduszu na utrzymanie jej przy życiu.

— Czekaj pan, zobaczymy, może da się coś zrobić — rzekł dobry staruszek, zaniepokojony tą pogodną, a zarazem majaczącą twarzą. — Koniecznie trzeba panu dziesięciu tysięcy franków.

— Nie wiem. Trzeba mi wszystkiego: sześć tysięcy za papier, którego nie dostarczą mi więcej, jeśli nie zapłacę, sto dwadzieścia drukarni, która jutro nie będzie drukować, pięćdziesiąt fr. Brancacciemu, który nie przyśle ostatnich felietonów, jeśli mu nie poślę telegraficznie, pięćdziesiąt temu młodemu poecie, który swoje wiersze odda do Bajarda. Cztery tysiące moim współpracownikom, którzy od dwóch miesięcy nie dostali ani centa, dwanaście fr. woźnemu.

Senator pozwalał wygadać się biedakowi i żując wolno, rozmyślał, ważył, mierzył otchłań, z której Joanna wołał do niego o pomoc. Odezwał się wreszcie:

— Ja jutro z rana muszę wyjechać do Turynu, wrócę za pięć, sześć dni, wtedy panem się zajmę — pomówię z moimi przyjaciółmi i mam nadzieję, że za jakie parę tygodni zbiorę dla pana do ośmiu, do dziesięciu tysięcy lirów. Ale musi mi pan zaręczyć słowem, że gazeta będzie trwać dalej.

— Jużem panu powiedział, gazeta żyć będzie, ale ja nie mogę czekać tyle czasu.

— To czegóż pan chce odemnie?

— Niech pan słucha, niech mi pan da pięć tysięcy, nie będę już pana dręczył.

— Bezwarunkowo nie mogę.

— Trzy tysiące.

— Nie, nie mogę.

— W takim razie wszystko napróżno — rzekł zimno Joanna.

Senator zaczął się trząść ze złości i strachu.

— Jakże u dyabła doszliście do takich ostateczności. Czy nie przewidywaliście wielkich wydatków, jakie pociąga za sobą wydawnictwo pisma?

— A czyż ja mogłem przewidywać, że Sella zachoruje? Gdyby nie jego choroba, nie istniałaby dziś prawica i lewica, przeważałoby stronnictwo konserwatywne, jako rozsądniejsze, żywotniejsze od postępowców. „L'uomo che ride“ byłby organem tej partyi, znalazłyby się fundusze i sprzedawalibyśmy dziennie po pięćdziesiąt egzemplarzy.

— A wy budujecie przedsiębiorstwo handlowe na marzeniach, które lada malaryczna gorączka może rozwiać.

— Bez takich marzeń nie byłoby ani jednego dziennika, ani jednego banku, ani kolejowych przedsiębiorstw.

— A wasi akcyonaryusze? Mówił mi pan niedawno, że macie podpisy na siedmdziesiąt tysięcy: czy to już wyczerpane?

Ta spokojna uwaga, przywołująca do rzeczywi-

stości, zatrzymała Joannę w jego porywach — to był cios, uprzytomniający mu największą jego wadę: uważania swych marzeń za zdarzenia prawdziwe, pragnień i złudzeń za rzeczywistość. — Wyjąkał więc kłamstwo:

— Podpisali, lecz nie zapłacili.

— Jakto nie zapłacili? — rzekł, śmiejąc się senator. — Czy nie ustanowiliście anonimowego towarzystwa, czy nie zebrali się akcyonaryusze? nie ustanowili zarządu administracyjnego i administratora? nie złożyli kwoty, ustanowionej przez prawo? Macie kodeks handlowy i trybunał za sobą, brońcie się!

— Ja nic z tego nie zrobiłem — rzekł Ryszard — nie przypuszczałem, żeby te formalności były potrzebne — zaufałem na słowo.

Senator spojrzał na niego z litością. milczał, popijając znów Cherry-brandy. Młody poeta skończywszy właśnie swój obiad, przybliżył się do Ryszarda.

— Słuchaj Joanna, jeśli nie znajdę administratora Bajardu przed południem, przyjdę do ciebie, przygotuj mi pieniądze, oddam ci wiersze.

— Dobrze. Pa!

Młodzieniec odszedł, trzymając ręce w kieszeniach, pragnąc widocznie nadać sobie ruchy anglika.

— Ile kosztuje obecnie w Rzymie utrzymanie dziennika? — pytał senator, zdjęty okrutną ciekawością.

Joanna spojrzał mu w oczy, zabłysła mu znów nadzieja, poddał się więc kaprysowi milionera.

— To zależy, mój kosztuje od ośmiu do dziesięciu tysięcy miesięcznie.

— Dla Boga, to poważne.

— Rachunek prosty: papier kosztuje 70 cent. kilo, każde kilo przynosi z 50 arkuszy — znaczy, że na pięć lub sześć tysięcy numerów wydaje się dziennie od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lirów: od tysiąca pięćset do tysiąca siedemset na rok. Drukarnia wynosi od trzydziestu do trzydziestu pięciu lirów dziennie, czyli do tysiąca rocznie. Zwyczajni redaktorowie, wliczywszy korespondentów z rozmaitych miast od dwóch tysięcy trzysta, do dwóch tysięcy czterysta. Dodatki nadzwyczajne, nadzwyczajne korespondencye, pisarze, płatni od artykułu, od tysiąca dwieście do tysiąca pięćset miesięcznie, telegramy mniej więcej tysiąc pięćset lirów. Poczta, personal, lokal, gaz, tysiąc pięćset. I jest cały rachunek.

— A dochody? — spytał niewzruszony senator.

Ryszard czując coraz więcej nadziei, nie zniechęcał się tak, jak nie zniechęcają się rybacy, którzy rzuciwszy harap na wieloryba, dają się wlec zranionemu potworowi, aż siły utraci i ulegnie.

— Pożyteczni są zwykle abonenci, my zaś mało ich mamy.

— Iluż ich macie?

— Czterystu, mniej więcej.

— Co płacą?

— Dwadzieścia lirów rocznie.

— Ośm tysięcy lirów — obliczył senator. — A sprzedaż?

— W Rzymie dajemy od siedemdziesięciu do ośmdziesięciu tuzinów po trzy centy odsprzedającym, czyli mamy z tego od dwudziestu pięciu do dwudzie-

stu dziewięciu lirów dziennie, od siedmiuset ośmdziesięciu do ośmiuset lirów miesięcznie.

— Dajmy na to dziewięć tysięcy rocznie — liczył ciągle senator.

— Na prowincyi zaś sprzedajemy tysiąc egzemplarzy po sześć centów, z tego mamy sześćdziesiąt lirów dziennie.

— Dwadzieścia dwa tysiące rocznie — zakonkludował senator. — A czwarta stronica?

— Jak na ten rok prawie nic nam nie przynosi, gdyż nie opłaca się nam zawierać kontraktu na podstawie 4000 abonentów. Zresztą wymagałoby to osobnego administratora.

— Koniec z końcem, rozchodu macie przeszło sto tysięcy rocznie, a przychodu nie całe czterdzieści tysięcy.

Joanna przytłoczony cyfrą oniemiał, słuchał dalej z niepokojem.

— Jesteś pan zdolny, drogi panie Joanna, to grzech tak się marnować, a wszystko to jest złą spekulacyą, daj pan temu spokój, pisz pan do innych dzienników, może pan dużo jeszcze zarobić.

Joanna oszołomiony, jak po uderzeniu obuchem, wstał, porwał za kapelusz, przechodząc przez kawiarnię, jak człowiek obłąkany, nie widział tych, na których patrzył.

Na ulicy było zimno, ponuro, zapadał mrok; zaledwie Ryszard znalazł się na niej, uspokoił się zaraz. Umysł jego zaczął funkcyonować jasno, porządnie, posłuszny silnej, niewzruszonej woli. Chwilę rozważał nad tem, co miał jeszcze przedsięwziąć na to, by

wszystko uregulować, wszystko przewidzieć, nie tracąc czasu. Puścił się potem przez Corso, omijając i tak rzadkich przechodniów. Stanął przed kawiarnią Uragno, próbując, czy przez szyby nie dojrzy Tratiego, ale szyby były spocone, tak, że widać było tylko mgliste postacie, wszedł więc do środka i zaraz od wszystkich stolików dolatywały dla niego pozdrowienia. Jakaś postać, wyglądająca na szeregowca prasy, zatrzymała go.

— Słuchaj Joanna, nie mogłem ciebie ścierpieć, byłeś mi dotąd antypatyczny, ale teraz licz na mnie we wszystkiem.

— Czy jest tu Trati? — spytał Joanna, ściskając mu rękę.

— Powinien być, zobacz tam, w głębi.

Ryszard przeszedł przez salę z twarzą spokojną, nie widząc jednak kłaniających mu się ludzi, którzy o nim mówili.

— Ten, zdaje się, skończy — powiedział kapitan strażników, a przyjaciel dziennikarzy.

Trati był w niemożliwym stanie, wyglądał, jak maszyna parowa. Przed nim stała szklanka ponczu, a on, z kapeluszem na bakier, z podniesionym kołnierzem, polemizował gwałtownie z siedzącymi z nim dziennikarzami i reporterami. Głos jego zazwyczaj łagodny przechodził do grzmiących tonów, wył prawie, dowodząc, że nie znał, że nie istnieje na świecie lepszy dziennik od „Śmiejącego się człowieka“, że sprzedać powinni Bajarda, staruszka ruderę, bez sprytu i nowin; i ten drugi dziennik „Sancio Panza“, oficyalny dostarczyciel głupstw dla głupców, stek bzdur,

tłómaczonych z francuskiego. A czyż w Rzymie jest gazeta, któraby miała polityczny ideał?

— My jedni go mamy — krzyczał — my codziennie od trzech miesięcy walczymy bez przerwy o niego. To trochę życia literackiego, które jest u nas, my jedni skupiamy, my umieszczamy artykuły Brancacciego, Dissa, Filippiego, Capnaux, wiersze Stecchettiego i innych. Wszyscy się nas boją, nie odpowiadają na nasze zaczepki, ale toczą z nami walkę podłych, kradną wiadomości, nakazują sprzedającym, żeby nie wykrzykiwali naszego dziennika. O, prasa u nas jest nikczemna, ale przyjdzie czas...

— Trati, chodź stąd! — przerwał mu Ryszard, klepiąc go po ramieniu.

— To ty? Jestem! — i brzęknął pieniądzmi, płacąc za poncz.

— Chodźmy do biura.

Przed bramą zapytał:

— Masz zapałki?

Naprzeciwko redakcyi była winiarnia, właściciel stał przed sklepem i gdy Trati potarł zapałkę, przybliżył się do Joanny, mówiąc:

— Wie pan, że mi się już znudziły te kpiny; wczoraj znowu, gdym się upominał u pańskiego administratora o zapłacenie 220 lirów odesłał mnie z kwitkiem.

— Niech pan jutro przyjdzie.

— Ale co za jutro, czy pojutrze — krzyknął grubijańsko rozzłoszczony wierzyciel — słyszę to już od trzech miesięcy, po co pić tyle koniaku, gdy się nie ma na to.

— Rób pan, co się panu podoba — rzekł Joanna, wchodząc do bramy, ze schodów słyszał jeszcze przekleństwa i groźby wierzyciela. Zdawało mu się, że zwaryuje. Rzucił się na fotel wściekły — chciało mu się wyć.

Na biurku leżały dwa listy, jeden żółty; zaledwie przeczytał go Ryszard, rzucił o ziemię i depcząc go, krzyczał:

— I ty, i ty, i ty też! Niech was dyabli porwą, psy podłe, bodajbyście szczeźli, nie chcę już nic wiedzieć, nic.

— Dla Boga, uspokój się.

Trati podniósł list ze ziemi, był to rachunek tapicera, który biuro meblował, groził i nalegał, dopominając się o natychmiastowe zapłacenie go. Poczciwy Trati schował list do kieszeni, żeby nie drażnić jego widokiem Ryszarda.

— Daj pokój — rzekł Joanna, który siedział podparty łokciami — już mnie teraz nic nie obchodzi. Daj mi gazetę wieczorną; gdy podał mu ją Trati, wydobył z szuflady cygaro, zapalił i zaczął czytać nawet z pewną uwagą.

Trati siadł przy stoliku, przy którym zwykle pracował i pisał kronikę z notatek, zostawionych mu przez reportera. Trzy lampy, zawieszone wysoko, rzucały z góry trzy snopy światła na biuro jeszcze nowe, a już zawalone starymi gazetami i już zakurzone.

Joanna czytał, Trati pisał szybko, ale między nimi panowała jakaś ciągła transfuzya myśli. Marzyciel, który pociągał swego przyjaciela w świat iluzyi i złudzeń i ten drugi, który napróżno chciał przelać w niego

całą swą siłę i niezłomną wolę pracownika, zbliżali się ku sobie, złączeni węzłem sympatyi i silnym braterskim przywiązaniem.

— Ładny twój artykuł — rzekł Ryszard.

— Podoba ci się?

— Słuchaj — rzekł Ryszard, siadając na stołku obok Tratiego — w tobie jest materyał na dziennikarza, umysł masz zwyczajny, nie jesteś poetą, ale masz zdolność określania, ty będziesz wielkim dziennikarzem, mam wiarę w ciebie i tobie polecam nasz dziennik.

Trati skoczył wzburzony.

— Jeśli nie wybijesz sobie tej myśli z głowy, otworzę okno i narobię takiego hałasu, że zleci się tu cały Rzym.

— Co za pomysł, zwaryowałeś? — rzekł Ryszard, uśmiechając się łagodnie.

— Mówiłeś o tem od pierwszego dnia, mówiłeś o tem zawsze — mówiłeś o tem i dziś wieczór: to waryactwo, ty tego nie zrobisz! — krzyknął Trati, podniecając się własnemi słowy, i podchodząc do biurka, położył na nim ręce, broniąc Joannie dostępu do szuflady.

— Ależ nie, przestań, nie bój się, nie zabiję się, to byłoby za głupie i ucieszyłbym swych nieprzyjaciół. Zostaw w spokoju biurko i posłuchaj.

— Nie ruszę się stąd, możesz mówić.

— Więc widzisz, tak dalej być nie może. Senator, który z początku obiecywał mi piętnaście tysięcy lirów, później dał tylko podpis na pięć tysięcy, pół godziny zaś temu odmówił mi dziesięciu tysięcy; to-

warzystwo konstytucyjne zwodziło mnie przez trzy miesiące, wreszcie wczoraj oddało te trzydzieści tysięcy dziennikowi la Patria; nie mam już kredytu. Jeśli nie zapłacę drukarni, jutro nie wydrukują mojego dziennika, wy wszyscy od dwóch miesięcy nie pobieracie pensyi, zaciągnąłem poza tem jeszcze inne długi u was, Stresa dał mi swoje stypendyum, Bertelli zastawił dla mnie zegarek, nawet Bagatelli wydobył mi od lichwiarza pięćset lirów. — W tym stanie musielibyśmy zawiesić wydawnictwo; tymczasem słuchaj, co obmyśliłem. Jutro skoro świt, wyjadę do południowych Włoch, wy nadludzkim wysiłkiem musicie znaleść na ten czas pieniądze i uzyskać zwłokę w drukarni; ja jadę do Medyolanu, rozpatrzyć się tam wśród śmiałych kupców potrzebujących reklamy, ambitnych bogaczy żądnych karyery; potem wpadnę do Genui, tam przypuszczę szturm do wszystkich bogatych przemysłowców, do bankierów, do umiarkowanych konserwatystów, rozirytowanych przewagą radykałów. Zatrzymam się w Turynie zainterpeluję banki tamtejsze, które chcą próbować przedsiębiorstwa budowlanego w Rzymie, bogatych kupców, którzy obawiają się klęsk z powodu otwarcia tunelu przez Gotard: skupię najsprzeczniejsze interesa i za dziesięć, dwanaście dni będę tu z powrotem, z stoma tysiącami lirów w kieszeni — i skończą się tak nasze troski.

— Rozumiesz?

Rozumiem — ale czemu nie pomyślałeś o tem wcześniej?

— Dobre myśli przychodzą zawsze w chwili śmierci, rzekł poważnie Joanna i roześmiał się zaraz, żartuję,

bo jestem pełen wiary i wesoło mi. Nie rób tragedyi — widzisz, pojąłem wreszcie, że gazeta jakakolwiek musi stać na fundamencie interesów praktycznych, podstawą jej musi być spekulacya, nie polityka. Polityka to marzycielstwo, metafizyka, kusząca poezya.

— Więc ty jedziesz jutro?

— Tak, i tobie dziennik polecam. Usługa, którą spodziewam się, że mi oddasz, jest ogromna, jest jedną z tych, która wiąże na życie i śmierć. A teraz zrób mi jeszcze jedną łaskę — sprowadź tu zaraz, ilu tylko da się z naszych współredaktorów; chcę pomówić z niemi przed wyjazdem, chcę moją władzę przelać oficyalnie na Ciebie.

— Dobrze pójdę, ale żądam także jednej łaski od Ciebie; daj mi ten rewolwer, który masz w szufladzie.

— Ale i owszem, weź go — niepotrzebny mi — Trati spojrzał mu w oczy, był tak spokojny, jak nie widział go od dwóch miesięcy, uśmiechał się nawet — już Trati miał broń zostawić, lecz przemogła w nim naturalna ostrożność, schował więc rewolwer do kieszeni.

— Zaraz wrócę — rzekł odchodząc.

Ryszard zostawszy sam, sięgnął przedewszystkiem po jeden z pistoletów zawieszonych wraz z inną bronią na ścianie, i rozpoczął długą pracę. Naprzód wsypał proch, a przybiwszy go kawałkiem gazety, wpuścił kulę, brakowało mu kapsli — poszedł do przedpokoju i obudził woźnego. — Idź do trafiki na placu Colonna i każ dać sobie kapslę do fuzyi za solda.

Nieborak popatrzył na niego ogłupiałym wzro-

kiem, nie tyle, że zbudzony nagle ze snu, ile zdziwiony osobliwem poleceniem.

— Puknij się. Co ci jest, nie rozumiesz?

Wrócił do siebie, wsadził do kieszeni prawie nabity pistolet i wydobywszy z szuflady stos rozmaitych papierów zaczął je przeglądać gorączkowo, jak w malignie — pijany był, chęcią niweczenia, a przytem wesół, pocieszony nadzieją przerwania tej męki codziennej, myślą o śmierci na posterunku. — Pchała go próżność i tchórzostwo. — Myślał o bezmiernej i tragicznej rozkoszy zupełnego znieczulenia — o senzacyjnym artykule, któryby nazajutrz oznajmił o tem publiczności w jego własnej gazecie.

Napadła go chęć napisania samemu tego artykułu, wziął arkusz papieru i pisał:

— Nie chcę żeby wieść o mojej śmierci przez innych jak przezemnie doszła do wiadomości publicznej. Umieram z moim dziennikiem, jak kapitan ze swym okrętem; ja i moi współredaktorowie walczyliśmy dzielnie wśród burz, na morzu publicznej opinii; gdym uczuł, że idziemy na dno, zginąłem na pokładzie od kuli. Tym którzy szli ze mną z miłością ślę ostatnie pożegnanie, innym, niosę w ofierze swoje życie, może tak ich zadowolnię. Co do mnie przerywam nić swego życia, swą siłę, młodość, nadzieje, pogodnie. Prasa, tak jak wszystkie instrumenta cywilizacyjne wymaga ofiar z żyć ludzkich. Ja rzucam się z wiarą, radością, zapałem w paszczę potwora. Padł jeden dziennik, niech żyje dziennikarstwo! — Ryszard Joanna.

Pisał jednym tchem, ostatni ten artykuł — z rozmachem i werwą dawnych dobrych czasów, od-

czytał go potem parę razy, uprzytomniając sobie z wyrafinowanem okrucieństwem, jak głębokie wywrze wrażenie nazajutrz — to chyba najładniejszy artykuł, jaki w życiu napisałem, myślał. Powtórzą go wszystkie dzienniki, Wood przetelegrafuje go do „Timesu".

Z lubością prawdopodobnie taką samą, z jaką Karol V. przyglądał się swojemu pogrzebowi, nakreślił na nagłówku. -- Pierwszy artykuł — S. 12.(szpalta 12)

Palił potem długo, patrząc na dym, myśląc tak intensywnie, że nie mógł już uchwycić wątka swych myśli, czując potęgującą się w całym ciele wrażliwość, wzmagajacą się ciepłotę tak, jakgdybyby jego siły żywotne dochodziły do najwyższego napięcia.

Otworzył szuflady i rozpoczął przeglądanie papierów, wpadł mu zaraz do ręki protokół ostatniego swego pojedynku z dyrektorem innej gazety, za jakiś jego gwałtowny artykuł. Odczytał go uważnie, żeby uprzytomnić sobie najdrobniejsze szczegóły, przywołać wrażenie śmierci odczute wówczas; wtedy gdy sekundanci dali hasło do rozpoczęcia walki, a on rzucił się gwałtownie na przeciwnika i uczuł ostrze, wnikające w ciało. Zapaliwszy świecę, spalił ten protokół nie potrzebny mu już teraz. — Tamto było próbą śmierci, dziś nadchodziła dopiero chwila prawdziwego przedstawienia. Dym rozszedł się po pokoju — sposób niszczenia był nieodpowiedni — dla czego powieściopisarze używają go zawsze w katastrofach miłosnych. Miłość! Kochanie — biedna namiętność, która nie chroni ludzi od zniszczenia i śmierci, a nie daje im dość siły do życia. Wyjął paczkę listów, historyę ostatniej swej miłostki, ale nie przejrzał ich nawet —

wszystko już było skończone, wszystko. — Przybliżył się do okna i rozwiązawszy paczkę darł listy na drobne kawałki, wyrzucając je wolno, w ciemne podwórze, czuł zimny i wilgotny powiew, stykający się z jego skórą, nie oziębiając ją przez to — przeciwnie zdawało mu się, że wiatr rozpalał się przy tem zetknięciu. Wrócił do biurka, niszcząc dalej wszystkie papiery, w miarę jak nasuwały mu się pod rękę — i zniszczył tak stos nie zapłaconych rachunków, impertynenckie listy wierzycieli, listy redaktorów, słowem całą historyę, całe archiwum gazety. Siadł znowu do pisania, ale tym razem bez życia i werwy.

Napisał do Tratiego, serdecznie, prosto, przepraszając go za kłamstwo, pozostawiając mu dziennik w spuściźnie, błagał go i zaklinał, by nadludzkim wysiłkiem utrzymał go przy życiu. Napisał i do współredaktorów, dziękując im za wspaniałomyślną i serdeczną pomoc, za ich zaparcie się i odwagę. — Zapieczętował to wszystko dokładnie, wsunął swój nekrolog w żółtą kopertę, na której napisał „Do drukarni; jutro z rana". Położył tą kopertę na zwykłem miejscu, skąd zecer parę razy na dzień i w nocy zabierał oryginały do wydania wieczornego czy porannego.

Po schodach wchodzili redaktorowie i Trati, hałasując i rozmawiając głośno. — Wyłapał ich Trati po kawiarniach i piwiarniach, zapowiadając też wszędzie, by w miarę jak nadejdą inni, odsyłano ich do redakacyi. Wszyscy byli podnieceni, wszyscy mieli tragiczne przeczucia w duszy a z sobą przynosili podniecenia lokali, które opuszczali, i wszyscy dzi-

URZĘDN. TOW. [illegible] SEKCYA IV.

wnym zbiegiem okoliczności wyłącznie tego dnia mówili lub słyszeli rozmowy o Joannie.

Wchodząc, zastali biuro jasno oświetlone, Ryszard wydobył z szafy ostatnią butelkę tego nieszczęsnego likieru, którym świętowali pierwsze tygodnie założenia dziennika a który przed chwilą był tą ostatnią kroplą goryczy, przepełniającą czarę. — Wyglądał spokojny; Trati zatrzymał się przy nim, tamci poszli do pokoiku dokończyć jakiegoś opowiadania, zaczętego przez jednego z nich od dziesięciu minut i które zdawało się być wieczne, po chwili przyłączyli się do nich Joanna i Trati, weszli każdy z butelką w ręku.

— A tamci? spytał Ryszard.

— Idą — rzekł Stresa, biorąc butelkę z rąk Tratiego, skinął znacząco na niego i szepnął mu do ucha:

— Co ci powiedział?

— Nic — chce żebyśmy razem wypili ostatnie butelki.

Malgano, siadł do fortepianu, zaczął brzdąkać wyjątek z jakiejś opery.

Stresa przybliżył się do Joanny.

— Słuchaj — musiałem dać trzydzieści lirów gospodyni domu, weź te sto pięćdziesiąt, które mi zostały.

— Joanna uśmiechnął się dziwnie.

— Oddaj Tratiemu, będą wam jutro potrzebne pieniądze na zaspokojenie głodu drukarni.

— Nie, nie, weź je ty — my jakoś poradzimy sobie, tobie przydadzą się w drodze.

— Dobrze — wezmę i to — może przyniosą mi

szczęście, ale nie zapomnijcie zatelegrafować jutro rano do Brancacciego, że jak przyśle koniec artykułu, dostanie pieniądze. — Ale pierwsze kartki nie nadeszły przecież?

— Zdaje mi się, że nadeszły — rzekł Trati, poczekaj — zobaczę.

Bagatti, od dziesięciu minut chodził po pokoju z cylindrem na bakier, w rozpiętem futrze: monologował, mrucząc niewyraźnie pod nosem, nie mogąc wytrzymać, zwrócił się do Ryszarda:

— Joanna, ty giniesz jako ofiara twoich błędów.

— Może być, odparł Ryszard z tym swoim krótkim konwulsyjnym śmiechem.

Bagatti zmieszał się, uderzony temi słowy, które wyrwały mu się z ust niechcący i wyrazem twarzy Ryszarda zimnym i groźnym, przez reakcyę wymowa jego stała się znów przytłaczającą.

— Ty powinieneś zgnieść gady pod impulsem swojej młodości, powinieneś znów się wznieść na wyżyny rozpalającego słowa; przygniatać swą siłą, niszczyć z bezwzględnością tych, którzy stoją na twej drodze. — Tyś pogardzał robotą głuchą i podziemną podłych owadów, któremi jesteś otoczony, a oni, podkopali pod tobą prochownię. Chciałeś być olimpijskim Bogiem — zapomniałeś, że Bogowie giną! —

— Bogowie są nieśmiertelni, — rzekł Joanna, — a ty jesteś zawsze takie samo bydlę.

Bagatti zaśmiał się.

Frati wrócił, podając Joannie mały zwój papieru. Dwie kartki i pół skonstatował Ryszard, zawsze taki sam ten Brancacci — i zaczął czytać artykuł.

— Coście mówili — spytał Trati po cichu Bagatiego.

— Dajcie mi spokój, jestem może osłem, ale przysięgam Ci, że jest spokojny, nie myśli o śmierci i możemy iść do łóżka bez strachu. Tragiczne przeczucie męczyło jednak wszystkich. Joanna śmiał się wciąż nerwowo, śmiechem niby uspakajającym, w którym jednak brzmiała fałszywa nuta — biedny — chciał nim pokryć gwałtowne zdenerwowanie, ustawiczne drganie w szczękach, które rozchodziło mu się po całym ciele i wstrząsało w nim każdy wrażliwy atom, przywołując bolesną ciągłą wibracyę życia. Chwilami ogarniał go strach, podejrzenie, że wyczytują mu wszyscy z oczu niezłomne postanowienie — że wszyscy widzą fatalną broń ukrytą w kieszeni — to też czytając podnosił wciąż ukradkiem wzrok na nich. Malgano nie przestawał brzdąkać fałszywie jednym palcem, Stresa czytał jakąś gazetę popijając koniak. Trati i Bagatti, siedzieli przy sobie na kanapie, rozmawiając po cichu.

— Weź te kartki i schowaj je — rzekł Joanna do Tratiego, to dobry artykuł — umieść go jutro jeśli nadeślą koniec. A nie zapomnij posłać pieniądze Brancacciemu, lub też zatelegrafować do niego.

— Cóż to za artykuł? — spytał Stresa.

— O Lohengrinie.

— I kiedyż o Boże, przestanie się pisać artykuły o Lohengrinie i Depertisie — kiedyż mieć będę tę wielką pociechę, że wygwiżdżą Wagnera, i ministra, tych dwóch nieśmiertelnych, tych dwóch oszustów, krzyczał Bagatti.

Drzwi szklane roztwarły się znów i zamknęły z łoskotem.

— Któż to taki? — spytał Malgano.

— Jak się masz draniu — rzekł Bagatti.

— Dobry wieczór świnie — rzekł Bertelli wchodząc z rękoma w rękawach, jak zakonnik, z szyją i ostrą brodą, wsuniętą w ramiona, ze szkłami na oczach, świecącemi się przy gazie.

Siadł obok Stresy.

— Czy wiecie, co mówią w mieście? — rzekł ten grobowy człowiek, którego plotkarstwo było melancholijne, a złośliwość literacka.

— Cóż takiego?

— Mówią, że w tygodniu gazeta umrze, a ty zabijesz się.

Przez chwilę zapanowało wielkie milczenie; Trati utkwił wzrok w Ryszarda, spodziewając się śmiechu z jego strony, ujrzał natomiast jakby chmurę, przechodzącą nad oczyma przyjaciela, który rzekł zimno:

— Żałuję tych, którzy ci o tem mówili, ale ani oni, ani ty, nie odprowadzicie na cmentarz ani mnie, ani mego dziennika.

Najmłodszy z nich, Stresa, najspokojniejszy, najbardziej myślami daleki od śmierci, zaniepokojony był jednak tą samą troską, która od paru godzin męczyła Tratiego, wyszedł z salonu, zatrzymał się chwilę przed biurkiem patrząc na żółtą kopertę, kąsany ciekawością, chęcią rozdarcia jej, ale przemógł się; zaszedł do przedpokoju i zbudził służącego, biednego męczennika, który w dziesięciu bitwach ryzykował

swą skórę w obronie ojczyzny, zasobnej w dzienniki, a biednej w pieniądze.

— Obudź się, Pompeo — odśwież myśli, odpowiadaj!

— Co się stało? — odrzekł nieborak, zrywając się, przyzwyczajony już do takiego budzenia.

— Co robił dziś wieczór dyrektor od ósmej do dziesiątej, kiedy nas jeszcze nie było?

— Co miał robić? — czytał, pisał — nie wiem zresztą.

— Nie zauważyłeś nic nadzwyczajnego? nic nie chciał od ciebie?

— Poczty.

— A majster był?

— Nie.

— A kto pisał kronikę?

— A bo ja wiem. Sordini zostawił notatki na stole pana Tratiego.

— Dyrektor nie dał ci żadnego polecenia?

— Tak, posłał mnie po kapsułki.

— Co za kapsułki? Z apteki?

— Ale nie, z trafiki, do strzelby.

Stresa skoczył nagle do drzwi saloniku, wołając: Trati!

— Co takiego? — rzekł Trati, nadchodząc pospiesznie.

— Jest bieda — odrzekł Stresa i opowiedział, co słyszał.

Trati zbladł: to poważna sprawa, co począć?

— Ja wychodzę sprowadzić tu kogoś, co ma

na niego wpływ. Tu trzeba postanowić coś stanowczego.

W chwili, gdy wychodząc, otworzył drzwi na oścież, ukazał się przy wejściu Palumbo, kronikarz trybunału, nizki, chudy, z małym wąsikiem nad drobnemi ustami.

— A więc Joanna wyjeżdża, daje zginąć gazecie, a my co poczniemy?

— Któż ci to powiedział? — rzekł Trati.

— Nie wiem, tak mówią. Słyszałem to w czytelni na Montecitorio.

— Któż tam jest na Montecitorio — spytał Stresa stojąc już jedną nogą za drzwiami.

— Jest Sanibaldi, Wood i jest Paselli.

Joanna zbliżył się do drzwi i spostrzegł tych trzech, mówiących między sobą po cichu.

— Uciekam na chwilę — rzucił mu Stresa, już za drzwiami, Ryszard i tamci dwaj weszli razem do pokoju redakcyjnego.

— Czy prawda, iż krąży w mieście pogłoska, że ja się zabijam? — spytał Joanna poprostu Palumba.

— Nie, ani im się nie śni, mówią natomiast, że zabijasz dziennik, a ty jedziesz do Assąb z poleceniem od rządu.

— A tak! — rzekł Ryszard z ironicznym uśmiechem.

— Korespondent z „Secolo“ chciał już telegrafować tę nowinę, wstrzymałem go jednak na czas.

— Źleś zrobił — po co? i tak zatelegrafuje to samo jutro, jeśli nie wyprzedzili go już inni. Czy widziałeś się z korespondentem „Gazety Piemonckiej“?

— Niema go, pojechał do San Martino.

— Pół biedy, jednego mniej, ale i tak niema rady, choćby tamtych wszystkich nie było, to korespondenci z „Floramosca“ i z gazety di „Parma“ jutro lub najdalej pojutrze uśmiercą telegraficznie i mnie i mój dziennik.

— Wyprzedź ich gwałtownym artykułem, zadającym kłam pogłoskom — rzekł żywo Trati.

— Po co? Niech śpiewają. Zrobiłeś kronikę?

— Połowę dopiero, idę dokończyć.

— Spiesz się. Gdzie się Stresa podział?

— Zaraz wróci.

Palumbo towarzyszył Tratiemu w sali redakcyjnej, Joanna paląc papierosa, spacerował po wązkim korytarzu między salonem a przedpokojem. W salonie, Bagatti, Bertelli i Malgagni skupieni, rozmawiali po cichu. Oni nie mieli żadnej wątpliwości, mówili o katastrofie, jako o rzeczy pewnej, nieuniknionej, oceniając ją z punktu widzenia senzacyjnego zdarzenia kronikarskiego, wspaniałego dziennikarskiego ewenementu. Bertelli drobiazgowo tłómaczył przyczyny, krytykował dziennik, wady organiczne jego konstrukcyi, pośpiech w założeniu, zbyteczność jego powstania, niepopularność idei politycznych, błędy w zbyt literackiem traktowaniu dziennika. Analizował potem psychologicznie Joannę — zanadto nerwowego, zanadto poetę, marzyciela, wielbiciela słowa, niezdolnego do czynów. I tak ten asceta dziennikarstwa, kaznodzieja wolnej prasy, tak jednostronny w upodobaniach, a tak wyrafinowanie złośliwy, rozbijał w puch gazetę i wchodzących w jej skład dziennikarzy. — Określał Paula

Stresę, jako powierzchownego, próżnego frazesowicza z literackiemi pretensyami, Bagattiego, jako szumnego retoryka, Tratiego jako gburowatego ignoranta, nieokrzesanego, który pozostanie zawsze w liczbie przeciętnych, krytykował reporterów, czerpiących, jak twierdził, z policyi nowiny, opowiadane już we wszystkich gazetach, kpił z Malgagni, przepisującego ze sprawozdania analitycznego relacye z Izby, z siebie tłómaczącego artykuły z francuskiego. Zjadliwym swym językiem ciął jak angielskiemi nożycami, gryzł, szarpał — słowem, niweczył dzieło tylu mąk, trudów, cierpień, upokorzeń, w którym brało udział tyle młodych sił, tyle wspaniałomyślnych cichych poświęceń. Przedstawiał schorzałość całego tego organizmu i przerażenie ogarniało milczących jego słuchaczy, którzy nie śmieli pytać o więcej. Jakżeby się to skończyło? a ponieważ wiedzieli jak, w wyobraźni ich rysował się wyraźny obraz tego końca.

— Co począć teraz? zakonkludował Bertelli.

— To bezcelowe głupstwa, to co sobie Trati wbił do głowy. Joanna jest dziś człowiekiem skończonym, musi się zabić.

A Joanna tymczasem, trapiony widmem zbliżającej się śmierci, przechadzał się w milczeniu wśród swych przyjaciół, z których jedni przemocą chcieli wyrwać go od śmierci, inni pozostawiali go losowi. W czasie tego, Stresa rozpalony, stroskany, wrócił, prowadząc z sobą Wooda i Sanibaldiego.

Weszli wszyscy do salonu; deputowany, południowiec wysoki, rumiany, z czarną brodą i angielski muszkularny, suchy dziennikarz, posadzili między sobą

Ryszarda. Z początku mówili z nim o rzeczach obojętnych, wciągając go w rozmowę, bogatą w słowa, trochę zdetonowani jego spokojnym wyglądem. Raptem Wood rzekł gwałtownie lojalnie, nie mogąc dłużej znieść tego fałszu i udania, odczutego przez wszystkich, tego oddalania rozmowy od jedynego przedmiotu, o którym wszyscy myśleli, który trapił wszystkie umysły.

— Nie macie już pieniędzy? Zabijacie dziennik?

— Tak robią w Anglii? — spytał Ryszard z uśmiechem.

— Z pewnością!

— My mamy więcej sentymentalizmu.

— To piszcie wiersze.

— Ma pan racyę, ale teraz zapóźno, cóż mam robić?

— Przestać.

— Czy nie grał pan nigdy rentą turecką?

— Nie — rzekł Ryszard z tym swoim niedobrym śmiechem.

— Niech się panu zdaje, że pan je kupił, że spadają w oczach. Trzeba ich się wyzbyć.

— A potem co dalej?

— Potem, gdy nadejdzie stosowna chwila, trzeba je kupować.

— To samo z dziennikiem. Założy pan drugą gazetę.

— Słuchaj Joanna — rzekł deputowany Sanibaldi, pociągając Ryszarda do okna. Mówił do niego długo przekonywująco, rozsądnie, z serdeczną dobrocią, lubił go, znał jego ojca. Joanna słuchał uśmiechając się

ciągle, nic jednak nie odpowiadał, jakby z grzeczności chciał pozwolić wygadać się temu uczciwemu i porządnemu człowiekowi, który czuł się w obowiązku dawania mu rad.

— Słuchaj Ryszardzie, wierzaj mi, wasz dziennik jest przedwczesny, nie może żyć, nie może walczyć w spółzawodnictwie z innymi, silniejszymi. Daj mu zginąć, nie miej fałszywego wstydu, nikt ci tego nie wypomni, zobaczysz — twoi nieprzyjaciele nawet po usunięciu współzawodnictwa uznają, że dziennik twój był cudem, fenomenem siły, wytrwałości, rozumu. Nawet i tak dałeś dowód wielkiej twojej wartości. Zdobyłeś nową publikę, publikę polityków, ludzi z wysokiej sfery. Przy pierwszej próbie znajdziesz wszędzie poparcie, dziś jesteś już siłą, a za rok, za dwa lata, punkt oparcia znajdziesz poprostu dlatego, że będziesz im potrzebnym. Stare stronnictwa są spróchniałe, upadną. Stronnictwo nowe, zdrowego rozsądku, doświadczenia, pracy, już powstaje siłą rzeczy, z konieczności. Wtedy założysz wielki dziennik, oparty na silnej partyi parlamentarnej, na poważnej podstawie finansowej. A teraz opuść to twoje dziecko, poczęte przed czasem i pozbawione sił żywotnych. Bądź Spartańczykiem, zabij go i nie pozwól zabić się przez niego.

— Bardzo panu dziękuję za dobre słowa, ale ani ojciec, ani syn nie powinni zginąć.

Sanibaldi popatrzył zdziwionym wzrokiem na niego.

— Jutro wyjeżdżam, będę w Turynie, Medyolanie, Wenecyi, postaram się o odpowiednie fundusze, by wy-

BIBLIOTEKA URZĘDN. TOW. WZAJ. UBEZPIEC. SEKCYA IV.

trwać, póki nie nadejdzie dobra chwila, w której gazeta będzie mogła utrzymać się własnemi siłami.

— Życzę szczęścia — rzekł Sanibaldi, nie wiedząc, co myśleć, zbolały tym gwałtownym uporem, oddalił się.

Joannę zaczynało ogarniać ogromne zmęczenie, irytował go ten niemy opór jego woli. Chciał umrzeć, a wszyscy przemocą chcieli przykuć go do życia, chciał rzucić się w otchłań zapomnienia, a wszyscy w milczeniu, nie przekonywując go nawet, samym wpływem magnetycznym przyjaźni, odrazą do śmierci, przytrzymywali go przy tym brzegu. Przez reakcyę nie czuł już przerażenia przed śmiercią, patrzył na nią obojętnie, przyzwyczajając się powoli do tej myśli; tylko zmęczenie tego okropnego dnia wnikało mu aż do kości; myślal, co robić, by czuwać do świtu i długo zastanawiał się, czy nie przespać się przedtem. Tymczasem, by go sen nie zaskoczył, wstał i zaczął znów chodzić po pokojach. Tamci, zebrani w jedną grupę, rozmawiali o nim po cichu, mówili o jego losie szczerze, bez żadnych iluzyi.

— Ale jeśli nam nie powiedział, że wyjeżdża po fundusze, ma widocznie nadzieję — rzekł deputowany.

— Ja mu nie wierzę — odparł Trati — musi mieć pistolet w kieszeni, brak jednego na ścianie, nie pomyślałem o tem pierwej.

— Zostawmy go — rzekł Bertelli.

— Zwaryowałeś! — ryknął cicho Stresa — ja zawiadomiłbym policyę.

— Nie odchodźmy do rana, odwieziemy go na kolej, kto wie, może się uspokoi.

Joanna fatalistycznie wrócił do biurka, do tego tronu, który za chwilę miał zamienić się w katafalk. Małe biurko z fałszywego mahoniu całe już było zabazgrane, zapisane legendami, pisanemi między jednym arkuszem a drugim, zarysowane zabawnemi figurkami, po trzech miesiącach to biurko było już pomnikiem pracy, złości i bólu. Spojrzał na żółtą kopertę, to był jego wyrok. Zmęczenie potęgowało się z każdą chwilą.

A tam, w salonie przyjaciele jego wciąż szukali sposobu zapobieżenia katastrofie. Powoli porozumiewali się bez słów. Położenie dla niego było kłopotliwe, nie mógł przecież zabić się choćby raptem, choćby jednym wystrzałem, gdy oni wszyscy tu byli, tak blizko.

Znowu łoskot otwierających się drzwi rozszedł się po milczących pokojach. Wszedł zecer. Wziął kronikę i czekał jeszcze chwilę, czy Joanna nie miał mu co więcej do oddania. Ryszard podał mu machinalnie żółtą kopertę, lecz gdy ujrzał ją w jego rękach, uderzyły nań ognie, zerwał się, waliło mu w skroniach młotem.

— Oddaj ten list, chwilowo niema nic więcej, nad ranem może przyślę parę słów.

Zecer poszedł, a Ryszard siedział z listem w ręku, podrzucało nim konwulsyjne drganie, był zlodowaciały. Wspomniał na ostatnie słowa swego ojca: „Widzisz, jak się umiera". Przygniatało go tak ogromne zmęczenie, że czuł się złamanym, zdruzgotanym zupełnie. Machinalnie wziął pióro do ręki i nakreślił parę słów.

Gdy zaczęło świtać, wszyscy redaktorowie, smutni, pełni złych przeczuć, odprowadzili go na kolej, czekali potem długą chwilę na peronie, nim ruszył pociąg, jadący do Florencyi. Nikt się nie odzywał w ten zimny, ponury i łzawy poranek.

Ryszard blady, jak papier, z zaczerwienionemi oczyma, z twarzą trupią, ściskał swych przyjaciół długo, konwulsyjnie, nie kryjąc już łez przed nimi.

Nie przemówił ani słowa, wręczając Tratiemu żółtą kopertę, którą miał przy sobie — i również Trati nie był w stanie nic powiedzieć, biorąc ją do ręki. Wsiadłszy potem do wagonu, Ryszard patrzył na swych przyjaciół okiem zgasłym, ale spostrzegł, że i oni przygnębieni byli wszyscy tragicznem zajściem, w którem tak żywy brali udział.

Gdy pociąg ruszył, wiatr zerwał mu kapelusz, rozrzucając ładne jego włosy — żegnali się jeszcze chwilę — nagle Ryszard rzucił się w tył i znikł im z oczu. Pozostali opuścili peron, jak nieprzytomni — wtedy Trati rozerwał kopertę i czytał. Bezgraniczne zdziwienie, złość i wzburzenie odmalowało mu się na twarzy — podał papier bliżej stojącym towarzyszom, przechodził z rąk do rąk — i na wszystkich twarzach odmalowało się to samo zdziwienie, ta sama wściekłość.

Napisane było:

„Sz. 12. — Z przyczyn od nas niezależnych wydawnictwo zostaje zawieszone“.

— Homo est: nil humani ab eo alienum puto — zawyrokował filozoficznie Bertelli.

V.

ELDORADO.

Ryszard wyciągnął rękę, na której błyszczał duży brylant i przycisnął guzik od dzwonka elektrycznego, przymocowanego do biurka. — Wszedł woźny w niebieskiej liberyi, stąpając cicho po puszystym dywanie.

— Biuletyn — rzekł Joanna nie podnosząc głowy.

Po chwili, woźny wrócił, niosąc na srebrnej tacy, zapisany arkusz papieru, list i bilet wizytowy.

Joanna nie był widocznie ciekaw listu, gdyż nie otworzył go nawet — spojrzał przelotnie na bilet wizytowy

— Powiedz Panu Cimaglia, żeby czekał.

Drzwi obite popielatym aksamitem, zamknęły się cicho, Joanna rozmyślał nad biuletynem, który trzymał w ręku. — Prowincya zakupiła pięćdziesiąt dwa tysiące egzemplarzy „Czasu“, abonentów było szesnaście tysięcy, sprzedaż w Rzymie dochodziła do trzydziestu jeden tysięcy, osiemset osiemdziesiąt osiem numerów. Do okrągłej cyfry stutysięcy egzemplarzy brakowało jeszcze sto dwadzieścia numerów — już od dwóch miesięcy sprzedaż dzienników wahała się to w tęto, w tamtą stronę — nie doszła jednak nigdy do cyfry stu tysięcy.

— Jeszcze studwudziestu upartych nie uznających „Czasu“ myślał.

I siedząc tak sam jeden za szerokiem biurkiem, w uroczystej powadze tego dużego pokoju, umeblowanego z przepychem, przyozdobionego w sztukaterye z dębowego drzewa, gdzie na florenckim kominku palił się wesoły ogień; Joanna rozmyślał o tych upartych, sceptycznych, dziwnych istotach, które słyszeć nie chciały o jego dzienniku. — Może gazeta nie była jeszcze dość świetną, dla nich; może telegraficzne korespondencye z Berlina, Paryża, Londynu, i Wiednia, nie dostateczne? — Powoli zastanawiając się nad każdem słowem; napisał cztery telegramy, zachęcając korespondentów do częstszego, do ciągłego telegrafowania. Przycisnął znowu inny dzwonek na klawiaturze elektrycznej i zaraz pojawił się drugi woźny, wchodząc innemi drzwiami.

— Zanieś natychmiast te telegramy do urzędu telegraficznego.

Potem zamyślił się, może tych studwudziestu upartych uważało kronikę za niedostateczną. Widocznie nie wystarczali reporterzy, których miał. Zabłysła mu nowa myśl, zadzwonił na pierwszego woźnego.

— Czy pan Cimaglia czeka jeszcze?

— Czeka.

— Prosić.

— Wszedł pan Cimaglia, z uszanowaniem ale i z pewną swobodą, wyglądał młodo, sympatycznie — wyraz oczu miał trochę zmęczony — ubrany był starannie. Z pewnością przygotował się on do tej konferencyi, jak młode dziewczę przygotowuje się na

spotkanie narzeczonego — a wszystko wzmagało jego uszanowanie: kominek i miękkość dywanów, i wielkość biurka i przyjęcie grzeczne acz chłodne tego pana zapiętego po wojskowemu na wszystkie guziki, trochę zmieszany, czując, że wypada mu zacząć rozmowę, szepnął nieśmiało:

— Czy mówiono już Panu o mnie?

— Tak, — zdaje mi się, odrzekł wolno Joanna.

— Deputowany Galetti, napisał łaskawie, rzeczy bardzo dla mnie pochlebne, ciągnął Cimaglia z odcieniem próżności.

— Nie czytałem listu, rzucił zimno Joanna zatrzymując jego wymowność, sięgnął po list, zaczął czytać, skorzystał z tego Cimaglia, żeby przypatrzyć się temu wszechmocnemu dziennikarzowi — tak, twarz nosiła jeszcze ślady piękności, koło oczu jednak i ust rozchodziły się zmarszczki, rysy były jakby skamieniałe, jakby wionął na nich mroźny wiatr — oczy bez życia a cała twarz miała odcień ziemiasty zastygłej lawy.

— Galetti poleca pana gorąco — więc chciałby Pan pracować w „Czasie?"

— Jest to mojem pragnieniem – odrzekł skromnie, ale już uradowany Cimaglia.

— Jakież Pan ma ku temu kwalifikacye?

— Jestem doktorem filozofii, mam dyplom, ale profesura nie przypada mi do smaku, chciałbym przerzucić się do dziennikarstwa, to jedyna droga prowadząca do jakiegoś rezultatu.

— Czy pisał już Pan kiedy do gazet?

— Tak Panie, pisałem będąc jeszcze na uniwer-

sytecie, artykuły literackie do rozmaitych poważnych przeglądów.

— Tego mi nie trzeba — rzekł Joanna, nie spuszczając oczu z petenta, który zaczynał już mówić z większą poufałością, z tem zaufaniem młodych, wierzących w przyjaźń każdego napotkanego człowieka.

— Rozumiem — rzekł, kłaniając się Cimaglia — erudycya to wielkie nudziarstwo, ale i to nie szkodzi jeśli dziennikarz jest wykształconym; zresztą pisałem także nowelki do niedzielnych pism literackich, które pan z pewnością przegląda z nudów.

— Nie przeglądałem ich nigdy — rzekł lodowato Joanna.

— O tak, rozumiem, dobrze pan robi — dodał zaraz Cimaglia z tą nadskakującą grzecznością osób, pragnących zjednać sobie interlokutora. — Te moje nowele, zebrane w jednym tomie, nie przechwalając się, miały wielkie powodzenie.

— Ah!

— Wydałem też tom swoich poezyi „Autumualia". Zna je pan może?

— Nie.

— Bo i pan był poetą.

— Oh! bardzo słabym.

— Ależ nie, nie, panie Joanna — poetą wielkiej wartości — nalegał Cimaglia.

— Zapewniam pana, że nie! — rzekł twardo Joanna.

Kandydat zbity z tropu, zmieszał się i zamilkł. Joanna myślał, po chwili spytał:

— Czy pan ma rozległe stosunki tutaj?

— Wie pan, niewielu, trzymam się na uboczu: Prefekta, Knestora — zna ich pan?

— Nie, panie. Może oni, prawdopodobnie mnie znają.

— Ma pan doświadczenie w sprawach politycznych?

— Taki pisarz, jak jak, pojmuje pan.

— Niech pan słucha, panie Cimaglia, mnie nie trzeba ani erudycyi, ani nowel, ani wierszy, trzeba mi reportera, nowego i dobrego reportera, któryby wszędzie poszedł i wszędzie się wcisnął i o wszystkiem dokładnie wiedział.

— A taki reporter, cóż on pisze? — spytał ogłupiały Cimaglia.

— Nic — kronikarz pisze podług notatek reportera.

— Sądzę, że nie jestem odpowiedni do takiego „fachu“ — rzekł, akcentując to słowo z pogardą.

— I ja tak sądzę — odrzekł Joanna z głęboką ironią.

— Przepraszam bardzo — żegnam pana.

— Żegnam pana.

Wyszedł, zabierając pod pachą jakiś swój rękopis, który nie zdążył zaofiarować Ryszardowi.

Ryszard siadł przy kominku, pochylił trochę głowę na której włosy były już rzadsze i gdzieniegdzie siwe. Drażniąca myśl tych stu tysięcy numerów swego dziennika, do których nie mógł jeszcze dobić, powróciła mu znowu uparcie. Od dwóch miesięcy kazał przygotować wielkie ogłoszenie z światełek gazowych, tak ułożone:

„Czas“
Sto tysięcy egzemplarzy.

Pragnął wystawić to dumnie nad terasą, ale dotąd nie mógł tego uczynić. Nie chciał kłamać przed samym sobą. Dobiwszy do tych stu tysięcy, kazałby wywiesić wspaniałe ogłoszenie, które zasmucić miało jego rywali i zadziwić publiczność.

A tymczasem to dzieło jego tak silne, zdobyte kosztem takiej cierpliwości, wydawało mu się marne, niedokończone, ponieważ stu dwudziestu ludzi wzruszało ramionami, słysząc wykrzykiwany po ulicach „Czas“.

A gdyby tak umieścić trzy powieści zamiast dwóch, myślał.

Ktoś zapukał dyskretnie do drzwi, był to Colombani; nie był on dziennikarzem, raczej sekretarzem redakcyi, a urzędowanie jego polegało na tem, że czasem polecano mu napisanie jakiegoś urzędowego listu w imieniu Joanny, a codzień obowiązanym był przeczytać wszystkie włoskie dzienniki i odkładać te wszystkie, które albo dobrze, albo źle wyrażały się o „Czasie“. Nie był wykształconym, ale bardzo gorliwym i codzień z wielką dokładnością podkreślał czerwonym ołówkiem artykuły, źle wyrażające się o „Czasie“, a niebieskim te, które życzliwie o nim mówiły i codzień z zadowolonym uśmiechem przynosił Joannie ten stos gazet.

— Dużo dziś czerwonych, Colombani?

— Wystarczy, wystarczy; — od jakiegoś czasu „Corier“ z Piacenzy poświęca nam aż trzy szpalty.

— Trati używa — rzekł, śmiejąc się Joanna.

— Zadziera osobiście z panem — dodał Colombani z zadowolonym, głupkowatym śmiechem.

— Jak zwykle.

— Może jest co do napisania, panie dyrektorze?

— Nie, możesz iść, Colombani.

Joanna mimo wielkiej ochoty, jaką miał, przeczytania najpierw Coriere di Piacenza, przemógł się dobrowolnie i przejrzał pierwej pięć czy sześć innych gazet, podkreślonych niebieskim ołówkiem: w każdej z nich było jakieś zdanie, czy choćby słowo pochwały dla „Czasu". Ale ponieważ z każdym dniem dziennik „Czas" stawał się silniejszym, ponieważ wzrastała ciągle ilość abonentów, pochwały były skąpsze, krótsze i suche, większość włoskich gazet, rozdrażnionych i zazdrosnych, miało urazę do niego — jedne napadały nań skrycie, rzucając złośliwe aluzye, inne robiły to otwarcie i gwałtownie. Ryszard czytał wszystko uważnie, zamyślał się czasami, czasami uśmiechał się, nie złościł się, gdyż przywykł już był do tych codziennych obelg, znał dobrze wszystkie pobudki, nawet te, które nikomu nie były wiadome. Zresztą te wszystkie przeciw niemu wymierzone pociski, ta nagromadzona hałaśliwa nienawiść, wbijały go w dumę, dając mu poczucie siły wytwarzającej nieprzyjaciela: z uśmiechem schylał głowę, pozwalając fali przejść ponad nią. Nie miał już nic w sobie z tej zapalczywości południowca, nic z dawnego dziennikarza, który bił się dwa razy o swoje polityczne przekonania, nic z dyrektora „Smiejącego się człowieka"; obojętność i sceptycyzm zmroziły na zawsze jego duszę.

Nie odpowiadał nigdy na czynione mu zarzuty,

a rozwścieczone dzienniki tą widoczną pogardą cichły na chwilę, by potem napaść z większą jeszcze gwałtownością — mimo to „Czas“ szedł spokojnie wyznaczoną drogą. Joanna czuł dobrze, że przed swoimi zwolennikami będzie miał zawsze racyę, wierzył w potęgę milczącej pogardy. Czasami jednak ktoś nieświadomie nawet wymierzył trafny pocisk i ten wpadał w samo serce Ryszarda, wszystko, co dotyczyło jego przeszłości, osobliwie początków dziennikarskiego jego życia, wzburzało go do głębi, wtedy zły, blady, chodził po dużej, uroczystej, redakcyjnej sali, sam jeden, przerywał swój ból i wychodził na pozór spokojny, gdyż coraz silniej i coraz częściej górował ponad innemi uczuciami głos interesu. Myślą jego przewodnią była teraz wysprzedaż, jak największa wysprzedaż gazety i dlatego też milczał, wiedząc dobrze, iż w walce silnego dziennika ze słabym i nieznanym, poszkodowanym byłby raczej silny.

Lecz ten, który zawsze boleśnie trafiał w serce Ryszarda, to był Trati, ten sam, który przed laty zakładał z nim gazetę „Śmiejącego się człowieka“ — który po jej upadku równocześnie prawie z Joanną wyjechał, z tą różnicą, że Joanna wrócił groźny i silny, a on pozostał przeciętnym prowincyonalnym dziennikarzem, zarabiającym bez chwały na chleb codzienny, rozgoryczony, wściekły na powodzenie „Czasu“, zgryziony swojem własnem niepowodzeniem, mścił się, urągając codziennie Joannie. A ponieważ znał wiele tajemnic z życia Ryszarda, że dużo w nich było słabości i błędów; artykuły z Coriere di Piacenza trafne były i ziejące żółcią, którą napawał się Ryszard ble-

dnąc w samotnej, majestatycznej redakcyjnej swojej sali.

I tak, Trati pierwszy wymówił mu zajście z dziennikiem „L'uomo che ride“, wymówił, że pochłonął on szesnaście tysięcy lirów, wyłudzonych od rozmaitych osób w kwotach od dwóch tysięcy do dziesięciu lirów, że nie zabił się, tak jak zapowiadał to patetycznie, że w ostatniej chwili stchórzył, dał zginąć gazecie, nie mając na tyle sił, by swoją śmiercią zapewnić jej byt. Wymówił mu wreszcie niepopłacone długi redaktorów, którzy pracowali dla niego „gratis“ zastawiając nawet zegarki, żeby choć o jeden dzień przedłużyć istnienie gazety — woźnego, któremu dotąd winien był dwanaście franków. Czasami z prawdziwem okrucieństwem przypominał ostatnie chwile tej gazety, podchwytując i uwydatniając strony śmieszne, które zresztą znaleźć się dadzą w okolicznościach nawet tak tragicznych, jak jest upadek dziennika. Ryszard odczytując taki artykuł, bladł i myślami wracał w te przebyte, ciężkie chwile.

Teraz znowu wykpiwał Trati sposób założenia „Czasu“, powstałego z pieniędzy akcyonaryuszy, należących do wszystkich klas, do wszystkich rodzajów ludzi, wyśmiewał każdą myśl, niweczył plany tej gazety, nazywał ją gazetą wszystkich barw politycznych, „Arlekinem“, umiał wykryć jej słabości, tranzakcye i małe tchórzostwa. Zdawało się istotnie, że il Coriere istnieje na to tylko, by dokuczać Joannie i jego gazecie. Wprawdzie mało kto zważał na ujadanie tak mizernego dziennika — ale walka trwała i męczyła Joannę. Czasem odzywała się w nim dawna gwałto-

wność, układał wtedy druzgoczące artykuły, hamował jednak zaraz wiedząc, że przyznaniem się publicznem do tego, iż taki mały dziennik zdołał zaniepokoić i obrazić tak potężny organ jak jego „Czas“, zrobiłby reklamę nieprzyjacielowi — i artykuł szedł do kosza, a projekt pojedynkowania się z Tratim upadał.

Chcąc pocieszyć się po tej codziennie wymierzanej dozie obelg, przejrzał biuletyn, ale i ten niewzruszony nosił liczbę 99.880. Stanowczo gazeta nie jest jeszcze dość świetna — myślał; przejrzał uważnie ostatni numer „Czasu“, składał się z dwóch tłómaczonych powieści, z sześciu szpalt telegramów — reszta zapełniona była kroniką, wiadomościami bez liku ze wszystkich końców świata — skandale, samobójstwa, katastrofy, procesy, wiadomości z giełdy, handlu, rolnictwa — wszystko to było, ale ani jednego artykułu politycznego, ani jednej myśli politycznej, bronionej lub napadanej, nic z literatury, nic ze sztuki.

Dość jest pospolity, żeby wyciągnąć z niego sto tysięcy, myślał Joanna, ale pocieszając się, że mógłby być jeszcze bardziej gminny, wyszedł na śniadanie.

Na dole, jak zawsze, czekała przed jego bramą karetka dość elegancka, jak na najętą. Wsiadł, rzucając adres swojego mieszkania na placu Hiszpańskim. Wynajmował mieszkanie umeblowane, ładne, obszerne, urządzone z przepychem, ale bez smaku. Żył samotnie, do usługi miał lokaja i służącą, ludzi, nieprzywiązanych do niego, których i on nie lubił, których zresztą widywał mało, zaledwie parę minut dziennie. Nie mając rodziny, jadał, jak dawniej, w restauracyach, czasem tylko, jeśli zapraszał kogo na śniadanie, urzą-

dzał je u siebie; wtedy jakiś kucharz przysyłał mu wszystko: potrawy, wina, bieliznę, srebra, nawet obowiązkowy bukiet. Po godzinie wszystko znikało w koszach, odnoszonych przez tragarzy i dom wyglądał znowu niezamieszkały. Dziś czekał na gościa, który zjawił się wkrótce po jego przybyciu.

— Brawo, Bolognetti, jest pan punktualny — rzekł Ryszard, idąc na spotkanie deputowanego Bolognetti, który mógł mieć pięćdziesiątkę, wyglądał blado, obwisłe miał już policzki i wiecznie zimne ręce.

Siedli na adamaszkowych meblach w salonie, zapalili cygara i chwilę obserwowali się wzajemnie, nie chcąc okazać tego po sobie.

— I cóż, jakże będzie z ministerstwem? — spytał Joanna, strzepując popiół z cygara.

— Upadnie — odrzekł Bolognetti swoim cichym zawsze głosem.

— Co też pan mówi.

— Zaręczam panu i dobrze zrobicie, nie popierając go dłużej.

— My nie trzymamy z nikim — rzekł żywo Joanna.

— Ale bronicie ich, myślicie tak jak oni.

— Za pozwoleniem, oni tak myślą, jak my, ale w rzeczywistości, Bolognetti, nie okłamujmy się, ani ja, ani pan, ani nikt na świecie niema przekonań.

— Prawda, ale są interesa.

— Niech pan powie w liczbie pojedynczej: jest jeden interes, własny.

— Naturalnie.

Śniadanie było gotowe, przeszli do sali jadalnej,

smutnej i trochę zimnej; służącemu nie chciało się, czy zapomniał zapalić w kominku, ale ani Bolognetti, ani Ryszard nie zauważyli tego, zajęci rozpoczętą dyskusyą, w której chcieli pokonać się wzajemnie.

— Czemuż pan dowodzi, że ministerstwo upaść musi? — spytał ponownie Joanna, połykając ostrygę.

— Opuszczają go ze wszystkich stron, wczoraj odszedł Galetti z trzema czy dwoma innymi przyjaciółmi. Prawica cała jest po naszej stronie, to ważna chwila, panie Joanna — rzekł Bolognetti z udaną szczerością.

— Tak pan sądzi?

— Niezmiernie ważna! Sprzedaj nam pan swój dziennik, zanim upadnie ministerstwo, co bezwarunkowo zaszkodzić może gazecie, jak będzie w waszych rękach, zrobimy z niej otwarty organ opozycyjny.

— I owszem — najchętniej, ale ileż dajecie za niego? — spytał Joanna, zajadając spokojnie swój kotlet.

— Niech pan ustanowi cenę.

— Nie, nie, powiedzcie najprzód, ile dajecie.

— Przedewszystkiem, jak stoi „Czas“ w tej chwili?

— Sto tysięcy kopii — rzekł śmiało Joanna.

— Jeszcze nie, panie Joanna.

— Brakuje bardzo niewiele, stu numerów, to na jedno wyjdzie; jutro dojdziemy do stu tysięcy.

— A dochód jaki?

— Sto tysięcy netto.

— Niezupełnie.

— Mniej więcej.

— A oceniacie go.

— Na dwa miliony naturalnie.

— Kiedyż je pan dostanie? — rzekł, śmiejąc się ironicznie Bolognetti.

— Pan mi je da, jeśli rzeczywiście chce pan dziennik ten kupić.

— „Czas“ ma masę długów, kochany dyrektorze.

— A cóż to pana obchodzi?

— Pan najwidoczniej potrzebuje pieniędzy, żeby je spłacić, dlatego żąda pan dwóch milionów.

— Myli się pan, gdyż zachowując gazetę, mogę nie płacić ich wcale w tej chwili, więc sprzedając gazetę, ryzykuję jedynie.

Bolognetti zamilkł, jakby przekonany na razie.

— A jeżeli w naszych rękach gazeta upadnie?

— To możliwe — uśmiechnął się Ryszard — ale jeśli w moich pójdzie jeszcze w górę.

— To niemożliwe, gdyż popieracie ministerstwo, które upaść musi.

— Bolognetti, ja stary kruk, czuję padlinę i nie dam się z nikim pochować.

— Pan nie wywiera żadnego wpływu politycznego swojem pismem.

— To prawda, ale wywieranie takiego wpływu służy tylko do zadawalniania własnych ambicyi, nie przynosi zaś żadnych materyalnych korzyści.

— A czyż pan niema już żadnych ambicyi?

— Żadnych; chcę, żeby sprzedaż dziennika była jak najzyskowniejsza, nic więcej.

— Żąda pan dwu milionów, ale „Czas“ jest ga-

zetą brutalnie redagowaną, bez smaku i bez poczucia artystycznego.

— Artyzm, kochany Bolognetti, do niczego nie służy, chyba do tego, żeby zatruwać życie artystom.

— Musielibyśmy jednak zaprowadzić rozmaite zmiany i z tego powodu mielibyśmy nadprogramowe wydatki; a czy pan zostałby jako dyrektor i jako dziennikarz?

— Toby się dopiero pokazało później.

Skończyli śniadanie, przeszli więc do salonu.

— A ileżby mi pan zaproponował? — spytał Joanna.

— Milion, dwakroć sto tysięcy — tyle tylko mogę.

— Pan wie dobrze, że o tem mowy niema.

— Może być, ale i tak to ładny pieniądz, przyzna pan.

— A „Czas“ jest dobrym dziennikiem.

— Dla takiego, jak pan, dziennikarza, który zaczął z niczem.

— Pozwolę sobie przerwać panu, nie lubię mówić o przeszłości, zresztą, czy pan miał nadzieję zostać deputowanym wówczas, gdy był pan ajentem w Banku hipotecznym? nie sądzę.

— Polityka, to nie to samo, co dziennikarstwo.

— Nieprawda — oba te zawody zależą od przypadku — jednym udaje się — drugim nie — fatalistycznie.

— Oto nasz projekt, Joanna, niech go pan zapisze i przestudyuje.

Ale na ładnym biurku, na którym stały przybory

do pisania z bronzu, Joanna szukał napróżno papieru, wyrwał wreszcie kartkę z bloczka, ale w kałamarzu nie było śladu atramentu.

— Nie pracuje pan w domu?

— Nie, nigdy.

— Rozumiem, woli pan w biurze pisać.

— W biurze też nie piszę.

— Jakto, nie pisze pan?

— Nie.

— Odpoczywa pan?

— Już od czterech lat nie piszę.

— Dlaczego?

— A po co? — odrzekł spokojnie Joanna — zapisując na bloczku ołówkiem formę zapłaty, firmy, wszystkie kupna kontraktu.

— Nic z tego nie będzie — powtarzał.

— Niech się pan dobrze namyśli, a sprzeda nam pan swój dziennik — rzekł Bolognetti i jako człowiek interesów, który nigdy czasu nie traci, pożegnał się i chciał wyjść, ale jakaś myśl wpadła mu nagle do głowy, bo wrócił.

— Pan coś musi wiedzieć, Joanna, że tak panu zależy na dzienniku. Ministerstwo przygotowało pewnie nowego figla, żeby mieć za sobą większość.

— Nic nie wiem.

— Niechże pan powie, proszę.

— Jest pan przecież moim przeciwnikiem, nic się pan odemnie nie dowie — i zaśmiał się długo.

— Niech pan będzie lojalnym i powie, jak rzeczy stoją?

— Teraz my wystawimy was na dudków, Bolognetti.

— Do widzenia, przyjacielu.

— Do widzenia, nieprzyjacielu.

Po jego odejściu Joanna zamyślił się. W rzeczywistości miał wielką ochotę pozbycia się gazety, dawała mu ona w większych rozmiarach te same kłopoty, co i mały dziennik, czuł się zmęczonym i to bardzo i coraz trudniej mu było otrząsnąć się z tego zmęczenia. Długów gazeta miała masę, zaufany urzędnik administrował tym działem, płacił procenta, prolongował weksle, zmniejszał trochę cyfrę, ale niewiele, gdyż procenta zjadały połowę dochodów. Z upływem czasu mimo wzrastającego powodzenia, Joannę napadały złe przeczucia, obawiał się, że raptem bez powodu zmniejszy się sprzedaż, że któraś z rywalizujących z nim gazet rozwinie się groźnie, wyczerpany trzydziestoletnią pracą dziennikarską bał się zmiany losu. Już pragnął zresztą spokoju, a sprzedawszy gazetę, po zapłaceniu długów zostałoby mu jeszcze dosyć na bardzo wygodne życie. Niezdecydowany, gdyż z drugiej strony trzymało go przyzwyczajenie i chęć władzy — wyszedł z domu i pojechał do teatru Nazionale.

Tam, w słabym półcieniu sceny, jak w głębi jakiejś studni, odbywała się próba nowej sztuki. Twarze były blade i pomęczone, ubrania ciemne, głosy zdawały się wychodzić z lochu, cały ten ruch osób, wychodzących z cieniu pod promień przedzierającego się z góry światła, dawał złudzenie widm, życia cieni w tajemniczych wnętrzach ziemi.

Ryszard przyzwyczajony od tylu lat do tego wszystkiego, oparł się o kolumnę i czekał spokojnie, przypatrując się próbie. Spostrzegły go zaraz bystre oczy primadonny, która patrząc na niego, zaczęła recytować nieuważnie, zwrócona tak, jakby do niego mówiła.

Po chwili wszczął się ruch, akt był skończony, spacerowali teraz wszyscy, tupiąc nogami dla rozgrzania, opowiadając sobie wzajemnie o swoich biedach, interesach, chorobach.

— Jaka to nudna sztuka — szepnęła aktorka, przybliżając się do Ryszarda.

— Taka, jak wszystkie — odpowiedział Ryszard, myśląc o czem innem.

— Czy nie lepiej byłoby pójść na spacer, niż tu siedzieć, nie poszedłby pan?

— Oj! Sefi, idylla — o tej porze? Takie psie zimno.

— Widział pan, co pisze o mnie Gazeta Narodowa?

— Nie. Pochwały?

— Gdzietam, wymyślania, okropności i powiedzieć, że ja tak dobrze przyjmowałam tego pysznego osła z krytyki teatralnej.

— Trzeba było źle go przyjmować.

— Ach, żeby to tak można — szepnęła smutno, odkrywając swą cichą nędzę.

— Obronimy panią, niech się pani nie boi.

— Pan jest dobrym przyjacielem, znamy się od tak dawna, zawsze był mi pan życzliwym.

— I skromnym, kochanie; bronić będę i bez tych oświadczyn.

— Niech mnie pan broni, ale niezbyt gorąco.

— A to dlaczego? — spytał z uśmiechem, chcąc, żeby wypowiedziała, co myśli.

— Bo Czas jest za potężnym dziennikiem, by nie mieć dużo nieprzyjaciół w prasie, jeśli więc będziecie protegować w nim zanadto otwarcie, inni napadać będą — rzekła z niewinnym egoizmem.

— Nie bój się, mała — odparł zimno Ryszard — nie popsuję twoich interesów.

— Gniewa się pan na mnie? — spytała pokornie aktorka.

— Nigdy się nie gniewam na nikogo.

— Cały nasz los zależy od prasy — rzekła jakby do siebie.

Obróciwszy się odszedł, uśmiechając się, chciał pomówić z głównym komikiem, ale zatrzymało go małe, sympatyczne stworzonko, czarne i sprytne, umizgając się do niego.

— Pan zawsze udaje, że mnie nie widzi. Nie lubi mnie pan, co?

— Unikam, kochana, boś zanadto niebezpieczna.

— A teraz to pan ze mnie kpi, sympatye pana umieszczone są gdzieindziej, wiem, my nie możemy współzawodniczyć.

— Występuje pani w sobotę, albo w poniedziałek, prawda?

— Skądże pan to wie?

— Domyślam się.

— I napisze mi pan ładny artykuł w Czasie.

— Nie, najmilsza, nie mogę.

— Dlaczego?

— Bo „Czas“ nie należy do mnie.

— Seryo? — rzekła ona, cofając się z widocznym chłodem.

— Na seryo. Sprzedałem go.

— Komu?

— Tego nie mogę powiedzieć. Do widzenia moja miła.

— Do widzenia — rzekła ona zamyślona, nie podając mu nawet ręki.

Wyszedł, męczyła go myśl sprzedaży dziennika, nawał cyfr cisnął mu się do głowy, wyliczał długi, myślał o milionach ofiarowanych mu za niego. Jakiś deputowany zatrzymał go.

— Czy to prawda, że pan sprzedaje dziennik?

— Tak — odrzekł stanowczo.

— Za ile?

— Za majątek.

— Winszuję szczerze.

- Jak pan myśli, dobrzem zrobił?

— Chwila może nieodpowiednia, ale szczęścia nie trzeba wypuszczać z ręki.

Rozeszli się — szedł zatopiony w myślach z rękoma w kieszeniach, w kapeluszu nasuniętym na oczy; nie miał jeszcze zakreślonego planu. Nie wiedział którą drogę wybrać.

Na placu weneckim, w kawiarni grupa znajomych zaczęła wołać:

— Joanna, Joanna, prawda, że sprzedałeś „Czas“?

— Chcieli kupić, ale nie chciałem oddać go za dwa miliony.

— A ileżeś chciał?

— To tajemnica interesu — rzucił śmiejąc się na odchodnem.

Trochę dalej, na Corso, szło paru dziennikarzy, jeden z nich, który pracował niegdyś w Czasie — zatrzymał Ryszarda.

— Czy naprawdę sprzedałeś dziennik za półtora miliona.

— Proszę was — przestańcie już o tem mówić.

— O czem, o cyfrze czy o fakcie?

— O jednym i o drugim.

Korespondenci wszystkich gazet, zatelegrafowali już tę wiadomość.

— Odwołaj ją zaraz.

Mówiąc tak sprzecznie, słuchał wewnętrznego impulsu i nie zatrzymując się już z nikiem, poszedł do biura i zamknął się w swoim dużym samotnym pokoju. Na kominku tlił się ogień. Z ulicy dochodził czasami słaby głos, wykrzykujący „Czas". W tej duszy, w której trawiący żar życia spopielał wszystko, przedzierały się jakieś wspomnienia niezmiernie dalekie — ten głos, przypominał mu inny, słyszany w dzieciństwie, wywołujący inną, biedną małą gazetę, taką, z której bito zaledwie dwa tysiące egzemplarzy, przy której pracował jego ojciec i przy której umarł z wyczerpania i choroby. Z rzewnego smutku na wspomnienie tej prostej a żałobnej historyi, rodziło się w duszy Ryszarda uczucie zadowolenia i dumy. — Ogromna różnica, istniejąca między skromną gazetką

a wspaniałym „Czasem“ bogatym i potężnym, dawała mu poczucie własnej siły. Myślał o cichej i nieocenionej pracy ojca, którą zarabiał zaledwie na życie, i porównywał ją z szumnemi milionami, które dawano Bolognettiemu i znajomym. Biedny, biedny ojcze, szepnął, jakby go chciał objąć w serdecznej pieszczocie. Pragnął mieć przy sobie tego biednego ojca, tu, w tej wspaniałej, uroczystej komnacie — pragnął pokazać mu tę swoją gazetę, ten dziennik przyszłości, chciał żeby wzruszony ucałował go z dumą ojcowską. — A może jutro będę musiał się z nią rozstać jak z niepotrzebną szmatą, z tą gazetą, która tryumfem jest umęczonego jego życia. Jakże się na to zdobędzie?

— Telegram — oznajmił służący wchodząc ze zwykłą srebrną tacą.

„Bossanda, kandydat na posła stronnictwa rządodowego, popierany przez „Czas“ upadł trzystoma głosami.“

Ryszard brwi zmarszczył, takie polityczne porażki zdarzały się coraz częściej. Dziennik choć bardzo rozpowszechniony nie miał wpływu — publiczność rozkupywała go chętnie, przeglądała telegramy, czytała, potem wyrzucała, nie zastanawiając się dłużej nad nim. Nadmierne rozpowszechnienie dziennika neutralizowało wpływ jaki mógł był wywierać. — Cały kraj płacił daninę z swych „soldów“ ale nie ze swego szacunku i uznania.

Może czytelnicy zanadto byli od siebie oddaleni a może w skutek upartego milczenia „Czasu“ na czynione mu zarzuty, zarzuty te krążąc wśród publiczności — dyskredytowały dziennik. Dzisiejsza po-

rażka narzucała mu na myśl zmienny los wszystkich gazet, o tem, że każda ma jakiegoś robaka, który ją toczy — każda, jak człowiek od samego poczęcia nosi w sobie zarodek śmiertelnej choroby. I w jego dzienniku było coś, co się już rozkładało, w tej wielkiej maszynie jedno kółko zgrzytało — nie wiedział które. To wielkie dumne jego dzieło, ponieważ ludzkie, musiało w końcu zginąć i czyż nie lepiej, myślał, wycofać się przed katastrofą — jak ostrożny pilot, przypatrywać się z brzegu na okręt walczący z falami na burzliwem morzu.

— Wielmożny Cardella — zameldował woźny.

Joanna otrząsnął się w jednej chwili, podszedł uprzejmie do gościa i przysunął fotele do kominka.

— Przechodząc tędy, wstąpiłem, żeby Pana odwiedzić. Nie przeszkadzam?

— Nie, bynajmniej.

— Gazeta gotowa?

— Już wyszła.

— A jutrzejsza?

— Robi się sama.

— Niech pan szczerze powie, jest Pan zadowolony z „Czasu“?

— Dosyć.

— Doskonale redagowane pismo — rzekł Cardella, wyciągając się wygodnie na fotelu.

— Dużo w nim jeszcze jest braków.

— Co też Pan mówi — ja żyć nie mogę bez mojego codziennego „Czasu“.

— Jabym się chętnie bez niego obył.

— Doprawdy? — spytał zaciekawiony deputowany.

— Seryo.

— Nie widzę powodu.

— Zmęczony jestem.

— Taki Pan jeszcze młody.

— Trzydzieści lat dziennikarstwa, to tyle co sześćdziesiąt — należy mi się odpoczynek.

— Tak dzielnie walczący, nie powinien ustawać w boju — to wyglądałoby na tchórzostwo.

— Kiedy zanadto czuję się zmęczonym.

— Niech Pan, tego nie powtarza. Czyż nie jest już Panu miłem to stanowisko, które choć nie pierwszorzędne, sieje postrach u wszystkich. My jesteśmy na ławie oskarżonych, wy możecie nas potępić lub rozgrzeszyć.

— Stary jestem.

— I to nieprawda — przecież gdyby Panu zamarzyło się tylko — ileż dróg stoi otworem dla pańskiej działalności.

— Bank — polityka.

— Niczego mi się już nie chce — wyczerpałem wszystko, nie ma już Małgorzatek dla takiego starego Fausta.

— Tak, ale niech się Pan zastanowi jak na tem partya ucierpi.

— Pocieszy się z łatwością.

— Nie mów Pan tego, są ludzie, których zastąpić się nie da, a przypuśćmy, że dziennik wpadnie w złe ręce, że bez Pana upadnie, lub gorzej. Przecież to dla partyi niepowetowana klęska.

— Partya nie zrobiła nic dla nas, nie mamy więc żadnych względemniej zobowiązań—rzekł twardo Joanna.

— Materyalnie.

— Wybaczy Pan — dziennik nasz nie potrzebuje materyalnego poparcia.

— Wiemy o tem — rzekł deputowany, zaznaczając sprytnie, iż mówi w liczbie mnogiej, moralnie zaś popieranym był zawsze; partya ocenia swych przyjaciół, lubi ich — i umie im się odwdzięczać.

— Ja o nic nie proszę.

— To my prosimy, od jakiegoś czasu skarży się Pan na zmęczenie, takie myśli doprowadzić Pana mogą do nagłej decyzyi, która z pewnością przyniesie Panu szkodę, a nam sprawi wiele przykrości.

— Do czego Pan zmierza?

— Myślę o sprzedaży dziennika.

— „Czas“ należy jeszcze do mnie — odrzekł dumnie Joanna.

— Wiem, i życzę, żeby należał do pana przez długie jeszcze lata, to życzenie nas wszystkich, prośba, którą za moim pośrednictwem zanoszą do pana przyjaciele i partya, pan jest potęgą — niech nas pan nie opuszcza.

I gruby deputowany, który pod pozorami dobroduszności i uprzejmości ukrywał dotąd swój niepokój — wyjawił go teraz zupełnie.

— Robię co mogę, — szepnął Joanna.

— Powinien się pan poświęcić. Niech pan pozostanie na stanowisku, nie pozwoli zawładnąć niem nieprzyjaciołom — a będzie pan miał chwalebną kartkę w naszych rocznikach politycznych.

— Co mam powiedzieć przyjaciołom?

— Że postąpię według sumienia.

— Nic więcej?

— Zdaje mi się, że to wystarcza.

— Chciałbym dokładniejszego słowa.

— Nic nad to powiedzieć nie mogę.

— Sumienie pana jest pewne — odchodzę więc zadowolony. Do widzenia drogi męczenniku. Przed sobą ma pan świetną przyszłość. Ryszard ukłonił się w milczeniu i odprowadził gościa do drzwi; zaraz potem wszedł woźny z listem. Bolognetti pisał, że ostatecznie z wielkim wysiłkiem mogliby zaofiarować trzy czwarte z sumy żądanej przez Ryszarda.

— Joanna odpisał na bilecie wizytowym.

— Wszystko albo nic.

Tego dnia jadąc powozem do willi Borghese, do której jeździł codziennie, podobny do kobiet, które nie mogą obejść się bez pewnej ilości ukłonów i uśmiechów — słyszał swoje nazwisko powtarzane szeptem częściej niż zwykle, i na wszystkich twarzach zdawało mu się, iż zauważył nowe zainteresowanie i zaciekawienie.

— Jutro — niczem już dla nich nie będę — myślał. Zapadał wieczór zimny i smutny, jeden z tych wieczorów, w których osobliwie w Rzymie, najobojętniejsze serca ogarnia łagodny i rzewny smutek, i w Ryszardzie ocknęły się na chwilę uśpione już porywy pierwszej młodości. Kazał zawrócić i wstąpił do biura dowiedzieć się jak wypadła tego dnia sprzedaż dziennika. Nie doszedł jednak i tego dnia do upragnionej cyfry stu tysięcy. Któż dojdzie dlaczego?

myślał, gazety czasem idą raptem w górę. Nieraz wystarczy przybycie nowej śpiewaczki, czasem sprawozdanie z jakiegoś procesu, śmierć sławnego człowieka, czasem i to nie skutkuje. Niewiadomo, dlaczego gazety nieraz nagle upadają, drobnostka może być tego powodem — na tę myśl strach go ogarniał mimo, że zahartowany był życiem.

— Pan Bolognetti czeka na pana w powozie — rzekł woźny wchodząc.

— Zaraz idę.

— I cóż, Joanna, decyduje się pan — spytał deputowany, gdy Ryszard siadł przy nim w powozie.

— To od was zależy.

— Niech pan tak nie nalega na sumę, zanadto jest dla nas wygórowaną.

— Owszem, nalegam.

— Proszę o szczerą odpowiedź. Czy pan na seryo chce pozbyć się dziennika?

— Tak, lecz za dwa miliony.

— Pan wie, że tyle dać nie jesteśmy w stanie.

— Moje słowo jest jedno. Muszę długi pospłacać; spłaciwszy, nie zostanie mi dużo, a pracowałem ogromnie.

— Nigdy włoska gazeta nie kosztowała tyle.

— Później ta sama warta będzie jeszcze więcej.

Mówili do siebie sucho, jak dwóch zdeklarowanych przeciwników, nie patrzyli sobie w oczy.

— Za półtora miliona możemy założyć gazetę konkurencyjną.

— Pieniądz nie wystarcza, potrzeba człowieka.

— Joanna, Joanna, bądź pan silniejszym od chwi-

lowego powodzenia. Panem, nie niewolnikiem jego, zrzeknij się pan w porę,

Joanna spojrzał mu w oczy, to głębokie zdanie zrobiło na nim wrażenie.

— Każ pan jechać do redakcyi „Czasu“.

I nie odzywali się już, zatopieni w myślach, lecz dojechawszy do Corso, niedaleko redakcyi, powóz musiał stanąć, gdyż tłum zalegał ulicę. Joanna wysunął głowę, chcąc zobaczyć, co zaszło, cofnął się natychmiast.

— Bolognetti, nie sprzedam już dziennika.

— Dlaczego?

— Bo tak.

— Na seryo?

— Tak.

— Nawet za dwa miliony?

— Nawet.

— Za żadną cenę?

— Za żadną.

— W takim razie do widzenia.

— Do widzenia.

Joanna wysiadł z powozu, w olśniewającem świetle gazu na balkonie redakcyi jaśniało ogłoszenie:

„Czas“
Sto tysięcy egzemplarzy.

To gorące jego pragnienie ziszczone było publicznie, przed tym zadziwionym tłumem, duma jego dochodziła do najwyższego stopnia zadowolenia. — To on zdziałał ten cud — to był wieczór jego tryumfu.

URZĘDN: TOW. W KRAKOWIE SEKRETARYAT.

— Sto tysięcy egzemplarzy, a kto wie, czy to prawda — rzekł ktoś stojący przy nim.

Wtedy, przed tem jednem zdaniem, które dawało miarę wartości dziennikarskiego powodzenia, Ryszard Joanna, ogołocony z ostatnich swych złudzeń, uczuł gorycz i żal głęboki.

VI.

KATASTROFA.

Agapit wszedł bez pukania. Ryszard nie ruszył się tylko spojrzał na niego, ale z pod zaczerwienionych powiek oczy patrzyły tak zgasłym wzrokiem, jakby nie chciały już widzieć ani ładnych ani brzydkich rzeczy.

— Jakiś pan chce się z panem widzieć — rzekł służący z miną wiecznie znudzoną.

— Pewnie któryś ze zwykłych nudziarzy — szepnął Joanna swoim zmęczonym głosem.

— Ja tego pana nie znam — to nie po pieniądze.

— Może jakiś woźny?

— Za młody na to.

— Są i młodzi.

— Nie, to jakiś pan.

— Wszystko jedno, niech wejdzie — rzekł Joanna zabierając się znowu do pisania.

Wszedł wysmukły i smagły młodzieniec — ale zatrzymał się onieśmielony w środku nieumeblowanego pokoju.

— Proszę, proszę bliżej — rzekł Joanna, nie pod-

nosząc głowy, z tą swoją, trochę wyniosłą uprzejmością. — Niech pan poszuka sobie krzesło i siada — przeprowadzamy się, tu jesteśmy od wczoraj, musi pan wybaczyć...

— Może przeszkadzam? — spytał nieśmiało młody człowiek.

— Nie, nie, zaraz skończę i będę panu służył.

Młodzieniec wybrał jedno krzesło z dwóch stojących w ogołoconym pokoju, spróbował usiąść, ale krzesło ugięło się trochę; zarumieniony wstał i bez hałasu wziął drugie, nie dowierzając mu jednak, siadł na samym brzeżku. Przypatrywał się z zajęciem Joannie, temu sławnemu i możnemu dziennikarzowi, o którym na prowincyi krążyły bajeczne historye, którego znali, bali się i cenili wszyscy; ale wielki ten dziennikarz z dawnej, bujnej czupryny miał teraz tylko resztki; jego oczy, tak tęskne, dziś miały czerwone obwódki i zgasłe spojrzenie, a tylko czasami nieświadomie nabierały dawnego wyrazu. Twarz, choć szlachetna zawsze, poorana była cienkiemi zmarszczkami, zęby czarne były od ciągłego palenia. Co wyglądało strasznie, to korpus: szyja zgrubiała, przygarbione plecy i brzuch, brzuch ogromny, a z pod niego nogi cienkie, jak pokurczone. Ale tego nie było widać, gdy siedział w fotelu, więc młodemu chłopcu wydawał się Joanna wspaniałą ruiną.

Tymczasem Joanna zaadresowawszy list, zadzwonił na metalowym dzwonku, wydobył się z niego jakiś ochrypły głos, podobny do łkania; mimo to Agapit wszedł zaraz, jak zawsze znudzony.

— Zanieś ten list do Jego Ekscellencyi.

— Czy ja mam zanieść? — pytał Agapit, kręcąc list w ręku.

— Niema tam Franciszka?

— Dziś nie było go wcale.

— Zapłaci pięć lirów kary, a tymczasem idź zanieś to ty.

— Nikogo nie ma przy drzwiach, jeśli kto zadzwoni.

— Poproś pana kronikarza, żeby uważał.

— Nie przyszedł.

— Dobrze, idź! Służę panu — rzekł Joanna zwracając się do czekającego młodzieńca z pewną wyniosłością, towarzyszącą zawsze pozornej jego dobroduszności.

— Niech mi pan wybaczy, że ośmieliłem się przyjść do pana, nie przedstawiwszy wprzódy; pchała mnie do tego nieprzezwyciężona siła.

Joanna spojrzał przenikliwie na młodego chłopca, węsząc w nim może studenta w nędzy, lub żebrzącego panicza; w jednej chwili jakiś wyraz martwoty rozlał mu się na twarzy i zaczął przypatrywać się swoim paznogciom z ogromną uwagą. Onieśmielony młodzieniec milczał.

— Słucham pana — rzekł chłodno po chwili Joanna.

— Przyszedłem do pana, żeby mnie pan przyjął jako dziennikarza do swego dziennika.

— Ah! — wymówił Joanna i spojrzał znów przenikliwie.

— Czy wydaje się to panu niemożliwem?

— Niekoniecznie — niech pan dalej mówi — słucham.

— Czuję nieprzeparte do dziennikarstwa powołanie.

— Powołanie?...

— Namiętność! Mógłbym zostać adwokatem i powinienem nim być, gdyż moja matka życzy sobie tego gorąco, oporem swoim sprawiam jej wielką przykrość, ale nie mogę, nie będę mógł nigdy, dziennikarstwo pociąga mnie ułudą sławy i powodzenia.

— Rozumiem.

— Mam umysł wojowniczy, ale nie mogę dostroić się do tej całej nędzy walki procesowej, mnie potrzeba walk prawdziwych, gorącego życia: a dziennikarstwo jest tem życiem, pełnem blasku.

— Zwodniczego — dorzucił Joanna.

— Zwodniczego — powtórzył, rumieniąc się młody chłopiec. — Prasa jest potęgą, jest wspaniałym narzędziem.

— Obosiecznym — dokończył machinalnie Ryszard.

Stropił się chłopak.

— Niech pan dalej mówi — dodał Joanna, przyglądając się znów uważnie swoim paznogciom.

— Bo widzi pan, panie Joanna, przyznam się szczerze, że mnie pan onieśmiela.

— Ja?

— Pewnie, taki sławny dziennikarz, tak szczęśliwy w swej karyerze, który zarabiał i zarabia ile tylko chce, to nie żarty. My na prowincyi zazdrościmy panu, a przykład jego zachęca nas i egzaltuje.

— Pan z prowincyi? — spytał Joanna głosem niemożliwym do opisania.

— Tak, z Bergamo; doktoryzowałem się w Padwie. Pisałem parokrotnie do pana, Antonio Amati, pan nie odpisał mi nigdy.

— Jestem taki zajęty.

— Doskonale to rozumiem i widzi pan o to, o co prosiłem listownie, dziś proszę osobiście. Niech mnie pan weźmie do „Czasu“.

— Jako dziennikarza?

— Tak.

— Wszystkie miejsca obsadzone — rzekł sucho Joanna.

— To jako reportera, kronikarza, tłómacza.

— Niema ani jednego miejsca.

— Zgodzę się nawet na przepisywanie, byleby mnie pan przyjął.

— Administracya nie może nakładać na siebie nowych wydatków w połowie roku.

— „Czas“ taki bogaty.

— Bogaty — tak, ale budżet jego ściśle oznaczony.

Wszedł Agapit, jak zwykle, bez pukania.

— Zwrócono list, trzeba podpisać — powiedział.

Joanna podpisał.

— Wracaj zaraz na pocztę — rzekł, patrząc na służącego wzrokiem widocznie dobrze mu znanym, gdyż ruszył żywo.

— Panie Joanna — szepnął Amati — mniejsza o pensyę, niech mnie pan weźmie jako wolontaryusza na dwa miesiące, na kwartał, na rok.

— A z czegóż się pan utrzyma?

— Skłamię matce, powiem, że jestem na praktyce u adwokata, że nic chwilowo nie zarabiam, tak jest dobrą, łatwowierną, iż uwierzy i przysyłać mi będzie zwykłą pensyę studenta.

— Sumienie nie pozwala mi zgodzić się na to.

— Dlaczego?

— Nie wszystko da się wytłómaczyć.

— Pojmuję, że „Czas“ jest tak wielką gazetą, że pełno dziennikarzy w nim pracuje, że ja nie przeszedłem jeszcze próby... Ale ostatecznie, jeśli ktoś ofiarowuje się zadarmo...

— Niech mnie pan usłucha i zaniecha tej myśli.

— Pan żartuje.

— Nie, nie żartuję, mówię bardzo poważnie.

— To chyba pan kpi ze mnie.

— Niech mi pan wierzy, że mówię to dla pańskiego dobra.

— Ależ mówię panu, że mam rzeczywiste powołanie.

— Tak się panu zdaje.

— Poza tem nie widzę nic lepszego dla siebie.

— Jest sto tysięcy lepszych rzeczy.

— I to pan mówi, który doszedł...

— Do czego?

— Do wielkości, do sławy.

— Panie Amati, pan wydaje mi się dobrym i miłym chłopcem, wybij pan sobie z głowy dziennikarstwo.

— Czy przypuszcza pan, że niemam talentu?

— Co tam talent — tem lepiej, jeśli go pan niema.

— Chce mnie pan odstraszyć, bom młody, bo przyjeżdżam z prowincyi, źle się pan ze mną obchodzi, a nie zasłużyłem na to.

— Dziecko drogie, właśnie tem, że tak mówię, daję ci dowód szacunku.

Przerwał im Agapit, który wszedłszy, wręczył Joannie jakieś pieniądze, trzymane w ręku.

— Brakuje pięć lirów i dwadzieścia centów.

— Lira zapłaciłem za papier do pakowania.

— Zawsze ten niepotrzebny wydatek.

— Śniadanie pana, wczorajsza kawa i piwo, to razem cztery liry, 20 cnt. kosztował stempel dla pana Rinalda.

— Dobrze, idź.

Antonio Amati siedział pogrążony w myślach, zmartwiony, po odejściu Agapita wstał machinalnie.

— Nie chcę trudzić pana dłużej. Pójdę do innej gazety.

— Do innej?

— Tak, panie, jestem uparty i nie zniechęcam się tak łatwo; wolą zwalcza się wszystkie trudności. Obejdę wszystkie tutejsze redakcye, zaofiaruję się gratis i zobaczy pan, że w którejś z nich przyjmą mnie w końcu.

I taki zapał bił od niego, tyle woli namiętnej i głębokiej wiary było w tym ślicznym, smagłym młodzieńcu, że Joanna spojrzał i długą chwilę nie mógł oczu oderwać od niego, jakby dopiero teraz oceniał rzeczywistą jego wartość.

Chwilę patrzyli tak na siebie, zamyśleni.

— Niech pan zostanie — rzekł nagle Joanna — od dziś zaczynam wtajemniczać pana w dziennikarstwo.

Amati zbladł, zaczerwienił się i łzy zakręciły mu się w oczach.

— Jaki pan dobry — szepnął.

— Dobry — powtórzył tajemniczo. — A teraz idź pan do drugiego pokoju i napisz pan jaki artykuł.

— O czem?

— Wszystko jedno, o czem pan zechce.

— A czytelnicy? — zauważył zdziwiony Amati.

— Czytelnikom podoba się wszystko, co trafia do ich gustu.

— Boję się być nudnym, banalnym, niech mi pan podda jakąś myśl.

— Jeśli uda się panu być banalnym, będzie pan miał zapewnioną karyerę.

— Ale niech mi pan jaką myśl nasunie.

— Myśl? od tak dawna ich nie mam, zbyteczne są w dziennikarstwie i nikt ich tu niema.

— A gdybym ja je miał? — wyrwało się Amatiemu.

— Radziłbym panu nie wyjawiać ich, zresztą niech pan sobie sam radzi.

— Napiszę o sprawie wschodniej.

— Temat obrabiany od trzydziestu lat — zużyty.

— O zabójczych kobietach.

— Już nie zabijają nawet.

— O tych, które sobie życie odbierają.

— Daj im pan spokój, już nie żyją.

— Dobrze, dobrze, sam napiszę, potem pan oceni i odszedł uszczęśliwiony.

Ryszard patrzył chwilę za nim, potem oparł głowę o poręcz fotelu i wlepił oczy w sufit.

— Mogę pana poprosić o pióro — rzekł Amati, wracając.

Ryszad podał mu swoje.

— I trochę papieru, jeśli łaska, tam niema ani ćwiartki.

Joanna szukał długą chwilę, wreszcie znalazł parę arkuszy, trochę już poplamionych i zmiętych.

— I niemam kałamarza — dokończył Amati.

— Ma pan tu mój — rzekł Ryszard cierpliwie.

— Gdzieżbym śmiał panu zabierać.

— Mnie i tak niepotrzebny.

— Nie pisze pan?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo niemam nic do pisania.

— A któż redaguje dziennik?

— Sam się robi.

— Niech pan pozwoli, że pójdę kupić sobie kałamarz i atrament.

— Dobrze, albo jeszcze lepiej, niech pan służącemu da pieniądze, przyniesie panu flaszeczkę atramentu, obejdzie się bez kałamarza.

Prawie równocześnie Amati wesołym swym głosem prosił w przedpokoju służącego, żeby co tchu przyniósł mu flaszeczkę bardzo czarnego atramentu,

BIBLIOTEKA
URZĘDN: TOW: WZAJ: UB: w KRAKOWIE
SEKCYA IV.

— Kiedyż przychodzą redaktorowie? — spytał, wracając do Joanny.

— Kiedy chcą. Ja ich nie zmuszam do punktualności.

— Po pensyę za to przychodzą punktualnie — rzekł Amati, myśląc, że dowcip powiedział.

— Płaci się wtedy, gdy się może — odrzekł spokojnie Joanna.

Amati spojrzał trochę zdziwiony — to do mnie nie należy, ja jestem gratis rzekł dobry chłopak, a oni jak się na to zapatrują — co mówią?

— Co mają mówić? nic nie mówią.

— Nic?

— Jedni czasem krzyczą, inni się skarżą, niektórzy odchodzą — reszta zostaje i ma nadzieje.....

— Ale od czego to zależy — spytał naiwnie Amati.

— Tylko od braku pieniędzy — odrzekł sucho Joanna.

— „Czas“ nie ma pieniędzy?

— Nie.

— Czemu?

— Bo żaden dziennik nie ma ich.

— Jakto żaden.

— Żaden.

— Ani te, w których biją trzydzieści tysięcy egzemplarzy.

— Ani te, ani takie, w których biją sto tysięcy.

— A to od czego zależy.

— Nie umiałbym powiedzieć, ale tak jest.

— Idę pisać swój artykuł, — wymijająco rzekł Amati — na którą ma być gotów?

— Na którą pan zechce?

— Jakto? o której wychodzi dziennik?

— O żadnej, zwykle o wpół do ósmej, a czasem nie wychodzi wcale.

— Jakto wcale?

— A no tak.

— Nie rozumiem. Czasem nie wychodzi wcale.

— Czasem.

— A to dlaczego?

— Dla rozmaitych przyczyn: popsuje się motor, pasy nie chwytają — maszynista jest w złym humorze — nie czytał pan nigdy sprawozdania w „Czasie“ gdzie opisuje się szeroko jeden z tych powodów, dla których gazeta nie doszła do rąk abonentów?

— Czytałem — ale nie o złym humorze maszynisty naprzykład.

— Tego się nie pisze, ale to jeden z najczęstszych powodów, widzi pan, drukarze są nadzwyczaj nerwowi — osobliwie w sobotę.

— Idę już pisać.

— Ma Pan papierosa?

— Nie, mam cygaro?

— Niech pan da cygaro — to wszystko jedno.

— Amati zabrał się wreszcie do pisania i męczył się długo przy biurku, dziwiąc się, że nikt nie przychodził do redakcyi. Agapit zajadał powoli kawałek chleba w przedpokoju. Po jakimś czasie ukazał się jakiś mały człowiek, wszedł do pokoju, w którym sie-

dział Amati i oparłszy się o róg jego biurka, pisał coś na długim arkuszu papieru — zostawił go potem na stole, na co Agapit nie zwrócił nawet uwagi.

— Czemu nie zaniesiesz to panu Dyrektorowi?

— A po co? on i tak stemplowanych papierów nigdy nie czyta.

— Tak — ale płaci się za stemplowane papiery.

— E — my mamy tego cały stos i nie zawadza to nam zupełnie. „Jemu“ nic nie zawadza.

— To wielki człowiek, co? — rzekł Amati z zachwytem.

— Dziękuję — rzekł lakonicznie służący. Ochrypły łkający dzwonek przywołał go do dyrektora — po chwili zaczął wydobywać z szaf i pudeł stojących, w przedpokoju stosy gazet, które rzucał na ziemię, utworzyła się z nich góra — i Amati, który w zapale, twórczym, wstał i przechadzał się, potknął się o nią.

— To idzie do abonentów? — spytał.

— To do najlepszego naszego abonenta — odrzekł filozoficznie Agapit.

— Gdzie?

— Do właściciela trafiki.

— A, to stare dzienniki — rzekł Amati z miną człowieka znającego się na rzeczy.

— Ileż za kilo?

— Pięć soldów.

— Dobrze.

Wrócił do swojego biurka, tymczasem nadszedł chłopak z trafiki i między nim a Agapitem wszczął się długi i hałaśliwy targ, tak, że wreszcie ukazał się w drzwiach Joanna, gdy ujrzał go Amati, w jednej

chwili ochłonął z wrażenia, które na nim zrobił, gdy siedział za biurkiem. Teraz brzuch uwydatniał się bardzo, podnosząc białą kamizelkę wątpliwej czystości, głowa tonęła w ramionach a na sobie mimo upału miał ciężki surdut. Gdy chłopak zabrał gazety i wyniósł się, mrucząc coś pod nosem, Joanna zwracając się do służącego spytał:

— Nie było odpowiedzi od Ekscellencyi?

— Nie, wielmożny panie.

— A ile wytargowałeś?

— Dziesięć lirów i dwadzieścia centów.

— Ile kilo?

— Trzydzieści siedem.

— To dziwne, wyglądało więcej — zmień mi te soldy na srebro.

Poszedł do siebie i słychać było jak czyścił długo kapelusz — potem gdy Agapit przyniósł mu pieniądze przybliżył się do Amatiego pytając:

— Skończył Pan?

— Nie jeszcze, nie — odrzekł zawstydzony Amati.

— Widzi pan to pierwszy raz.

— Chodź pan ze mną na śniadanie.

— Może... lepiej, żebym skończył artykuł?

Zawsze lepiej jeść jak pisać — niech pan to sobie zapamięta; Agapito, powiedz panu Rinaldiemu, gdy przyjdzie, żeby napisał artykuł o zdobyczach Anglików w Afryce.

— W Afryce — dobrze proszę Pana a gdyby odpowiedź od Jego Ekscellencyi nadeszła?

— Przynieś mi ją natychmiast do restauracyi.

— Słucham Pana.

— Dobrze — widzę żeś pojętny — każę Ci dać dwa liry napiwku — przypomnij mi tylko.

— E, jabym już tam wolał, żeby Pan pamiętał o zaległej pensyi. Moja gospodyni nie uprzyjemnia mi życia, gdy za mieszkanie nie płacę.

— Twoja gospodyni, jest kobietą złą i niemoralną, narusza wolność prasy. Żegnam cię Agapicie.

Wyszli — Amati niewymownie zdziwiony szedł ulegle za Joanną.

Śniadanie jedli w małej niskiej restauracyi przy zapachu przypalonego masła i nieznośnym brzęczeniu much. Amati podniecony jadł mało — jeszcze mniej jadł Ryszard, dla którego nie istniało już nic takiego, coby zaostrzyć mogło jego apetyt. Siedział blady, znudzony — wreszcie odsuwając talerz wykrzyknął ze wstrętem:

— Co za szynk!

— Czemuż Pan nie jada gdzieindziej?

— Wszystko szynki — mruknął Joanna.

— Ja, zdaje mi się, czytałem kiedyś, że Pan jada stale u Cowy — opisywali nawet jakieś uczty.

— Może być — rzekł twardo Joanna.

— Przepraszam — szepnął Amati.

— Tam trochę czyściej ale także szynk i mdli wszędzie.

— Czemuż Pan w takim razie nie jada w domu?

— A, co to, to nie?

— A rodzina?

— Co za rodzina?

— No żona, dzieci, matka.

— Ja nie mam nikogo, rzekł z pewną wyniosłością Joanna.

— A inni?

— Inni tak samo — przeważnie nie mają rodziny — jeśli ją mają, to się z tem nie chwalą.

— Pozwoli pan kawy? — spytał służący śpiącym głosem: Każę zrobić umyślnie.

— Nie.

— A płaci Pan dziejszy rachunek?

— Płacę kochany.

— A dawny?

— Nudzisz.

— Pan pozwoli — rzekł Amati chcąc płacić.

— Nie, pan jest moim gościem. Zostawił wspaniałomyślnie lira napiwku i wyszli razem.

— Na ulicy szli wolno — dwie osoby zatrzymały Joannę — ze sposobu, w jaki z nimi mówił, widać było, że muszą to być jego wierzyciele, przed którymi on zresztą nie raczył się nawet tłómaczyć. Amati trzymał się bezpiecznie na uboczu; Ryszard szedł dalej powoli i coraz bardziej zgasłym wzrokiem patrzył przed siebie. Na placu del Duorno jakaś przystojna pani ukłoniła mu się przyjaźnie.

— Czy wolno spytać kto to taki? — rzekł Amati.

— Hrabina Coletta.

— Przyjaciółka Pańska?

— Nie.

— Kochanka?

— Też nie.

— Więc któż to taki?

— Ma proces, więc boi się mojego dziennika.

Później przestanie mi się kłaniać. Trochę dalej przesunęła się szybko delikatna postać skromnie ubranej kobiety.

— Czy to ze świata?

— Tak.

— Kochanka, czy znajoma?

— Ani jedno, ani drugie: biedna, zebrałem dla niej składkę, z tysiąc ośmset lirów.

Weszli do Caffé di Cowa. Joanna wyprostowany, z wykałaczką w ustach, siadł na zielonej kanapie i nalał sobie czarnej kawy. W tej chwili wyglądał na zadowolonego człowieka, który w całej pełni używa rozkoszy tego świata. Poufałym i wyniosłym ruchem ręki witał wciąż nadchodzących kolegów.

— To dziennikarze?

— Tak, ten to redaktor „del Oggi".

— Jeśli się nie mylę, współzawodnik „Czasu".

— Tak.

— I współzawodnik nieszczęśliwy.

— Przeciwnie, szczęśliwy.

— A czy to pana drażni?

— Z początku tak, dziś nie.

— Musi go pan nienawidzieć.

— Ani mi się śni. To taki sam dziennikarz, jak i ja, dziś na mnie kolej, jutro na niego.

— Nie pojedynkował się pan z nim?

— Tak, ale czegóż to dowodzi?

— Ile pan miał pojedynków w życiu?

— Ośm, może dziewięć.

— Jaki pan szczęśliwy.

— Dlaczego?

— Mnie podnieca sama myśl o tem.

— Ja już się nie biję.

— Pewnie, jak tyle się pan pojedynkował.

— Nie dlatego; to za dużo kosztuje pieniędzy, dlatego przestałem.

Napili się koniaku: blady rumieniec zaróżowił policzki Ryszarda, oczy ożywiły mu się trochę.

— Chodźmy do biura, może odpowiedź od Ekscellencyi nadeszła.

— Byłby ją Agapit przyniósł.

— Szuka mnie pewnie wszędzie.

Zastali Agapita w przedpokoju, dużemi nożycami ciął przepaski do gazet.

— Niema nic dla mnie, Agapicie?

— Nic, wielmożny panie, jest tylko pan Casiraghi, który czeka od godziny.

Joanna wszedł do swego redakcyjnego pokoju, przy drzwiach zwrócił się do Amatiego, mówiąc:

— Może pan tymczasem skończy swój artykuł.

Amati siedząc przy biurku, słyszał, jak w przyległym pokoju podnosił się głos rozgniewany i jak odpowiadał mu drugi — spokojny, zimny, uspokajający, chwilami cichły oba, później dyskusya stawała się znów głośną — przeszkadzając Amatiemu w pisaniu.

Wreszcie Joanna, odemknąwszy drzwi, podszedł do jego biurka, chwilę patrzył, jak biedny chłopak mordował się nad swym artykułem, potem zagadnął znienacka:

— Nie ma pan przypadkiem tysiąc lirów przy sobie?

— Nie, nie mam, naprawdę niemam — odrzekł zaskoczony Amati, trzęsąc się cały.

— Może w domu?

— Niech mi pan tego za złe nie ma, ale i w domu ich nie mam.

— Nie szkodzi. Chciałem je dać Casiraghiemu, który nie wydrukuje jutro dziennika, jeśli ich tu zaraz nie dostanie.

— No i cóż będzie?

— Niech się pan o to nie troszczy, niech pan dalej pisze.

Wyszedł; głosy podnosiły się coraz bardziej, po chwili Joanna znów wrócił.

— Może pan ma czterysta franków do dyspozycyi? Casiraghi zadowolni się tem chwilowo.

— I tego nie mam.

— To nic.

Joanna znów wyszedł; po chwili wypadł Casiraghi trzaskając drzwiami. Amati, przejęty i zrozpaczony, odważył się zapukać do drzwi Joanny. Zastał go siedzącego spokojnie w fotelu, głowę miał opartą o poręcz i patrzył w sufit.

— Cóż powiedział? — spytał z bolesną troską niedorosły jeszcze dziennikarz.

— Chce czterysta lirów — w przeciwnym razie dziennika nie wydrukuje jutro.

— Dużo mu się wogóle należy?

— Piętnaście, czy ośmnaście, może nawet dwadzieścia tysięcy.

— Jakto, nie wie pan dokładnie?

— Nie wiem.

— I cóż pan dziś zrobi?

— Ba!

— Jak pan może być tak spokojnym?

— Z początku nie jest się spokojnym, później człowiek się z tem otrzaska. Skończył pan swój artykuł?

— Skończyłem, pewnie do niczego.

— Mniejsza o to — rzekł Ryszard, myśląc widocznie o czem innem. Przejrzał artykuł z wprawą starego dziennikarza. Amati śledził go, dygocząc prawie, lecz Joanna przejrzawszy, nic nie powiedział i o nic nie spytał. Na odgłos ochrypłego dzwonka ukazał się we drzwiach Agapit.

— Weź ten rękopis i zanieś do drukarni. Czy był pan Rinaldo?

— Był i poszedł zaraz na śniadanie. Powiedział, że będzie pisał w drukarni.

— Jeżeliby przyszedł kronikarz, poślij go też do drukarni.

— Już był, pytał o administratora.

— Chory. Chodźmy panie Amati, tu już nic nie ma do roboty.

Wyszli; włóczyli się trochę po mieście, rozmawiając to z jednym, to z drugim, Joanna przedstawiał Amatiego, jako nowego swego dziennikarza, przedstawił go nawet paru sławom literackim i muzycznym. Radowało to niezmiernie młodego prowincyonalistę i kilka razy spróbował w rozmowę ogólną dorzucić jakieś słowo, które jemu wydawało się bardzo dowcipne, za które jednak obrzucano go pogardliwemi i wyzywającemi spojrzeniami. Cóż go to jednak obchodzić

mogło? Przecież i on należał już do tego świata, był już dziennikarzem, spacerował z najsławniejszym włoskim dziennikarzem, który nietylko przedstawiał go, ale i protegował najwidoczniej.

— Pójdzie pan ze mną do składu papieru?

— Pójdę wszędzie, gdzie tylko pan rozkaże.

Weszli w dzielnicę czysto przemysłową i przez podwórze, zastawione pakami, weszli do składu, ciemnego prawie, zawalonego aż po sufit stosami papieru; z poza jednego z nich wyjrzała twarz staruszka, pokurczona, jak zimowe jabłko.

— Pan z pieniądzmi? — spytał.

— Niema pieniędzy, Margari.

— To nie ma i papieru.

— Chce pan zniszczyć gazetę?

— Chcę pieniędzy.

— Kiedy ich nie mam.

— A ja nie mam papieru.

— Dam jeszcze panu dużo pieniędzy.

— Niech je pan zaraz da; zadowolnię się pięcioma tysiącami z trzydziestu, które jest mi pan winien.

— Nie mam pięciu tysięcy.

— No to dwa.

— Też nie mam.

— Tysiąc musi pan mieć; odnawialiście teraz przedpłatę.

— Niewiele tego było.

— Ostatecznie wezmę pięćset lirów.

— Kiedy mówię panu, że nie mam pieniędzy.

— To czegóż pan tu przyszedł?

— Prosić o papier na dziś.

— Nie dam, jeśli nie zobaczę pieniędzy.

— Nie?

— A no, nie, panie Ryszardzie.

Amati niemy i zbolały śledził całą tę scenę, nie śmiąć jej przerywać, ani się w nią wmieszać. Staruszek czekał cierpliwie, tak jakby za chwilę miano oddać mu jego trzydzieści tysięcy.

Joanna spytał nagle Amatiego:

— Ma pan sto franków?

— Tyle to mam — rzekł uszczęśliwiony Amati. — Wprawdzie mam się za nie utrzymać do końca miesiąca, ale mniejsza o to.

— To dobrze, oddam je panu jutro, najdalej pojutrze.

— Ale nie mam ich przy sobie; jeśli pan pozwoli, skoczę do domu i zaraz z niemi wrócę.

Wybiegł, a Ryszard uśmiechnął się na myśl o pokonanej trudności, palił teraz spokojnie cygaro, patrząc, jak dym ulatywał wysoko. Po kwadransie wrócił zadyszany Amati, wręczył pieniądze Joannie, który ich przeliczył i oddał Margariemu; ten przeliczywszy, znikł w małym, przyległym pokoiku.

— Chodźmy — rzekł Joanna, wstrząsając ramionami, jakby zrzucał z nich jakiś ciężar.

— Niech pan weźmie pokwitowanie — krzyknął za nim Margari.

— A po co?

— Dla porządku w administracyi.

— E! administrator chory.

Mimo to Margari przyniósł mu kwit.

Na podwórzu tragarz ładował już papier na wózek, uginał się pod ciężarem tych stosów, które układał gęsto; ułożywszy, przykrył wszystko czerwonym kartonem, tak, że wyglądało to, jak cegły do budowy jakiegoś wielkiego gmachu. Joanna i Amati przypatrywali się chwilę tej robocie i podczas, gdy stary dziennikarz znowu wyglądał blado i niezmiernie wyczerpany, młody, podniecony masą papieru, śmiał się ciągle nerwowo. Gdy wózek naładowany był już cały, Amati podszedł blizko, dotknął się palcem papieru jak nieśmiałe dziecko i szepnął:

— To daje ochotę drukowania gazet.

— Tak, papier jest ładny.

— Ileż to może ważyć?

— Sto dziewięćdziesiąt kilo.

— Czyż jeden człowiek uciągnie taki ciężar?

— Uciągnie.

— A wystarczy to na sto tysięcy numerów dzien-,nika?

— Nie, tylko na siedemset.

— A ja myślałem, że „Czas“ ma sto tysięcy odbitek.

— Tak było dziesięć lat temu.

— A dlaczego ogłoszenie jest na sto tysięcy?

— Ot tak, z przyzwyczajenia.

— Aha! — westchnął melancholijnie Amati — to mało siedm tysięcy.

— Bardzo mało — przyznał Joanna.

— Ale jakże to się stało, że ze stu tysięcy doszliście do siedmiu? — spytał Amati już bardziej poufale.

— Nie pytaj pan — odparł twardo Joanna.

Szli teraz w milczeniu; Joanna nasunąwszy kapelusz na oczy, szedł ze spuszczoną głową, nie jak człowiek, którego myśl prześladuje jakaś, ale jak ten, który ugina się pod ciężarem wielkiego zmęczenia. Amati nie śmiał przerywać milczenia, szedł więc przypatrując się sklepom. Po chwili spytał:

— Może pana nudzę, to sobie pójdę.

— Nie, nie — rzekł Ryszard, próbując się ocknąć ale po chwili znów zapadł w zadumę, warga blada mu zwisła, twarz nabrała złotawego odcieniu, wyglądał staro, bardzo staro, i targany jakąś wewnętrzną męką.

— Jakiś pan stroskany — szepnął Amati.

— Ja? A czegóż bym był stroskany?

— Czy ja wiem, może myśli pan o jakimś swoim artykule.

— Któżby o tem myślał — rzekł z pogardą.

Zatrzymał ich jakiś człowiek w otłuszczonem ubraniu.

— Jakże będzie z tym rachunkiem krawca? — spytał cicho Joannę.

— Jakiego krawca?

— Roberta Pacilio.

— Ile mu się należy?

— Dwieście sześćdziesiąt trzy liry.

— Przecież spłacałem już parokrotnie.

— Dwa razy: raz pan dał siedem lirów, drugi raz pięć.

— Przyjdźcie do mnie jutro — rzekł rozkazująco Joanna.

— A zapłaci pan?

Joanna nakreślił tak wspaniały ruch w powietrzu, że ten odszedł onieśmielony. Natomiast zatrzymał go zaraz drugi — jak szkielet chudy, tapicerski czeladnik.

— Wielmożny pan wybaczy, przychodzę o ten rachunek od tapicera.

— No i co dalej? Ja przecież nie mam już jego mebli.

— Prawda, ale mój majster nie jest temu winien, że pana zlicytowali; to przecież ośm tysięcy franków, rozumie pan, że to...

— Rozumiem, rozumiem. Przyjdę jutro.

— Jutro? — rzekł melancholijnie czeladnik i widocznie wiedział już, co to ma znaczyć, ile warta taka obietnica, bo spojrzał na Ryszarda z dziwną rezygnacyą.

— Więc jutro? — szepnął.

— Jutro o trzeciej — powtórzył wyniośle Joanna.

Czeladnik spojrzał na niego z wyrzutem, oczami które mówiły: I cóżem ci zrobił, żeby mnie tak traktować. Poszedł powolutku, kiwając głową, ale nie śmiąc wątpić, z swego stanowiska biednego służącego, w to jutro, słyszane już od trzech lat.

— Ma pan długi? — spytał Joanna.

— Nie! — odrzekł Amati z miną zawstydzoną.

— Będzie je pan jeszcze miał — odrzekł Joanna, wchodząc na schody.

Spotkali jakiegoś młodzieńca, który schodził z cygarem w ustach.

— Dzień dobry, dyrektorze. Czy potrzebna dziś kronika?

— Zdaje się.

— Niech pan prawdę powie, żebym nie pisał napróżno.

— Pisze się zawsze napróżno — rzekł Ryszard, mrużąc oczy.

— A miałby pan dziś pięć lirów, żona mi rodzi panie dyrektorze.

— Ile dzieci?

— Pięcioro.

— To pan nie czytał Malthusa?

— Nie, dyrektorze.

— Dobrze pan robi — niech pan nigdy nic nie czyta i nic nie pisze.

— A jakże będzie z tymi pięcioma lirami?

— Zajdź pan do administracyi.

— Kiedy administrator kazał mi iść do pana.

— To dureń. Żegnam pana.

Przeszedł mu przed nosem z miną swoją książęcą; kronikarz urażony nic nie odpowiedział; zeszedł gwiżdżąc.

W przedpokoju służący spał oparty na łokciu.

— Nie było odpowiedzi od Ekscellencyi?—spytał Joanna.

— Nie, nie, nie było — bełkotał zaspany Agapit.

— Idź jeszcze raz dowiedzieć się.

— Dobrze, zaraz pójdę — odrzekł, poziewając — ale prawda, był listonosz od poleconych listów.

— A! I zostawił co? — spytał Joanna, któremu zaróżowiły się trochę blade policzki.

— Nie, nie chciał.

— Co za bydlę.

— Wróci o szóstej.

— E, może to rękopis — myślał głośno Joanna.

Amati towarzyszył mu wszędzie — weszli razem do małego gabinetu Joanny. Joanna upadł prawie na fotel tak był wyczerpany — westchnął boleśnie, pochylił głowę i tak jak teraz siedział, bardziej niż zwykle blady, z zamkniętemi oczyma. Wydał się Amatiemu stuletnim starcem, człowiekiem, dla którego te sto lat przeżytych było w męce, w bólu, w ustawicznej pracy.

— No dalej — rzekł nagle Ryszard, jak gdyby sam był w pokoju i na coś decydował się stanowczo.

Poszukał sobie papieru i atramentu; papier był elegancki z hieroglificznym monogramem, pokazał go Amatiemu.

— Podoba się panu?

— Bardzo.

— Zawsze lubiłem ładny papier, nęcił mnie — mówił jakby do siebie.

Nachylony nad papierem z piórem w ręku, myślał, dwa czy trzy razy lewą ręką zrobił ruch zniechęcenia i cofał pióro — nie mógł widocznie zdecydować się; chwilę patrzył w sufit, wreszcie zaczął pisać, ale przerwał mu zaraz jakiś pan łysy z grubym brzuszkiem, który wszedłszy nie zdjął nawet kapelusza — Ryszard próbował żartować z niego na razie — ale łysy pan nie zważając na to, upominał się natarczywie o tysiąc dziewięćset lirów, należących mu się oddawna, a które chciał mieć zaraz — koniecznie, sto-

pniowo rozdrażniony dowcipami Ryszarda, nie bacząc na obecność Amatiego, stawał się niegrzecznym — w końcu zaczął wymyślać staremu dziennikarzowi — wszystkim dziennikarzom, nazywając ich dziadami i kłamcami.

— Chcesz weksel lichwiarzu? — spytał Joanna a głos łamał mu od tłumionego gniewu, oczy zachodziły mu mgłą.

— A cóż mi po wekslu?

— To wyzwij mnie na pojedynek, ale nie nudź mnie pan.

Wierzyciel chciał coś dodać jeszcze, ale spostrzegł rękę Ryszarda, bawiącą się kałamarzem z bronzu.

— Do widzenia rzekł — idę sprzedać moją pretensyę redaktorowi Tulminie.

— On pieniędzy nie ma, nie kupi — krzyknął, śmiejąc się Joanna.

Ale po wyjściu wierzyciela niepomny na obecność Amatiego, ukrył twarz w dłoniach ruchem bezbrzeżnej rozpaczy. Amati patrzył na niego, lecz nie śmiał przemówić — w myśli obliczał długi Ryszarda — i z całej duszy pragnął mieć te pieniądze, żeby mu je teraz dać, odjąć mu kłopoty i troski. Po chwili, ledwo Ryszard wziął znowu pióro do ręki, wszedł nowy wierzyciel; tym razem, to był właściciel restauracyi, w której Joanna stołował się przez parę miesięcy — czasem płacąc częściej na kredyt — lecz nie tyle na dług skarżył się restaurator, ile na to, że potem nagle Ryszard przestał uczęszczać do jego restauracyi, co on uważał za obrazę osobistą. Ryszard wykręcił się wyjazdem, dwumiesięczną nieobecnością

obiecał wrócić i poczciwy restaurator poszedł zapominając o należących mu się pieniądzach; zaraz po nim wsunęło się dwóch wierzycieli naraz — jeden z nich, był litografem z bardzo zadawnionym rachunkiem, drugi, był komisantem składu bielizny, w którym Ryszard też od dawna nie zapłacił był za wzięte jedwabne koszule nocne. Mówili naraz, przerywając sobie wzajemnie, śpiewali ciągle jedną i tą samą piosnkę, z dziwną cierpliwością i rezygnacyą.

Ryszard siedział z przechyloną głową, z przymkniętemi oczyma — zdawało się, że śpi. Gdy umilkli, nic nie odpowiedział.

— Więc jakże będzie? — spytał litograf.

— Więc jakże będzie? — powtórzył komisant.

— Co takiego — spytał otrząsając się Joanna.

— Niech pan przynajmniej dzień naznaczy.

— Tak, dzień.

— Jutro — wymówił Joanna.

— Jutro.

— Tak.

— I dla mnie jutro?

— I dla ciebie.

— Poszli.

Ale przyszło jeszcze paru innych, jedni byli pokorni, drudzy gadatliwi, niegrzeczni a wszyscy rozwlekle powtarzali to samo; był instalator, który zakładał gaz w biurze i handlarz win, który dostarczył wiele butelek szampana, i wierzyciel odpowiedzialnego redaktora, którego Ryszard odsyłał za każdym razem do tegoż redaktora a on uparcie kazał mu wracać do Joanny. W końcu jeszcze krawiec,

z którym wszczęła się sprzeczka, gdyż Joanna pomięszał go z tym napotkanym na ulicy, który dostał dwanaście franków, podczas gdy ten nie dostał nigdy nic.

— Kiedy mam wrócić — pytał każden z nich.

— Odpowiedź była zawsze ta sama, dumna, wyniosła.

— Jutro.

— Agapit wszedł wlokąc nogami.

— Masz odpowiedź?

— Nie — jego Ekscellencya sam ją przyśle o szóstej.

Joanna zadowolony z odpowiedzi, zączął znów pisać, lecz po chwili, z przedpokoju doszedł go głos tym razem kobiecy. Wszedł Agapit, chwilę porozmawiał pocichu z Joanną, potem wrócił do przedpokoju i słychać było jak namawiał kogoś do odejścia. Wrócił i znowu energicznie coś tłómaczyć zaczął redaktorowi ale że drzwi zostawił otwarte, po chwili ukazała się w nich praczka, duża i gruba baba z koralami i złotym łańcuchem na szyi. Na razie upomniała się spokojnie o należące się jej dwadzieścia franków — widząc jednak, że Joanna ogląda sobie paznokcie i wcale na nią uwagi nie zwraca, wściekła się i zaczęła hałasować dzierżąc jak berło parasol w ręku. Napróżno Joanna i jego służący starali się uspokoić ją — wrzeszczała jak opętana, grożąc policyą, że zadenuncyuje ich w innych dziennikach a Joannę jako łajdaka jeżdżącego cały dzień fiakrami — podczas gdy nie miał tych dwudziestu lirów, zarobionych przez nią tak ciężką pracą. — Noście brudną bieliznę

URZĘDN. TOW. WZAJ. BR. PR.
SEKCYA IV.

jak nie macie na pranie — krzyczała. Joanna powtarzał jej swoje nieśmiertelne jutro — lecz ona w to nie uwierzyła, żądała zresztą swych pieniędzy natychmiast, używała przytem tak ordynarnych słów, że Amati zakrywał się gazetą i byłby chciał zapaść się w ziemię.

— Proszę wrócić o szóstej — rzekł w końcu Joanna. Nie wiedząc jak się od niej odczepić.

— Aha! pewnie, ani mi się śni, nogi mię bolą — poczekam do szóstej. To mówiąc, usadowiła się na stołku z wojowniczą miną.

— Proszę czekać i owszem mnie to nie szkodzi — rzekł Ryszard z udaną swobodą.

Znów pisał chwilę tak, jakby nigdy nic — ale że praczka nieznośnie ciągle przed nim tkwiła, zdenerwował się i złamał pióro. Amati czytał gazety, nic z nich nie pojmując, składał je i rozkładał cichutko, żeby nie hałasować, żeby o nim wogóle zapomniano, wreszcie wstał — podszedł nieśmiało do Joanny i zaczął mu szeptać do ucha.

Stary dziennikarz zbladł — młody zarumienił się ale jakiś układ stanął między nimi. Amati wrócił na dawne miejsce a Joanna, po paru minutach, podał praczce dwudziesto frankowy papierek.

Poszła praczka pomrukując pod nosem, że nie jest przecież złą kobietą, tylko wściekłą, gdy chodzi o jej własność. Joanna nie odpowiedział jej nic, a Amati przeżywał chwilę czystego szczęścia, wypływającego z tego, iż zdołał zapłacić choć jeden z licznych długów Joanny.

Joanna ukończywszy list wysłał go do drukarni, sam zabrał się do przeglądania starych artykułów, nowelek, których nie chciał dawniej umieszczać w swym dzienniku, dziś umieszczał dla zapełnienia miejsca. Przeczytał francuską gazetę, zrozumiał dwa długie artykuły i machinalnie paląc papierosa, zasypiając po trosze, napisał na ich tle artykuł na paru arkuszach.

Amati patrzył z podziwem na niego, tak jak patrzy się na automat, działający jak człowiek i w istocie automat ten dziennikarski poruszał się równo bez cienia znużenia czy zniechęcenia — na tej twarzy nie odbijało się żadne wrażenie — oczy patrzyły martwym wzrokiem, tylko ręka poruszała się mechanicznie. Po półgodzinnej pracy gazeta zredagowaną już była. Agapit chodził też automatycznie, bez słowa — jak maszyna.

— Gotowe — rzekł Joanna, wsuwając ręce w kieszenie.

— Już? — to jak cud — nigdy nie widziałem jak się to robi — to wspaniałe.

— Zato jutrzejsza gazeta będzie ohydna.

— Oh!

— Tak — ja się na tem znam. Żeby przynajmniej ta ohyda przypadła do smaku publiczności: bo widzi pan, publiczność lubi wszystko co brzydkie — nieskończenie brzydkie i pospolite. Cała rzecz, żeby natrafić na ten rodzaj brzydoty, która im się podoba. Mnie się to już nie udaje, ale ci co zgadują, ci zwyciężają. Ot powiem panu coś szczerze — bez pozy.

Z rana, jak przeglądam swój dziennik, to mam do niego wstręt — Amati posmutniał. Zrobiło się

cicho w pokoju. Joanna zapadał znów w zwyczajne mu odrętwienie, podobne do snu, które zaskakiwało go przy pracy i w czasie rozmowy. Amati milczał, czuł się jakoś ociężały, zaspany, czuł potrzebę jedzenia, picia, wyciągnięcia się wygodnie; na ulicy już się zciemniało. Z przedpokoju słychać było zgrzyt nożyc, któremi dwunastoletni chłopaczek z rozmachem ciął przepaski, gdy skończył, wszedł po cichu i nic nie mówiąc, położył papier przed Ryszardem. — Czekał potem cierpliwie, ale widząc, że Joanna nie spostrzegł go, rzekł półgłosem:

— Dwadzieścia pięć lirów i dwadzieścia centów.

— Dobrze — zaraz ci je dam, a teraz idź sobie.

— Panie dyrektorze — trzeba się spieszyć — jestem sam i gotówem nie zdążyć.

— Zdążysz — zdążysz.

— Niepokój odbił się na twarzy Amatiego — zbladł.

— Co się stało? — spytał zaalarmowany.

— Nic — to ekspedycya.

— Co za ekspedycya?

— Jakiż pan naiwny. — Nie wie pan, że wysyłają się codzień dzienniki na prowincyę — ale że na to potrzeba marek. Oj! ci młodzi.

— Przepraszam — rzekł upokorzony Amati.

— Nie ma za co — potrzeba dwadzieścia pięć lirów i siedemdziesiąt centów.

— A w przeciwnym razie?

— Nie wyśle się dziennika.

— O Boże!

— A tak — „Czas“ zostanie dziś w Medyolanie. Chyba że pan ma potrzebne pieniądze.

— Ja? niestety nie.

— No to nie pójdzie.

— Jakże to możliwe?

— O, to się czasem zdarza.

— Czy już... już się to kiedy zdarzyło?

— Tak, parokrotnie. Dziś będzie to samo.

— A nie mógłby pan pożyczyć od kogo?

— Mowy nie ma.

— Ale trzeba coś przecież poradzić.

— Nie ma rady — rzekł Ryszard, roztwierając ręce.

Amati myślał, myślał, potem podniósł głowę.

— Mam myśl.

— Dobrą?

— Mogę mieć pieniądze. Oto mój zegarek z łańcuszkiem, niech pan pośle to do zastawu. Ale pewno banki zastawnicze już pozamykane.

— Nie, nie, jeszcze otwarte.

— Więc proszę.

— Dziękuję.

Joanna zawołał chłopca, kazał mu się przybliżyć i tłómaczył mu coś po cichu. Malec słuchał z minką przebiegłą, potem zawinął zegarek z łańcuszkiem w papier i pędem poleciał.

— Idź do jego Ekscellencyi, już szósta — rzekł Joanna do Agapita.

— Czy tu mam przynieść odpowiedź?

— Nie, do drukarni.

Gdy Joanna z Amatim weszli do drukarni, naj-

większy ruch panował w niej właśnie, wrzała jakaś gorączkowa wesołość, tylko stojący w kącie Casiraghi był zły i pochmurny, to też Joanna, który wszędzie zaglądał i do każdego teraz się zbliżał, jego unikał.

Ale Casiraghi podszedł do niego i łapiąc go za ubranie, spytał:

— Więc jakże będzie?

— Za chwilę, za chwilę.

— Co za chwilę, zawiele już ich minęło.

— Czekam na jedną odpowiedź. Agapit zaraz mi ją tu przyniesie — i spojrzał w stronę drzwi, czy nie nadchodzi.

— Nigdym nie widział drukarni, to wspaniałe — rzekł Amati

— Tak — odparł krótko Joanna.

— A czy mój artykuł wydrukowany?

— Ułożony, nie wydrukowany.

— To znaczy?

— Że od ust do puhara jest dosyć czasu, by umrzeć.

Patrzyli ciągle w stronę drzwi. Joanna zaczynał się denerwować.

Nareszcie w drzwiach ukazał się Agapit, stanął wyprostowany przed Joanną.

— Jego Ekscellencya książę wyjechał o piątej trzydzieści do Paryża — zameldował.

— Buch! — rzekł Joanna i zaśmiał się.

Amati przeraził się, gdyż przez dzień cały nie słyszał jego śmiechu.

— Czy nagle wyjechał? — spytał Joanna.

— Nie.

— I nic nie kazał powiedzieć mi?

— Nic.

— Jego Ekscellencya nigdy nie każe nic mówić.

— A kiedy wraca?

— Niewiadomo.

— Nigdy niewiadomo, kiedy Ekscellencya wraca— i zaśmiał się znowu.

Agapit odszedł, Joanna wolno podszedł do Casiraghego, który widocznie wyczytał mu z twarzy niepomyślną odpowiedź, gdyż zimno i bez złości, ale stanowczo oświadczył, iż „Czas“ tego wieczora drukowanym nie będzie. Przez pół godziny toczyła się walka między Joanną a Casiraghim, walka, w której Joanna użył całej swej wymowy dla przekonania Casiraghiego, by jeszcze tego dnia zechciał drukować gazetę. Ale ani najpokorniejsze prośby, ani wymowa, ani zapowiadane samobójstwo, ani też żadne obietnice nie zdołały przekonać Casiraghiego.

Amati przysłuchiwał się temu blady, dygoczący, wzruszony, ze łzami w oczach. — Więc „Czas“ dziś nie wyjdzie, a artykuł jego nie będzie drukowanym— ta myśl była dla niego nieznośną, wydawało mu się to rzeczą niemożliwą.

— Panie Casiraghi — rzekł nagle — obowiązuję się dać panu jutro żądane pieniądze.

— Pan?

— Ja.

— To niech je pan da zaraz.

— Dziś ich nie mam, jutro zatelegrafuję do mojej matki, do wuja, poproszę o sto, nawet dwieście li-

rów, oddam panu wszystko, byle dzisiejszy „Czas“ został wydrukowany.

— Niech się pan zobowiąże na papierze, przypuszczam, iż jest pan uczciwym człowiekiem, ale pana nie znam.

Trzęsła się ręka młodego chłopca, gdy na stemplowanym papierze zobowiązywał się na przyniesienie dwustu lirów nazajutrz. Joanna zezwolił na to i uśmiechnął się, gdy Casiraghi dawał szeptem polecenia majstrowi. W tej samej chwili wszedł chłopak z paczką przepasek z nalepionemi markami, wręczył Joannie kartę zastawniczą i resztę — ośm lirów ośmdziesiąt centów. Joanna podał to Amatiemu.

Amati wyciągnął kartę zastawniczą, reszty nie wziął, twierdząc, iż mu nie potrzebna.

Jedli w milczeniu, siedząc naprzeciwko siebie, rozkoszowali się obiadem, jak dwóch robotników po dwunastogodzinnej ciężkiej pracy.

W restauracyi siedzieli przeważnie mieszczanie i ubodzy artyści, którzy głośno rozmawiali między sobą i żartowali z kelnerami. Wśród tych wesołych jedynie Joanna i Amati byli smutni. Dopiero przy końcu obiadu zaczęli się uśmiechać do siebie i choć mało mówili, patrzyli na siebie serdecznie. Po zapłaceniu rachunku zostało Joannie zaledwie dwa franki z ośmiu i ośmdziesięciu centów. Poszli się przejść, szli pod rękę, paląc papierosy.

— Z pana będzie kiedyś dobry dziennikarz — rzekł Joanna.

— Sądzi pan?

— Tak, jestem tego pewien, nie żartuję — i znów uśmiechnęli się do siebie.

W tem zatrzymał ich ekspedytor Cigino, który nadbiegł zdyszany.

— Co się stało? — spytał zaniepokojony Joanna.

— A to, że nie możemy drukować dzisiejszego „Czasu".

— A to dlaczego?

— Brak nagłówka.

— Jakto nagłówka?

— Tak, cynkograf miał nowy zrobić.

— I nie zrobił?

— Owszem, ale parę razy był w biurze po zapłatę.

— Ja jego nie widziałem.

— Był z pewnością.

— Może, nie pamiętam.

— Dosyć, że ze złości przyszedł do drukarni i zabrał nagłówek.

— Trzeba było ułożyć inny z czcionek drukarskich.

— Są za małe.

— A ile mu się należało?

— Ośmnaście lirów.

— Nie szukałeś go?

— Szukałem, majster pożyczył mi nawet te ośmnaście lirów, ale sklep był zamknięty, poszedłem do mieszkania, wyprowadził się.

— Dobrze.

— Pan nie przyjdzie do drukarni?

— A po co?

— To i ja mogę odejść.

— Możesz.

— A co zrobić z ekspedycyą, przygotowaną na dziś?

— Zachować ją na jutro; oszczędzi się pieniędzy i pracy.

— Dobranoc panu.

Obaj dziennikarze zostali sami na drodze.

— Tak widocznie było przeznaczone — rzekł Joanna.

Ale odechciało im się spaceru. Przeszedłszy parę ulic, doszli do mieszkania Joanny.

— Chodź pan na górę do mnie.

— Nie chciałbym pana nudzić.

— Ale chodź pan — odrzekł krótko Joanna.

Joanna poszedł naprzód, na trzeciem piętrze cichutko otworzył drzwi i zapalił w przedpokoju zapałkę, która oświeciła jakieś duże szafy, nadające im dziwaczne kształty.

— Nie budźmy gospodyni domu.

— Już śpi?

— Jest akuszerką, śpi kiedy może.

Umeblowanie pokoju Joanny było banalne: duży dywan na środku, firanki szydełkowej roboty, a w kącie stało łóżeczko wązkie i nędzne. Joanna zapalił resztkę sterynowej świecy i obaj siedli naprzeciwko siebie przy stoliku, na którym były wprawdzie wszystkie przybory do pisania, ale ani jeden arkusz papieru nie był możliwy, ani jednej kropli atramentu w kałamarzu, ani jednego całego pióra nie było.

Żółtawe, słabe światło sterynowej świecy oświecało smutną, bladą twarz Joanny. Amati popatrzył na niego i szepnął:

— Pan cierpi?

— Ja? Nie, już nawet nie cierpię.

— Nie chce pan powiedzieć — zamało mnie pan zna.

— Nie, nie udaję. Zapewniam pana, że już nie cierpię, dusza, jak ciało, przywyka, asymiluje się z niektóremi bólami. Już przeszło trzydzieści lat takie życie pędzę.

— Zawsze takie?

— Zawsze. Forma była czasem odmienna, treść zawsze ta sama. Dziennikarstwo to instrument, złożony z wielu strun, jedne dźwięczą fałszywie, inne ponuro, a wszystkie boleśnie.

— Boleśnie?

— Na ile tylko stać bólu w człowieku, tyle go jest. Czy pan nie słyszał? Nie widział?

— Widziałem i słyszałem.

— A to był tylko jeden dzień. Ile jest dni w roku, ile w trzydziestu latach, tyle takich dni ciąży na mojej głowie. Każdy przynosił z sobą jakiś cios; to nie przesada i nie skarga, dziś jestem cały, jak jeden odcisk, mówię dla pana.

— Jednak i doza zadowolenia musi być wielka.

— Tak, tak. Naprzykład aktorki, śpiewaczki, baletnice kochają nas, gdyż biedaczki boją się nieprzychylnego artykułu, albo potrzebują oparcia, obrońcy, rycerza, lub też lubią to życie z dnia na dzień, hotelowe i restauracyjne. Biedne kobiety. Czasem kochają

nas prawdziwie i my je kochamy, ale bieda zaciąga je gdzieindziej, nasza nędza przygważdża nas na miejscu, przychodzi rozstanie, płaczą i my płaczemy. Czasem zostaje dziecko.

— Miał pan kiedy dziecko?

— Miałem — umarło przy niańce, do której oddała go matka z musu, ona umarła na żółtą febrę w Rio Janeiro.

Zaskwierczała świeca, jak gdyby dusza biednej zmarłej przesunęła się koło niej.

— A inni dziennikarze czy też nie mają rodziny?

— Mają, lecz nic bardziej nieszczęśliwego, jak taka rodzina. Nie płaci się za mieszkanie, gospodarz wyrzuca i sekwestruje meble, lub żyje się w najętym umeblowanym pokoju. Nie płaci się służącej, odchodzi i urąga, trzeba stołować się w restauracyi, jeść podle za podwójne pieniądze. Żona? biedactwo jeśli ma buciki, nie ma kapelusza, a gdy sprawi sobie kapelusz, suknia jest już zniszczona. Męża widuje zaledwie dwie godziny na dzień, przychodzi zmęczony, blady, stroskany i rozdrażniony, nie śmie się go o nic pytać — cierpią razem, w milczeniu, dzieci rodzą się w smutku i rosną w smutku.

— Matka pana musiała być dobrą bardzo.

— Przypuszczam, — nie znałem jej, tak młodo umarła.

— Moja jest nieskończenie dobrą.

— Kochaj ją dziecko bardzo.

Ogarnęła ich rzewność, przez chwilę milczeli. Cygaro Joanny zgasło, nie zapalił je, tylko ciągnął dalej.

— Zapewne, dziennik daje także chwile zadowolenia; można naprzykład pastwić się nad najgorszym swoim nieprzyjacielem, można zranić go i w tej ranie codzień strzałę obracać, przeżywa się rozkoszną chwilę gdy na końcu pióra ma się bijące serce znienawidzonej osoby, ale dziś zadzierasz z jednym, jutro z drugim, potem z całą partyą, ze stowarzyszeniem, z grupą ludzi, liczba nieprzyjaciół wzrasta, mnoży się, wytwarza się z nich legion. Czujesz niechęć i podwajasz bezczelność, ale przychodzi chwila, gdy zostajesz sam, nieszczęśliwy, bez siły, bez energii, przychodzi taka czarna godzina, w której legion ten obsacza cię tak groźnie, że schylić musisz głowę i pragniesz gorąco śmierci. Te męki, któreś z takiem wyrafinowaniem zadawał innym, sam teraz przechodzisz wszystkie, co do jednej. Grzeszyłeś dumą i cierpieć musisz w swej dumie, odpokutować musisz każdy grzech, gdyż sprawiedliwość, która rządzi światem, jest mądra i głęboka. Kara uderza tam, skąd wypłynął grzech. Patrz, ja taki stary, złamany, osamotniony, tak nieszczęśliwy i pobity, a jednak nie przebaczył mi żaden z moich nieprzyjaciół i żaden nie przebaczy.

— Lecz i przyjaciół miał pan także — zauważył Amati.

— To prawda, ale łatwiej jest niepodobać się ludziom, jak im się podobać.

Dziesięć przysług oddanych, nie znaczy tyle, co jedna wyrządzona krzywda; najwyższa pochwała nie dorówna najlżejszej naganie, przyjaźń z ludźmi z polityki — to niewola, nieprzyjaźń, tam wolno tylko chwalić — nigdy zganić nie można — trzeba dawać,

ale o nic nie prosić — nie wolno sądzić, radzić ani napominać. Przyjaźń z ludźmi interesów, trwa tyle co interes. A przyjaźń z partyą? — to przecież abstrakcya. Partya to istota, która nie może mieć ani wnętrzności ani serca — nie może więc odczuwać przywiązania lub wdzięczności — widział pan jak dziś ze mną postąpił książę — wiedział, że wyjeżdża o piątej, kazał więc przyjść służącemu o szóstej. — Nie odmówił mi wprost — ale mnie wykpił.

— To podłość!

— Nie, to nie podłość. — Miał racyę.

My nadużywamy tych pozornych przyjaźni — staramy się wykorzystać na wszystkie sposoby. Dziś chcemy pieniędzy, jutro poparcia — pojutrze wstawiennictwa, jak gdyby należało nam się to wszystko, śmiało wymagamy wszystkiego. — Książę jest na czele partyi, ja go wynudziłem i to strasznie.

— Ale równocześnie oddał mu Pan niejedną przysługę.

— Nie, doprowadziłem jednak do tego, by został ministrem i tego on, nie może mi darować.

— Taki wielki człowiek?

— To głupiec.

— Chyba pan żartuje?

— Głupiec — mówię panu — przecież nikt tak jak ja nie zna rzeczywistej wartości tych ludzi — my znamy tajemnicę ich reputacyi, ona stworzona jest naszemi przymiotnikami, wymyślonemi przez nas nowinami, urobiona jest artykułami przez nas pisanemi.

— Od piętnastu lat kiedy on wyjeżdża, ja piszę.

„Jego Ekscellencya książę wyjechał do Wiednia, przypuszczają, że ma powierzoną misyę do tego dworu“. Taka wieść, jest powtarzana, przedrukowana, przesadzona, komentowana, wreszcie odwołana, dziś napiszę, że pojechał do Paryża — wysłany z polecenia rządu — to nie prawda, ale przez kilkanaście dni nasza prasa zajmować się nim będzie wyłącznie.

— I od piętnastu lat ciągle powtarzam w parlamencie, wyborcom i publiczności, że dopóki jego nie wybiorą na ministra, dopóty sprawy źle pójdą; dziś, dużo jest już takich, którzy tak samo myślą, jedynie dla tego, że wyczytali to w „Czasie“. Oto jak wyrobiła się reputacya Jego Ekscellencyi, który jest głupcem.

— A gdyby został ministrem — wówczas skończyłyby się kłopoty i troski, jakie Pan ma teraz?

— Nie. Gdyby został ministrem, myślałby, że został nim, w nagrodę za swoją wielkość, bo ja i jego przekonałem o tej wielkości. A wtedy kupiłby „il Tulmine“ dziennik, który mu zawadza.

— Pan jest pesymistą.

— Nie jestem już niczem, kochany. Zmęczony jestem i stary. Chciałbym być biednym, nie mieć nieprzyjaciół, nie być znanym i nie mieć tych sztucznych potrzeb, sztucznego zbytku — nie mieć tego zgangrenowanego dziennika, który muszę redagować codziennie. — Zazdroszczę wszystkim starym jubilatom, wojskowym emerytom, starym rzemieślnikom spensyonowanym; najbiedniejsza, najskromniejsza, jakakolwiek bądź starość lepszą jest od mojej.

— Czemu się pan nie pozbędzie dziennika?

— Bo nie mogę.

— Dlaczego?

— To jest ponad moje siły, pojedynkowałem się parę razy, walczyłem za Włochy na polach bitwy, śmierć oglądałem parokrotnie z bliska — lecz nie stać mi odwagi do zabicia dziennika — w tem jestem tchórzem.

Głos był zrozpaczony, intonacya ponura, gdy to mówił i przy świetle sterynowej świecy twarz Joanny wydawała się żółtawą, bardziej obwisłą, zaczerwienione powieki odbijały jak krwawe plamy, skronie pozbawione włosów miały refleksy trupiej czaszki. Stary dziennikarz w tej chwili był już kompletną ruiną. A jednak... jednak „Czas“ nie codzień wychodzi, rzekł nieśmiało Amati.

— Prawda, czasem nie wychodzi i to jest straszne, lecz gdy dziś nie wyjdzie, wychodzi nazajutrz, ale to zawsze straszne.

— Jakże pan może to znieść?

— Nie wiem. — Gdy zdarzyło się to pierwszy raz, nie wierzyłem do ostatniej chwili, żeby tak być mogło, ufałem w Opatrzność, myślałem, że drukarz się zlituje — lecz nie zlitował się. — Myślałem, że oszaleję, że się zabiję — jak dzikie zwierzę kręciłem się koło maszyny jak gdybym chciał poruszyć ją wolą swoją — lecz ona stała nieporuszona, milcząca. Dzieciaki przekładające arkusze patrzyły się na mnie — myślałem, że skonam. Przyszły kobiety do składania arkuszy, postały chwilę w milczeniu, owinięte w ciemne szale, i odeszły jedna za drugą — odchodziły smutne, traciły dzień roboczy — drukarz znikł także — po-

zostałem sam jeden przed ułożonemi czarnemi stronicami, które nie miały być drukowane. Cierpiałem jak potępieniec i wyszedłem, kręciłem się jak waryat koło portu — chciałem się utopić. Konanie mojego dziennika, równało się dla mnie z konaniem syna umierającego z głodu, dla którego kawałka chleba nie miałem. Wy nie wiecie, czem jest dla nas ten luźny arkusz papieru — tak drogo okupywany przez nas a który wy nabywacie tak tanio — wygląda nawet brzydko — a my go tak kochamy — zaślepienie — mimo rozczarowań i bólow, które nam przynosi, on nie jest dla nas arkuszem papieru, jest istotą żyjącą z krwi i kości.

Drżał mu głos, gdy tak mówił i przy gwałtownych jego ruchach chwiał się płomyk sterynowej świecy — nie zważał już na Amatiego — mówił dla siebie, dla wypowiedzenia bólu, opowiadając nieszczęście swego życia, dla którego już rady nie było.

I nie zabiłem się — nie spałem, nie jadłem, ale nie umarłem. Trzymała mnie nadzieja, — nadzieja, że dziennik wyjdzie nazajutrz. — I nazajutrz też wyszedł. Za drugim razem cierpiałem prawie tak samo — nie tak dotkliwie może. Czytelnicy — myślałem — uwierzą, iż zepsuła się maszyna i tak się pocieszałem — pocieszałem się, iż dziennik wyjdzie nazajutrz. Cóż Pan chce, człowiek hartuje się i na ból. Kiedyś przez cztery dni dziennik nie wychodził, rzecz niesłychana. Nie śmiałem wejść do żadnej kawiarni, do żadnej restauracyi, unikałem wszystkich, życzliwych i nieżyczliwych, ze swojej izdebki pisałem listy do tych wszystkich, którzy mogli mi dopomódz

i piłem piwo, by się otumanić. Dziś przywykłem i do tego. Zapewne, przyznaję, jest to cios dla mnie, gdy ten dziennik któregoś dnia nie wyjdzie, ale ten cios nie jest już tak dotkliwym, nie odczuwam go już całą duszą, wiem, że taka rezygnacya i obojętność są podłością, ale to dowód starości i braku sił.

Amati słuchał wzruszony, drgał na niektóre brutalniejsze słowa, lecz nie przerywał, czuł, że nie powinien przerywać.

— A wie pan jakie jest hasło dziennikarza?

— Nie, ja nie wiem.

— Nasze hasło jest „Jutro“. Jutro dla dziennikarza przedstawia wszystko i pomyślne fatum i przypadek dobroczynny i niespodziewane szczęście, opatrzność, która zsyła słońce na ziemię, pokrytą śniegiem. Jutro, jutro rozkwit, jutro, dla którego życie komplikuje się w najprostszych jego przejawach i mówi się jutro, by pocieszyć biedną, schorzałą kobietę, a biedna umiera bez pociechy. Jutro, by kupić ubranie dziecięciu, a dzieciak bez ubrania zostaje. Jutro napisze się list do starego bogatego krewnego a krewny wydziedzicza. „Jutro“ pójdzie się do człowieka interesów, a człowiek ten wyjeżdża i sposobność znika. Nie słyszał pan, com odpowiedział wszystkim moim wierzycielom? Każdemu odpowiedziałem „jutro“, począwszy od tego, któremu należało się ośmdziesiąt tysięcy, aż do tego, który miał dostać tylko ośm. I cóż stanie się jutro? Pewnie nic. A wierzyciele wrócą pełni nadziei i przez to bardziej natarczywi, rozczarowani, więc zacieklejsi, przyjdą wszyscy ci sami i inni, całe procesye. Cóż im powiem? Nie wiem. Powiem, by na-

stępnego dnia wrócili i tak do śmierci, mimo wstydu. Dla jednego tego słowa, dla tego „jutra“ jestem stracony.

Zamilkł, myślami wracając w przeszłość.

„Czas“ to był wielki dziennik; nadspodziewane miał szczęście, może nawet nie zasłużone, piął się coraz wyżej i wyżej, tak, że można było dostać zawrotu głowy. Dlaczego tak było, niewiadomo. Ani był lepszym, ani gorszym od innych, natrafił na chwilę odpowiednią, ot cała rzecz.

— Wszystko mi się wiodło, zresztą nie miałem skrupułów i nic mnie nie obchodziło, co było poza gazetą; przewodnią moją myślą był interes, jak największa wysprzedaż dziennika. Tak mi się powodziło, że przez trzy lata mogłem stać dumnie na stanowisku opozycyjnem, a gdy moje stronnictwo zwyciężyło, oderwałem się od niego, chcąc być niezależnym. A wie pan, co znaczy to słowo? Znaczy należeć do tego, który na razie zwycięża, a potem zdradzić go przechodząc do jego wroga. To daje pozór wolności, sprawiedliwości nawet, nikt nie śmie się skarżyć, każdy się boi, a własne interesa prowadzi się wtedy cudownie. I wie pan, do czego doszedłem? Do tego, że „Czas“ miał sto tysięcy egzemplarzy, do tej cyfry bajecznej, niesłyszanej dotąd we włoskiej prasie. W dniu, w którym do tego doszedłem, znalazł się ktoś taki, który ofiarował mi za mój dziennik półtora miliona. Odmówiłem, powiedziałem jutro. Nazajutrz cyfra spadła i spadała codziennie bez przyczyny, bez widocznego powodu, tak jak wzrosła nagle bez powodu, może poprostu dlatego, iż odwróciło się odemnie

szczęście. Mogłem mieć półtora miliona, powiedziałem dumnie „jutro“ i widzi pan do czego doszedłem...

— I nie walczył już pan potem?

— Walczyłem, lecz do takiej walki trzeba mieć siłę i giętkość młodzieńczą, trzeba wierzyć w swój talent, a wiarę tę zatraca się w dziennikarstwie, trzeba mieć wielką wrażliwość, a i to się traci. Zresztą jakiż cel? Walczyłem i dziś walczę, jak desperat, ale stary już jestem.

— I dlaczego nie zabija pan „Czasu“?

— Tak, i cóż potem? Jakże żyć będę i z czego? Gdzież pójdę? Gdy nosi się w sobie trzydzieści pięć lat dziennikarstwa, już nic innego nie potrafi się robić, a gdy uśmierci się swój własny dziennik, któż człowieka weźmie? Nikt, każdy odepchnie. Widzi pan taka gazeta to pretekst, by nie żebrać, lub raczej pretekst do takiej żebraniny, za którą nie aresztuje policya.

— Co też pan mówi.

— Mówię prawdę, dziecko. Mówię to, że gdyby pan nie był dziś do mnie przyszedł, nie byłbym dał sto lirów za papier, ani dwudziestu siedmiu mojej praczce. Nie byłby pan podpisał zobowiązania na jutro, za które mógłbym ścigać pana sądownie, gdyby go pan nie dotrzymał. Zaprosiłem pana na obiad, lecz zapłaciłem pieniądzmi z zastawionego przez pana zegarka. Zabrałem panu dziś wszystko i jeśli pan zauważył, nie podziękowałem nawet, tak naturalnym wydaje mi się mój wyzysk i ofiarność pańska. Jutro gdy zabraknie panu pieniędzy, pójdę dalej żebrać u innych

i tak będzie codziennie, codziennie, aż do śmierci. Dopokąd nie zmoże mnie moja choroba serca i jeśli stanie się to nagle, to umrę może na ulicy, może w drukarni, albo tu przy biurku z twarzą w kałamarzu, a jeśli dłużej będę chorował, zabiorą mnie do szpitala. Może jaki przyjaciel odwiedzi mnie, może zbiorą dla mnie składkę, jeszcze jałmużna. Napiszą elegijny artykuł o mojej śmierci w szpitalu: tak się to skończy.

Świeca zadrgała wesołym płomykiem i wypalona zgasła, zostali po ciemku.

— Nie mam drugiej świecy — rzekł słabym głosem Joanna.

— To nic nie szkodzi, to nic — odpowiedział Amati, łkając prawie.

Joanna wstał i otworzył żaluzye, trochę światła z ulicy przedarło się do pokoju; wpatrując się dobrze widzieli się w tym półcieniu. Starzec był pochylony, zgarbiony, młodzieniec nie podnosił głowy.

— Taka jest moja katastrofa — ciągnął dalej Joanna, jakgdyby budził się z gorączki — nie taka wspaniała ani ładna, to nie burza, która drzewo obala, ani śmiertelne cięcie szpady, ani kula śmiertelna, nie ta śmierć, która wzbudza podziw i aureolą otacza, nie, to katastrofa pospolita, mała, codzienna, taka, w której dziś poświęca się jeden skrupuł, jutro uczucie — później godność, wiarę, zaufanie i tak powoli zatraca się wstyd i poczucie osobistej godności. Na razie bardzo się cierpi, później i sumienie zamiera, zatraca się poczucie tego, co godziwe a niegodziwe i wtedy jest się zdolnym do wszystkiego rozumie pan, do

wszystkiego. I to jest ta katastrofa nizka, niegodna człowieka, niegodna chrześcianina, taka, która niema końca, z której nie umiera się, ale się kona, która nie zabija i nie wzbudza litości, tylko wstręt. Niema światła, by się pan mógł mnie przypatrzyć, ale pan słyszy mój głos, pojmuje pan moje słowa. Pan jest młody, ale niech mi pan wierzy, w tem nieszczęściu niema nic decydującego ani ładnego. Widzi pan, nie mam nawet odwagi, by się zabić, podły jestem i sam sobie obrzydły.

— Niech się pan uspokoi — prosił Amati.

— Niech pan obieca, że nie będzie pan dziennikarzem.

Amati milczał.

— Musi mi pan obiecać; by tę obietnicę wymódz wodziłem pana dziś wszędzie za sobą, kazałem panu skosztować goryczy mojego życia — niech pan przyrzeknie.

Amati milczał.

— Błagam cię, dziecko, zaklinam cię na twój talent — na tę spowiedź bolesną, której nie odbyłbym przed nikim na świecie — nie marnuj tak swego życia, nie wchodź w ten labirynt, z którego nikt wyjść nie może.

Amati milczał.

— Pan ma matkę, niech się jej pan nie sprzeciwia, to nieszczęście przynosi. Ja nie usłuchałem ojca i dlatego jestem stracony.

— Nie mogę — odrzekł poważnie młodzieniec.— Będę dziennikarzem.

Nastała głęboka cisza po tych słowach, wypływających z niewzruszonego przekonania.

— Czy pan jest wierzący? — spytał stary Ryszard Joanna.

— Nie.

— Ja tak. Niech pana Bóg prowadzi.

Koniec.

BIBLIOTEKA
UMCS
LUBLIN

Biblioteka Uniwersytetu
MARII CURIE-SKŁODOWSKIEJ
w Lublinie

A 18.696

BIBLIOTEKA U. M. C. S.

Do użytku tylko w obrębie
Biblioteki

1000173423